GIGANCI

KSIĄŻKA DLA STARSZYCH

Druk. Archidiecezjalna, Warszawa - Śródmieście, Krak. Przedmieście 71.

WALENTY MAJDAŃSKI

GIGANCI

WYDANIE DRUGIE
4 – 8 TYSIĄC



WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW
WARSZAWA

WYJĄTKI Z NIEKTÓRYCH RECENZJI GŁOSY KRYTYKI O „GIGANTACH"

K. H. Rostworowski („Kurier Poznański" z d. 24. XII 1937 r.):

„W „Gigantach" wychodzi Majdański z założenia, że „rzucanie roli było ucieczką od heroizmu do fajerwerkowego wysiłku, od produktu ziemi do pieniądza — że „im więcej w państwie było ludzi bytujących bez pokrycia, tym więcej posiadało ono wielkich miast — „że miasta-molochy to przede wszystkim olbrzymie skupiska egoizmu gospodarczego...

...że „uzdrowi Stany Zjednoczone (czytaj: cały świat) taki Roosevelt, który będzie miał odwagę wysadzić w powietrze molochy-miasta, rozpędzić ich mieszkańców w ziemię i uczynić z nich ludzi na małych rodzinnych farmach..."

Wprawdzie już Platon przestrzegał w swej „Republice" przed miastami-molochami..., ale co Platon, to Platon, a co Majdański, to Majdański. Inne czasy, inni ludzie. Stop! Czy rzeczywiście inni? ...Czyż „takie Roosevelty", takie ekrazytowo-hiperytowe Roosevelty ante portas współczesnych Babilonów należą do bajek o żelaznym wilku? Czyż takich Rooseveltów-burzycieli nie rodził przed wiekami i nie rodzi obecnie instynkt samozachowawczy ludzkości, zdemoralizowanej masową ucieczką od „ciężkiej, ordynarnej i poziomej pracy", zwanej przez Majdańskiego heroizmem?

...Takie niemiłe pytania brzęczały mi koło uszu i doprowadziły do tego, że słowo „utopie" zamarło mi na ustach, a w „Gigantach" usłyszałem głos jutra...

Awangardy Gigantów dopatruje się Majdański w młodych katolikach polskich.

...Stwierdzam, iż za moich młodych lat młodzi tak nie pisali, takim językiem nie wolno było przemawiać do „oświeconych" akademików, słowa Ojciec (Bóg), Niepokalana i katolik były na indeksie... więc widocznie coś się zmienia, coś rąbie w panteon materializmu i liberalizmu, jakaś Brama Niebieska czy Wieża z Kości Słoniowej zaczyna się wyłaniać z oparów empirio-krytycznych dociekań, coś rozsadza epruwetki, pełne strąconej wiedzy bez wiary,

coś wchodzi „drzwiami zamknionymi" i przemocą staje pośrodku nas...

Kto wie? Kto wie, czy ten Majdański nie ma lepszego wzroku, lepszego słuchu, twardszej kości pacierzowej i czy jego (zdaniem starych wodzów) „ośla szczęka" nie okaże się najbardziej nowożytną bronią?

Qui vivra, verra."

Ks. Henryk Weryński („Kultura" z dnia 8. VIII 1937 r.):

„Pierwsze wrażenie zamyka się w słowach, które o tej książce napisał ks. Elter T. J. na łamach „Przeglądu Powszechnego": „Niepowszednia książka".

...cała ta książka przepojona jest przekonaniem, że „nie ma katolika bez odwagi, nie ma wielkiego katolika bez bohaterstwa, istotnej świętości bez heroizmu". I cała dąży do wyrwania polskiego katolicyzmu z tuzinkowości i połowiczności na właściwe i jedyne szlaki konsekwentnej i zdecydowanej woli.

...autor jest człowiekiem młodym, kryjącym w sobie bardzo duże możliwości. Musimy mu powiedzieć publicznie, że spodziewamy się po nim dużo... I... chcielibyśmy zobowiązać go do dania z siebie: dużo.

Wreszcie tytuł omawianej książki. Gdyby chodziło o mnie, dałbym raczej inny. Nie wahałbym się przed nazwaniem jej np. „Święci na ulice". Oczywiście — autor sam zadecyduje najlepiej, jaki da tytuł w drugim wydaniu, gdy przeczyta całe naręcze różnych recenzji i uwag na marginesie swych śmiałych myśli."

Jan Mosdorf („Prosto z mostu" z dnia 25. IV 1937 r.):

„Dostałem tę książkę wczoraj. (Właśnie siedziałem nad inną recenzją). Przeczytałem ją jednym tchem. Odłożyłem ze wzruszeniem. Dziwna, bardzo dziwna książka. To pewne, że jedna z najciekawszych spośród tych, które czytałem w latach ostatnich.

...Nie jest to książka apologetyczna. Ani dewocyjna.. Ani polityczna. Ani naukowa. Ale jest rewolucyjna. Tak jak rewolucyjne jest Kazanie na Górze.

...Autor najdalszy jest od tego, co wielu źle poinformowanych uważa za istotę katolicyzmu: ucieczki od życia...

Chciałbym, aby książkę Majdańskiego przeczytali ci, którzy bają, że katolicyzm jest skostnieniem myśli.

...Katolicyzm jest jak ocean... Wejdźcie do łodzi, spróbujcie płynąć naprzód! Za każdym zakrętem, gdy otworzą się przed wami nowe horyzonty, powiecie: to już nie katolicyzm. A potem poznacie swój błąd, płynąc bez przerwy. I bądźcie pewni, że nie starczy wam życia na tę cudowną jazdę i na bezustanne cudowne zdumienia... Majdański jest dobrym pilotem w tej wędrówce przez morza.

...Książka jest w pewnym sensie straszna... Dlatego wywołuje tak silne wrażenie. I próżno będziemy się bronili zarzutami: fanatyk, naiwniś, wariat. Mózg nasz wyśmieje tę książkę, ale sumienie nam powie, że szaleństwo autora jest zdrowsze od naszej rozwagi.

...Wybaczcie mi, czytelnicy, napisałem hymn zamiast oceny...

...Myśl moja biegnie do jeszcze jednego człowieka..., który bardziej ode mnie był powołany do napisania o książce Majdańskiego. Myślę oczywiście o Doboszyńskim."

„Wiara i Życie", wrzesień 1937 r.:

„...Dobrze się stało, że piśmiennictwo religijne w Polsce wzbogaciło się o Gigantów — dawno już potrzeba było takiej książki mocnej, mówiącej prawdę bez obsłonek, a jeżeli kto ma prawo tak pisać, to na pierwszym miejscu chyba wierzący katolik."

Z. Konarzewski („Czas" z dnia 11. VI 1937 r.):

„...Katolicyzm nierozdzielnie związany z bytem Polski potężnieje obecnie, wzmaga się jakościowo jego spoistość i nadziemska moc.

...Zdobyto się od wielu lat na odwagę spojrzenia życiu w twarz. Najlepiej świadczy o tym inteligentna publicystyka katolicka.

„Książka Majdańskiego należy do interesujących dokumentów naszej epoki, okresu bezbożnictwa i wzmożonej wiary. Autorowi

i pracy można stawiać takie czy inne, słuszne lub złośliwe zarzuty; niemniej jednak trzeba podkreślić wydobycie z polskiego pokolenia młodych katolików najistotniejszych myśli o państwie i o duchu."

„Warszawski Dziennik Narodowy" z dnia 13. VII 1937 r.:

„...Są książki, które wpływają tak poważnie na myśl, że oddziaływują na postępowanie czytelnika. Do takich należą „Giganci."

...Gdy się czyta „Gigantów", ma się wrażenie, że człowiek słucha bojowego przemówienia. Styl tej ciekawej publicystyki jest tak swobodny, że czytając, nie myśli się o stylu. Tok poglądów przepojony iście polsko-chłopskim rozsądkiem, wszakże nie obcy im jest polot kultury krasomówczej. Koncentracja różnych źródeł wiedzy nadaje plastykę naświetlanym problemom społecznym i doprowadza do interesujących wniosków. Rzecz ma nie tylko logikę, ale daje wyborne efekty zdobnicze, paradoksy i aforyzmy."

Józef Czarnecki („Przegląd Katolicki" z dnia 25. IV 1937 r.):

„Niezwykła książka. Rozsadza ją dynamika oryginalnych, mocnych myśli. Przy przerzucaniu jej kart, które chłonie się chciwie w ustawicznej rozchwiei między zdumieniem i przerażeniem a podziwem i uznaniem, zda się, że słychać twardy trzask wyładowań elektrycznych, pojęć i haseł. W polskiej publicystyce nie spotkałem się dotąd z tak wielką dawką odwagi cywilnej, popartej tak wyraźną, zdeterminowaną wolą apostolstwa, idącą na bohaterski podbój świata.

...Książka dyszy, jak letnie południe, żarem takiej gorliwości, napięciem tak potężnym zdobywania ludzi dla sprawy Bożej, że można śmiało w niej uznać doniosłe narzędzie nowoczesnego apostolstwa katolickiego..."

„Dziennik Chicagowski" z dnia 11. VIII 1937 r.:

„Można czasem pisać na marginesie książki Majdańskiego, że ponosi go zapał reformatorski, względnie „do czerwoności rozpalony" poryw apostolski, prowadząc go do pewnej przesady. Nie można jednak przejść obojętnie obok jego wywodów.

I nie ma w tym ani słowa przesady, że „Giganci" to czyn katolicki na miarę nieprzeciętną..."

Tadeusz Dworak („Myśl Narodowa" z dnia 26. IX 1937 r.):

„Uderza nas oryginalna, przeważnie trafna ocena współczesności, krytyka śmiała, popędliwa, ale też docierająca nieraz do głębi duszy i do podstaw instytucji. Czyni to autor w imię potrzeb Europy łacińskiej i dążeń do Wielkiej Polski. Tę stworzy naród Gigantów, młode dziś pokolenie, rozrosłe jutro do potęgi heroicznych naśladowców Chrystusa."

Ks. Prof. Dr S. Wyszyński „Ateneum Kapłańskie", luty 1938:

„Do oceny tej książki przystępuje się z pewnym lękiem, by — raz — wyrozumieć intencje Autora, który w pracę tę włożył całą swą gorącą duszę, by — z drugiej strony — spełnić obowiązek wobec czytelnika.

...książka porusza tyle tematów, że chcąc ją sprawiedliwie ocenić, należało by rozbierać zdanie po zdaniu; wiele zdań, wniosków i twierdzeń wymagałoby wyjaśnienia, rozwinięcia, dyskusji. Bo mamy tutaj i zagadnienia filozoficzne, i teologiczne, i z dziedziny ascezy, wychowania, ekonomii, polityki międzynarodowej itd. Wiele z tych zagadnień jest nie nowych, prawie każde jednak z nich ma coś oryginalnego w oświetleniu, każde zawiera wiele prawdy, każde wypowiedziane z tragicznym wprost bohaterstwem, niezwykłą mocą przekonania, a przy tym bardzo wyrobionym, jędrnym, potoczystym stylem.

...Książka zawiera mnóstwo niesłychanie trafnych spostrzeżeń; Autor wypowiada je nieraz wprost brutalnie, formę tę usprawiedliwia częściowo głębokie przekonanie Autora, bojowy ton, bezwzględność programowania. Całe dzieło jest odważnym, zobowiązującym wołaniem o konsekwencję w życiu osobistym i społecznym, jest wołaniem o świętość. Nawet wtedy, gdy trudno zgodzić się w całości na podane przez A. oceny, charakterystyki, wnioski — nie można nie uznać wielkiego daru wnikliwości, oryginalnej i śmiałej oceny, szlachetnej intencji Autora. I dlatego książka ta zaleca

się Czytelnikowi, którego interesują problemy współczesnego życia; zaleca się zwłaszcza duchowieństwu i działaczom katolickim."

„Siewca", Poznań, organ nauczycieli-katol., grudzień 1937:

„Rzadko która książka polska może poszczycić się takim sukcesem, jak „Giganci".

...Po przeczytaniu tej książki i licznych recenzji pochwalnych — aż pali człowieka, aby z własnej także piersi wystrzelić jeszcze jednym gejzerem entuzjazmu na cześć autora i jego dzieła.

...Spróbujmy: 1) urządzić w Kole wieczór dyskusyjny: „sąd", czy „żywy dziennik" pod znakiem „Gigantów": za i przeciw; 2) otworzyć ogień dyskusyjny na temat „Gigantów" w miejscowej prasie; 3) pobudzić — zwłaszcza w miastach — do omawiania „Gigantów" na zebraniach dla dorosłych.

Niech w drugim wydaniu książka zapłonie potężniejszym jeszcze blaskiem i żarem. Niechaj dziesiątkom tysięcy nauczycieli, niechaj milionom wychowawców służy jako pochodnia na drodze do wielkiej, katolickiej Polski."

„Homo Dei", organ „Ligi Świętości Kapłańskiej", wrzesień-październik 1937 r.:

„Z teki wydawniczej ostatnich dni wyjmuję książkę, którą napisał człowiek świecki, a... którą powinien przeczytać każdy ksiądz. To Walentego Majdańskiego „Giganci".

Ks. E. Elter, T. J. („Myśl Rekolekcyjna", lipiec 1937 r.):

„Na książkę Majdańskiego pragniemy zwrócić uwagę naszych czytelników, bo w pracy rekolekcyjnej może ona oddać niemałą usługę.

Rekolekcjonista pełnymi garściami może z niej czerpać myśli, a nawet powiedzenia, bogate w treść, a silne w ujęciu; może w niej też znaleźć odskocznię dla myśli własnej, źródło apostolskiego uniesienia ducha."

GIGANCI,

TO WIZJA GODNOŚCI LUDZKIEJ
I OBRAZ – JUTRA ŚWIATA.

JASNE, IŻ PRACA TA MA POTĘŻNE BRAKI,
Z CZEGO PISZĄCY ZDAJE SOBIE SPRAWĘ AŻ NADTO
TOTEŻ SKŁADA JĄ JAKO RZECZ NAJMNIEJSZĄ
DO GMACHU PUBLICYSTYKI KATOLICKIEJ.

KSIĄŻKĘ PRZEZNACZA SIĘ TYLKO DLA WIERZĄCYCH
ALBOWIEM AUTOR NIE MA ZAMIARU NAWRACAĆ
TCHÓRZLIWYCH UMYSŁÓW, KTÓRE NIE ODWAŻYŁY
SIĘ DOTYCHCZAS SPOJRZEĆ ŻYCIU
WPROST W OCZY,
BY UJRZEĆ W NIM SIEBIE WOBEC BOGA JAKO OJCA,
I KTÓRYM, CO GŁÓWNA,
BRAK BYŁO DOTĄD ZDECYDOWANEJ WOLI
ŻYCIE SWE WIEŚĆ KONSEKWENTNIE
KU NIEŚMIERTELNOŚCI.

Niepokalanej

WSTĘP

SZALEŃSTWO NAJWIĘKSZE

Wiara jest owocem Łaski i o tyle sprawą rozumu, co woli. Przyjęcie wiary jest zobowiązaniem. Trudno, wchodząc w morze, wierzyć niezachwianie, że metr przed nami czai się głębia, a mimo to beztrosko kroczyć naprzód. Wiara w tę przepaść zmusza nie kroczyć, lecz popłynąć. I to nim stracimy grunt pod nogami. A gdy się tego nie umie, ta sama wiara zmusza — zawrócić, by snać nie stracić życia. Wiara wówczas zobowiązuje: wrócić lub płynąć. Nie zobowiązywać może tylko wariata. Podobnie zobowiązuje wiara religijna.

Przyzwyczailiśmy się na ogół traktować naturalne podstawy wiary, jako wyłączną własność uczucia i intelektu. Nic fałszywszego. Wiara bowiem religijna bardziej, niż wiara naturalna, bardziej niż nastrój lub zwykłe zaufanie — wymaga, nastawia, wstrzymuje, pcha, zmusza do takiego, nie innego czynu, do pewnej linii życiowej, sięga najdalej, bo wewnątrz człowieka, który z kolei swymi czynami mimo woli przetwarza na modłę własnego — życie wokoło.

Poziom wiary religijnej, jej siła potencjalna u różnych ludzi ulega stopniowaniu: maleje bądź wzrasta, nie tylko zależnie od tego, na ile mój rozum jest w tej czy innej chwili przekonany o prawdzie wiary, nie jeno

od stopnia posiadanej wówczas Łaski wiary, lecz także od mojej woli, od tego w jakiej mierze chcę postąpić w każdej sytuacji tak, jak mi każe Chrystus, jak mocno pragnę żyć jak On, im niezłomniej idę za Nim.

W woli tkwi chrześcijaństwo. Im mocniej pragnę żyć zgodnie z objaśnieniami wiary, tym silniej wierzę; gdy tego chcę mimo wszystkich i wszystko, wierzę niezachwianie. Nie wolno negować znaczenia rozumu dla wiary. Doceniać go trzeba w pełni. Lecz uświadomienie w rzeczach wiary, nie przesądza życia według wiary, inaczej każdy filozof i teolog katolicki tym przede wszystkim różniłby się od nie-filozofa i nie-teologa, że żyłby święcie; inaczej szatan byłby... aniołem. Jest zdumiewające, jak niezliczoną liczbę argumentów rozumowych na rzecz wiary spotyka myśl dopiero wtedy, gdy człowiek zdecydowanie zaczął żyć pełnią etyki katolickiej, jak rozwija on wówczas swą myśl w sprawach wiary, jak zaczyna szukać i znajdować wtenczas coraz liczniejsze dowody apologetyczne, jak poczyna naonczas rozumieć najgłębszą apologię, napisaną przez drugich. Czyż gdy apostoł nawraca, nie pomaga jemu. apologecie — głównie to, że żyje święcie, zaś umysłowi nawracanego to, że jest człowiekiem dobrej woli? Święty Augustyn nie wtedy mógł najumiejętniej bronić prawd objawionych, gdy się nawracał, gdy się sam przekonywał, lecz dopiero, gdy już żył jako święty. Podobnie fundamentalny myśliciel katolicki, Akwinata, nie byłby nigdy mędrcem tej miary, gdyby i sam nie był świętym, i gdyby nie żył w czasach, w których na oczach mędrca uprawiano świętość, które poza tym miały za sobą wieki całe, praktykowanej za wszelką cenę i na

wszystkich polach życia — świętości. Tylko ograniczona ilość uzasadnień katolickich trafia do umysłowości człowieka o przeciętnej dobrej woli, a ledwie drobna ich część go interesuje. Wielka apologia zaczyna się dopiero wśród... świętych, tam znajduje mistrzów i słuchaczy. Toteż właściwy klimat znajdzie katolicka myśl spekulatywna dopiero w życiu umysłowym świata świętych, w jego regionach poszybuje tak, by władna była uchylać zasłonę za zasłoną z Objawienia. Sama myśl niczego nie wyjaśnia: myśl i życie święte wyjaśniają wszystko.

Kto chce wyzyskać w pełni Łaskę wiary, kto pragnie ujrzeć niebo, poznać piekło, stwierdzić wszechobecność Stwórcy, mieć jak najbliższy kontakt z Chrystusem, wyczuwać namacalnie świat dusz; kto poprzez tłumy przechodniów, mury miast, zagrody wsi, poprzez faunę i florę, ziemię i gwiazdy pragnie widzieć ŻYCIE w całej rozciągłości, bez granic i końca, a w nim dojrzeć siebie w pełnej prawdzie i świetle — już tu: ten musi chcieć dobra nieograniczenie i nieograniczenie musi je urzeczywistniać. Tu droga, gdzie spotęgować można w sobie wiarę religijną; tu środek, dzięki któremu każdy z nas zdoła zostać światłym człowiekiem w ścisłym znaczeniu, bo widzieć będzie bez ograniczeń. Rozwój myśli katolickiej zachodzi wtedy, gdy towarzyszy mu w człowieku równolegle rozwój dobrej woli.

Oto czemu poziom wiary chrześcijan bywa różny, stan sumienia odmienny: ludzie w życiu praktycznym kierują się zasadą—jak chcę żyć, tak wierzę. Bywali — i są — zdolni organizatorzy, tworzący całe religie w ten sposób, że nadawali swą prywatną, dla siebie wygodną

etykę ludziom, których umieli skupić wokół siebie i tak przyrządzoną etykę nazywali chrześcijańską. Odpryski od katolicyzmu: schizmy, herezje — powstawały podobnie. Głowa zaimprowizowanego „kościoła", chcąc wyrzucić coś z etyki katolickiej, łączyła osoby o podobnych chęciach w wyznanie... ulepszone, do którego dorabiano filozoficznie etykę, opartą na... Ewangelii. Tak spreparowany „kościół" trzymał się dalej organizacją i wygodnictwem, pokąd go nie obaliło nowe wyznanie, o chwilowo lepszej konstrukcji lub wygodniejsze.

Na drodze uprawy dobrej woli powrócą odszczepieńcy do Rzymu, a więc nie tylko przez podanie im nauki i masowe „przejście" werbalne na katolicyzm, ile dzięki przygotowaniu odpryskowiczów do życia według wiary macierzystej. Uchrześcijanienie odbywa się nie tylko przez chrzest; wszak hurtem można by ochrzcić pół miliarda młodych pogan, którzy dorósłszy wyznawaliby pół miliarda etyk mniej lub więcej... protestanckich, bo miłowaliby Boga i ludzi o tyle, o ile by im to było dogodne. Albowiem liczba wyznań odszczepieńczych, acz niezorganizowanych dotąd w religie, jest w istocie taka, ile praktykuje się etyk, w tym lub innym stopniu różnych od katolickiej. Każdy poganin jest... protestantem, tyle że niechrzczonym, każdy ma bowiem etykę, zbliżoną mniej lub więcej do katolickiej, każdy określa coś jako zło lub dobro, nawet wolnomyśliciele, uważający wszak za złe — myślenie z nimi... niezgodne.

Można udawać, że się nie wierzy. Udawaczy niewiary jest moc. Nie wierzyć — jest nie podobna. Iluż było, co zginęli broniąc bezbożnictwa? Natomiast

w skłonność do udawania niewiary wpada się, zamierzając czynić inaczej, niż nakazuje wiara religijna. Iluż to jest takich, co mówią: nie mogę wierzyć — i oglądają się jednocześnie, czy to samo powiedzą obecni i dalsi, by w ten sposób móc się utwierdzić w swym silnym... przekonaniu. Niewiara ściśle intelektualna — to także wątpliwość. Powstaje ona stąd, że umysł nasz ma również i tę własność, iż może przypuszczać nieprawdę. Trwa ta wątpliwość zresztą tak długo, pokąd chcemy w niej tkwić, atoli słabnie, gdy pragniemy wyłącznie tak czynić, jak mówi wiara, a jest nawet nieszkodliwa, gdy tylko tak czynimy. Bywali święci z wolą dobrą heroicznie, a niepokojeni wątpliwościami wiary po grób. Wierzyli, nakazując to sobie wolą, wbrew patologicznie mazgajskim stanom umysłu. Starczyło.

Czy walczyć z niewiarą? — Nie ma z czym: niewiary nie ma. Są tylko skłonni wmawiać niewiarę w siebie i innych, gdy im z tym wygodnie. Zamykają oni krąg własnych wątpliwości religijnych nakazem: dość, odtąd „nie" wierzę, i taki stan autosugestii zwą niewiarą, a siebie niewierzącymi, gdy w istocie pozostają tylko symulantami niewiary. Bywają i stale wątpiący, których nie stać na silne wmówienie w siebie niewiary, którzy jednak są dość mocni, by uparcie powtarzać, iż dowody wierzących ciągle jeszcze ich nie przekonują. Muszą oni wprzód uleczyć swe mózgi z biegunki intelektualnej, a potem czynić zarzuty wierze. Na razie stoją biedacy — i krzyczą obłudnie: nie wiemy, dokąd iść! Acz mówią, iż nie wierzą w nic, wierzą dość wiernie w swe wątpliwości.

„Niewiarę” wywołuje egoizm, który, nie mogąc się zdecydować na ofiarność, powoduje powstawanie coraz to nowych „dowodów” przeciw wierze. Im większy kto egoista, tym bardziej z natury predysponowany jest do neurastenicznych stanów świadomości, tym częściej napastuje go zwątpienie, tym więcej trzeba mu... dokumentów, by mógł być zdolnym wierzyc. Najwięcej naturalnych danych do wiary ma urodzony bohater, najmniej sybaryta. Obnosząc się z niewiarą, dzieląc się swymi „nieuleczalnymi” wątpliwościami wokoło, jednocześnie — nie wiedząc o tym — sygnalizujemy stopień własnego egoizmu, a nie... myśli. Albowiem myśl prowadzi wprost do wiary, myśl nieegoistyczna, nietchórzliwa, czyli myśl wspomagana przez realizowaną miłość chrześcijańską. Gdybyż tak zwani „niewierzący” myśleli codziennie pół godziny, jak są niekonsekwentni! Im intensywniej myśleliby, tym wcześniej odzyskaliby wiarę. Jakże niepewny swej niewiary jest „niewierzący”.

Ci, co wierzą, mawiają: wierzył Kopernik, Pasteur, wierzymy i my. To nie argument. Gdy idzie o me szczęście, pójdę po nie, choćby tam nikt nie sięgał. Nie znam także gotowych ginąć za... niewiarę, pragnących za dogmat niewiary iść na męki i nie wiem, czy spośród nich znaleźliby się chętni iść na krzyż nawet wtedy, gdyby pozwolić sobie mogli potem na zmartwychwstanie. Więcej: kto i gdzie gotów żyć święcie, ba — żyje już jak drugi Chrystus, pomimo to, że nadal „nie wierzy”?

Nie chce nam się czynić całego dobra z towarzyszącymi mu cierpieniami, ofiarą, męką, wynikającymi

z życia według wiary, i to się niewiarą wykłada. Niewiara istnieje w woli, nie tylko wśród ludów czarnych, żółtych, masonerii. Dalsze pogaństwo świata jest w woli... chrześcijan. Poganie przede wszystkim patrzą na naszą wolę, nie na nasz katechizm, nie na wartość filozoficzną naszej prawdy. Prawda podawanej wiary staje się dla nich interesującą i jasną dopiero wówczas, gdy widzą naszą świętość.

Czy dowodzić prawd wiary? — Owszem, by porwać ostatecznie wolę. Nie podobna atoli wątpić ni chwili bez szkody dla woli. Kto dyskutuje nad tym, czy żyć i czy być zdrowym? Ewangelia ani razu nie wspomina o Platonie. Wszystkie filozofie będą arcykatolickie, gdy lubujący się w dociekaniach zostaną wpierw święci. To, czego chcę, jest fundamentem mojej logiki; gdy chcę żyć jak Chrystus — logiki logicznej. Kto wolę swą sprzągł z wolą Ojca w jedno, może myśleć jasno i kochać swobodnie. Ma przygotowanie do filozofii i do życia. Jest wychowany, a nie ten, kto zna zasady dobrego tonu i pełen jest systematów, rodzonych przez zwątpienie, a opartych na myśli, o której... na razie nikt nie zechciał zwątpić.

Czyż nie może spotkać mej wiary zarzut, przeciw któremu nie będę miał dowodu aż do śmierci, a przecież umierać muszę wierząc? Co więcej: muszę być gotów zginąć w obronie wiary, nim ów poszukiwany dowód na usprawiedliwienie mej wiary wynajdę. Czy w wypadku, gdy ciągle jeszcze wątpię, bo go nie znalazłem, obowiązuje mnie śmierć za wiarę? — Tak, inaczej nie będę zbawiony, więc wierzyć muszę bez ustawicznego wtykania palca w bok metodą tomaszową

Nawet dowodzić prawd wiary należy wierząc, inaczej dowodzący lub usiłujący samego siebie przekonać, wiarę własną i drugich osłabi. Ale i tu sama wiara, to za mało. Apologeta szczególnie naonczas, gdy przekonuje, musi żyć święcie, gdyż jego apologia wyrywa z posad wiarę słuchaczy, podstawy jej upłynnia, — apologia werbalna bowiem z oczywistego wątpienia wychodzi, przekonać zaś równie oczywiście nie może.

Wiara nie tylko jest nauką, jest także w każdej chwili jak najbardziej... osobista, bo wiąże się, jak nic w tym stopniu, ze... mną, teraz, w tej chwili i już na stałe, z mą wolą, z mym szczęściem. Dlatego stosować do wiary metodę dowodzenia naukowego można — niegodne katolika wierzyć wyłącznie „na wiarę" — i należy, ale czymże to jest w porównaniu z tym, gdy żyje się jak Chrystus.

Przyśpieszyć zaistnienie wiary może dobra wola. Wiara błyska przede mną oślepiająco, gdy widzę żywych świętych. Dowodzenie prawd wiary, choćby najhuczniej, najszumniej naukowe, najmisterniej, najściślej, najostrożniej najtchórzliwiej — jest igraszką: gdy żyć święcie nie jest zabawką. Dlatego może tyle bawiono się w książkową apologię: tańszy towar szedł, słowa — nie zawsze osobista świętość apologetów. Wiara jest prawdą bez dowodzenia wprost. Wszak już była prawdą, nim jej ktokolwiek dowodził. I zostałaby prawdą, choćby jej nikt nie dowodził. Chrystus nie potrzebuje stawiać świadków, prócz świętych.

Prawda wiary porywa tym, w jaki sposób dążymy do szczęścia. Bóg się jawi, w którejkolwiek stronie się znajdziemy, gdy Ty, ja — jesteśmy święci. A więc

wierzę! Szczęśliwy, kto dobrze zawierzył w sprawie duszy, kogo tutaj nie omylił instynkt szczęścia; najszczęśliwszy, kto zdobywszy wiarę, zmierza odtąd wprost do Ojca.

Katolicy uczyli, w co wierzyć, walczyli z wątpliwościami udających niewiarę, urojenia te rozpraszali, w książkach je najchętniej zwyciężali, w mowie, lecz nie usuwali doszczętnie najpoważniejszych wątpliwości, które powstawały, ilekroć nie-katolicy patrzyli na życie katolików, katolicy — na życie kapłanów... Nauczano, mniej dbając o wykonanie prawa miłości, o wolę. W ten sposób żadnego narodu żyć po chrześcijańsku nie nauczono, nie dano życia katolickiego. Byliśmy katoliccy w nauce, a nierzadko... protestanccy w wykonaniu, z wyjątkiem katolików bezkompromisowych. Stąd ustawiczne zmagania z niewiarą własnych wyznawców, z niewiarą, która pochodziła z uchylania się chrześcijan od czynienia w każdym wypadku dobrze; stąd brak przez dwadzieścia wieków planu przebudowy nie umysłowości, lecz życia świata. Albowiem bardziej życie zmienia umysłowość, niż umysłowość życie.

Wiarę wzmoże naśladowanie Chrystusa bez zastrzeżeń. Wiara wzrastała w poszczególnych punktach ziemi, gdy tylko znalazł się tam katolik naśladujący Jezusa bez wyjątków: święty. I malała tamże, gdy herosa dobrej woli zbrakło, acz pozostawały świątynie, kapłani, nauka, sztuka i prasa katolicka. Niewiara lęgła się w woli człowieka, który, nie widząc świętych, nie miał uderzająco przekonywującego dowodu o prawdzie wiary, nie miał z kim naśladować Chrystusa; ciekawe — wierzył w Niego i jednocześnie od Niego uciekał.

Katolicy bowiem na ogół bądź wstydzą się Pana Boga, bądź się Go boją, rzadko który miłuje Ojca. Czyż nie kończymy życia zazwyczaj w strachu? Azali nie wolimy raczej z daleka trzymać się od Pana Boga nawet myślą? Czy lubimy myśleć o śmierci jako pierwszej okazji zetknięcia się z Panem Bogiem?

Każdy z nas jako święty zdoła nawrócić otoczenie, a nawet tych, co najuporczywiej wmawiają w siebie, że nie wierzą; co nie mogą sobie wyobrazić, że zawsze czyniliby tak, jak sobie tego życzy Bóg, bo sądzą, że nie zdecydowaliby się na to. Uwierzą natychmiast, gdy się zdecydują. Nie wszyscy naraz powezmą decyzję, nie wszyscy więc jednocześnie się nawrócą, ale stanie się to tym szybciej, im każdy z nas: ja, Ty, inni — zostaniemy święci. Im na większą miarę, tym potężniejszy będzie krąg tych, co z nami czynić będą zawsze dobro.

Święci... Ja, Ty, wszyscy. Czyli Ty jako drugi Chrystus, ja — podobnie, inni, ludzkość cała — synowie Boży, świat herosów!

Czy wola nie drży nam febrycznie ze strachu przed „tym"? Czy nasz rozum, dostrzegłszy lęk woli, nie szuka natychmiast kontrargumentów przeciw temu postanowieniu? I czy nie wysuwa usłużnie, zaraz, na poczekaniu nawet wątpliwości co do samych... prawd wiary, mimo że dotąd wierzyliśmy przecież tak... mocno? Czy lękalibyśmy się w życiu czegokolwiek bardziej? Czy nasza natura, cały atawizm stu wieków parszywego życia, wlany nam w krew, nerwy — nie buntuje się przeciw tej decyzji? Czy dreszcz przerażenia nie targał nami, gdy nas atakowała myśl: zostanę świętym? Czy jest coś, co zwija równie potwornie

lękiem panicznym całe nasze jestestwo w jeden kłębek przerażenia? Czy pozwoliłby nam na świętość nasz egoizm i nasze szukanie wygody? Czy nie odezwałby się w tym miejscu potężnie, władający dotąd nami niepodzielnie — strach? Czy nie skurczyłaby się aż do trzewi cała nasza pseudo-wielkość, wyobrażając sobie, co powie na „to" każdy ze znających nas dotąd pseudoludzi, gdyby od jutra spostrzegł w nas, we mnie „drugiego Chrystusa"? Czy nie wzdragamy się przed tym zamiarem tak, jak przed oślizgłym szkaradzieństwem? Iluż ludzi myśl: zostanę świętym — odrzucało i odrzuca tak odruchowo, jak rzadko które niebezpieczeństwo? Nigdzie mizerna karzełkowatość człowieka nie występuje równie wypukle, nigdzie tak wola nam nie skowyczy, jak z tchórzostwa przed tym bohaterstwem.

Wszystko przeto od tego zawisło, czy odważę się zostać świętym, ja — i wszyscy. Decyzja tyle straszna, co piękna, wielka, szalona, ogromna. Być drugim Chrystusem i jednocześnie: jeść, mężem być — żoną — dzieckiem, chodzić po ulicach, bawić się, tańczyć, pisać, śpiewać i płakać, i rozkosz czuć godziwą. Być lotnikiem, żołnierzem, orać, podróżować, odkrywać, żebrać, bankami kierować; być ministrem, monarchą, nędzarzem może, księdzem, uczniem, wodzem — i zarazem świętym. Mimo że dalej, długo jeszcze, wszyscy będą tacy, jacy są, że tylko może ja sam, Ty, my sami w rodzeństwie, rodzinie, mieście, wsi, narodzie, świecie, państwie — może jedni jeno — będziemy święci i choćby nikt na kuli ziemskiej więcej.

Ile jednak, by tak postanowić, trzeba nam woli, a potem na urzeczywistnienie jej — niezależności, odwagi?

Czy nie bohaterstwem najszaleńszym jest być świętym?

Szczytowa demokracja i jedyna — świętość. Mieści się w niej każdy. Jest bo w niej boskość i człowieczeństwo dla każdego. Wszyscy tu wielcy, najwięksi: elita, lud. Przywracamy tedy naokoło wiarę, naśladując Chrystusa, lecz nie płaczliwie, smutnie — że jeno sami — nieśmiało, tragicznie, czy tragikomicznie; nie śmiesznie, politowania godnie pobożnie, lecz pobożnie radośnie. Pobożność jest świętością, gdy jest radosna. Święty smutny — to nie święty. Smutek jest życiem szatana, a jego uciechy — tragikomedią podrobionego szczęścia. I odwaga jest o tyle naturalna, o ile jest radosna, czyli święta; naonczas jest spokojna, największa. Wszak jako pierwsi synowie świata idziemy wygrać życie. Co nas obchodzi cierpienie, skoro nie chcemy go unikać; co śmierć, gdy nam daje nieśmiertelność. Chcemy szczęścia i zdobywamy je na najofiarniejszych szlakach dobra. Chcemy żyć i oto padamy w objęcia Ojca wkraczając od razu na niebiosa Łaski, więc w życie bez śmierci, bo bez grzechu. Jeszcześmy tu, a już jakoby na pokojach Ojca, gdyż każdej chwili czynimy Jego wolę, jako i tam ją czynią. Kto na nas patrzy — już nie wierzy — lecz widzi, że jest Bóg, gdyż my Go widzimy w człowieku i poprzez miłość naszą do ludzi objawia się Bóg i Boży Zakon. Czyż najwalniejszym z dowodów, argumentem przygważdżającym na rzecz wiary — nie jest... cud osobistej świętości?

Apostołom nie tylko wierzono na słowo: w ich życiu dostrzegano Boga. Gdyby nawracać trzeba było słowami, Chrystus spisałby był księgę: On jeno żył jak

Bóg. Życie katolickie przede wszystkim nawróci świat, nie tylko misje. Gdyby czterysta milionów katolików już dziś wyznawało Ewangelię nie samą myślą, nie jeno tym, że są przekonani rozumowo o jej prawdzie, nie werbalnie, nie administracyjnie, lecz czynnie: jutro świat cały byłby katolicki. Niestety, świat dalej nawracają tylko misjonarze, a czterysta milionów białych murzynów w życiu praktycznym poganieje. Katolicy mają lepszą dyplomację niż apostolstwo; lepiej lawirują, niż nawracają. Ciekawe, że Chrystus nie był dyplomatą, bo czyżby wówczas chciał był iść na krzyż? — wszak znalazłby dyplomatyczne wyjście? Czyżby zabronił także Pan kręcić dyplomatycznie, gdy kazał mówić wyłącznie „tak, tak, nie, nie"? Katolicy się ruszają od krachu do krachu, od herezji do herezji, poza tym... nauczają, przekonywują mniej lub więcej wygodnie wieki całe, czekając aż nowy krach ich obudzi. Kościół tak mało dał ludzi, co konsekwentnie budowaliby świat świętych. Czyż nie gigantem, szaleńcem i świętym był Paweł jako wódz, Poverello jako „szary" człowiek? Usiłując z niesłychaną energią wprowadzić Chrystusa w całe życie przez Akcję Katolicką, jest Pius XI wielkim papieżem świata Gigantów.

Sprowadzamy więc Boga na ziemię przez bohaterską miłość do Niego i bliźnich. Odtąd nie może wydawać się On oczywistym dopiero na niebiosach, w teologii, filozofii, nie jest już przedmiotem dociekań i dowodów na swe... istnienie, w obrazach jeno widoczny, ale staje się oczywisty na ulicy życia, wszędzie, gdzie miłość nasza wszystko ogarnia. Odtąd Bóg staje się czynnikiem współtwórczym życia nie metafizycznie, mistycznie,

abstrakcyjnie, katechizmowo, domyślnie, nie w modlitwie tylko i na czas konania, ale widzą Pana wszyscy na gorącym uczynku zaistnień, ilekroć nas widzą, jak my czynimy dobrze li tylko dlatego, że Jego obecność jest nam w każdym z ludzi tak konkretna, iż Jego ponad wszystko, a bliźnich dla Niego kochamy.

Są ludzie, co sprowadzają obecność Bożą niemal materializując Stwórcę, i są, co podkopują wiarę w Jego istnienie nic nie mówiąc: zawsze zależnie od tego, co czynią.

Wiara jest sprawą Łaski i tyle rozumu, co woli. Zobowiązuje raz na zawsze — wszechobejmująco. Jest jedynym zupełnym światopoglądem, gdyż jest programem z góry gotowym na każdy przejaw życia i na ciąg jego w nieskończoność całą. Program ów ma tę własność, że gdy go wykonam, stwierdzę w chwili śmierci, iż więcej dobra na mym miejscu nikt by nie dokonał, że umieram najszczęśliwszy — ja — Ty... Żyjąc, napełniamy świat miłością i umieramy weseli, by żyć dalej wyłącznie pełnią szczęścia już w życiu bez śmierci. Wierzymy najpotężniej, gdyż niesiemy miłość najżarliwszą, która z kolei cały świat nawraca.

Nie możemy nie być, przeto musimy być szczęśliwi, zatem zostajemy święci. Nic nie jest takie jasne. Wierzymy, bo czynimy dobrze; czynimy dobrze, bo wierzymy. Im bardziej ja, Ty, im poprzez większą nas gromadę rzucać się w oczy ludziom będzie postać Chrystusa, tym szybciej nieprzemierzoną pustkę życia napełnimy dobrem, a śmierć — życiem.

Dążenie warte tytanów. Poza nim rozciąga się to, co było dotąd: bytowanie w różnych cywilizacjach mniej

lub więcej nędzy pełne, które usiłuje przedłużać higiena i medycyna; niby-życie, które żabija Boga i usiłuje ostatnio wywabić Bóstwo z nas bez reszty, nazywając owo sterylizowanie ducha — postępem. Czyż trwanie dwu miliardów ludzi w tym podziemiu wegetacji, pozostawianie ich tam dalej — nie jest zbrodnią?
Gdyby ich wydźwignąć, całą w nich dobrą wolę rozkuć, na rasę synów Bożych przebóstwić, stworzyć świat świętych?!

Trzeba byłoby na to nieść w czynie miłość najżarliwszą, świętość, jakiej poza Kalwarią nie znało słońce, więc wiarę wszechmocną i równy jej heroizm miłości. Dać to mogą bohaterowie doskonali — święci-Giganci.

Świat czeka, by rozszalała świętość.

CZĘŚĆ PIERWSZA

CYWILIZACJE NIEŚMIAŁE

I

WSTYDZENIE SIĘ PANA BOGA

Jak dotąd świętość raczej się kryła.

Nawet spośród najbardziej radykalnych naśladowców Chrystusa, zakonników, pewna ich ilość znajdowała się w klasztorach prawdopodobnie dlatego, bo tam kryć się mogli swobodnie ze swoją pobożnością. Gdyby według nich sądzić, można by przypuszczać, i to fałszywie, iż całe życie klasztorne wzięło się z wygodnej ucieczki od „przeklętego" świata w miejsce zaciszne, gdzie nie trzeba się lękać, że pobożność ktoś spostrzeże, zaczepi, wyśmieje, zelży. Wprawdzie olbrzymia większość, istotnie powołanych do świętości, wstępowała do klasztorów z najszlachetniejszych pobudek, a nie ze strachu, tym niemniej uderza na ogół u świętych postawa zbyt defensywna wobec świata, charakterystyczna mniejszym lub większym lękiem, postawa niejako — świętego-specjalisty. Tymczasem specjalność bywa głęboka, ale wąska a pobożność nie mieści się w ciasnocie, bo szybko tam ginie, gdyż przez swą wąskość staje się właśnie po prostu ślepa. Czemu jednak ci, co powołani byli do świętości w życiu świata, uciekali nerwowo do klasztorów? Czemu woleli raczej myśleć przede wszystkim o sobie,

sami siebie doskonalić, a jeżeli dbali i o innych, to dlaczego zbyt specjalnie? Czyżby cierpieli na pewnego rodzaju egoizm, podsycany strachem, że wśród ludzi nie mogliby być świętymi? Czyżby czuli, że brak im do tego siły charakteru, a przede wszystkim odwagi żyć odmienniej niż wszyscy pozostali — w przeklętym świecie? A jednak za „przeklęty" świat umarł Chrystus, nie za klasztory same. A przecież, ile by dali faryzeusze, gdyby Zbawiciel między trzydziestym a trzydziestym trzecim rokiem swego życia poszedł był... do klasztoru. Czy wiedzielibyśmy wówczas, jak żyć poza klasztorem? Toteż dotychczas niezmierzone obszary życia zostają pogańskie, gdyż nie widzimy porywających żywych wzorów, jak żyć, nie widząc wokół siebie drugich Chrystusów. W celach naśladuje się raczej wielkich zakonników niż Jezusa, któremu celą był świat cały.

Tak czmychali — z niewielkimi wyjątkami — z areny życia urodzeni rewolucjoniści z ducha, dlatego ludzkość przechodziła różne przewroty, a nie tknęła jej dotąd rewolucja miłości i świat na próżno czeka, by zdobyli go święci.

Dla szatana było wyjątkowo dogodne, gdy niebezpieczni wywrotowcy sami siebie internowali w zamknięciu klasztornym. Nie było więc wielkiej obawy, by zarazili świat świętością. Specjalna klauzura strzegła, owszem, by zbytnio nie udzielali się życiu, a to ze strachu, by się nie popsuli. Jaka atoli wartość świętych, którzy się w świecie popsują? Gdzie święci, których nie świat zdobyłby dla szatana, lecz oni świat dla Chrystusa? — Jakże liczymy ich niewielu. Uwa-

gi też godne, iż żaden z apostołów nie był w klasztorze, lecz poznawał wolę Jezusa w życiu, nie w celi, i przez trzy lata zaledwie.

Organizowanie życia świętego wśród samotników wyłącznie i tylko w klasztorach — to grubo za mało. Było to jasne już od wojen krzyżowych, stało się zaś szczególnie oczywiste od czasu powstania ruchu tercjarskiego. Ale tyle, że było oczywiste i jasne. Bo przecież nadal święci pozostawali zasadniczo w klasztorach. Gdzie święci, chociażby, organizujący państwa i kulturę po chrześcijańsku? Dziś znowu rozumie się ich konieczność, lecz dalej brak tego typu świętych zarówno w polityce, jak i kulturze świeckiej w ogóle.

Prawdopodobnie, gdyby rozwiązano zakony współczesne, które coraz większy udział biorą w życiu „świata", pewna część ich członków, ci mianowicie, co wstąpili do klasztoru ze strachu przed światem, przestaliby dążyć do świętości wstydząc się wyznawać Mistrza w trudnych warunkach zwykłego życia. Nawet ci z nich, co gorliwie uprawiają ascezę klasztorną, kto wie, czy wytrzymaliby nacisk opinii powszechnie przyjętych obyczajów pogańskich oraz to wszystko, co nastręcza okazje do zaparcia się siebie, gdy się w życiu świeckim dąży do świętości. Te „biczowania", „posty", „jałmużny" byłyby może ponad ich siły; nie ma bowiem nic straszniejszego, jak iść samemu w jednym kierunku, gdy wszyscy, miliony — kroczą w przeciwnym. Czy przeto długo wytrzymaliby to osamotnienie? Czy znieśliby te tortury? Jakie byłoby ich samopoczucie? Czy nie musieliby wpierw zostać bohaterami szalonymi, by móc nieprzerwanie kontynuować doskona-

łość? Życie święte wśród świata jest udręką najnieznośniejszą, pokąd uparte urzeczywistnianie doskonałości nie wydobywa z człowieka na trwałe maksimum niezależności i odwagi lub pokąd święci nie idą naraz na zdobycie wszystkich terenów świata. W pierwszym wypadku jest się swobodnym świętym, zdobywczym, nie tchórzliwym, uświęcającym życie w każdych warunkach, z dewizą na czole: jam zwyciężył świat! W drugim wypadku świętość stać się może wręcz — modą. Po tych świętych wyciąga świat ręce ciągle jeszcze na próżno.

Uwagi godne, iż żaden papież nie rządzi z celi, lecz najżywsze utrzymuje ze światem stosunki, choćby osobiście z całą energią dążył do świętości. Z chwilą, gdyby się zamknął, Kościół począłby słabnąć. To samo powodowała wyłącznie zamykana świętość: zwyrodnienie życia klasztornego i brak wpływu świętych na życie świata.

Postawa klasztorów wobec życia w zdecydowany sposób zaciążyła na postawie życiowej katolików w ogóle. Dlatego to życie katolików do tego czasu ciągle jeszcze raczej boi się, ukrywa przed panem tego świata — pogaństwem; ciągle, że nie zdobywcze, nie chce być radosne, odważne, zwycięskie. Kiedy nareszcie na wzór Mistrza wejdziemy w całe życie świata jako Ziemię Świętą, by wszędzie zachować doskonałość? Odkąd świat weźmiemy za jeden zakon Chrystusów?

Owa defensywna postawa ma zresztą swoją bardzo dawną tradycję. W pierwszych trzech wiekach umieli się chrześcijanie raczej trzymać poza życiem publicznym. Na tak wylęknioną postawę, przypuszczać na-

leży, wpłynęło nie tylko nastawienie życia duchownego ówczesnych chrześcijan na rzeczy ostateczne, nie jeno normalna w sprawach publicznych bierność tak potężnej wtedy warstwy chrześcijan, jak niewolnicy, ale także zwykła ludzka obawa, by na skutek zbyt manifestacyjnego ujawniania swej wiary, za wcześnie nie tracić życia. Gdy demaskowano oficjalnie ich chrystianizm, ginąć potrafili tak radośnie, ofiarnie, jak nikt przed nimi w dziejach. Do dziś jest podobnie. Czy nie giniemy w Sowietach, Meksyku, Hiszpanii? Czy nie gotowiśmy ginąć w Polsce? A jednak boimy się w dalszym ciągu, już od zaraz, od tej właśnie chwili — nie dopiero przed śmiercią — jawnie wszędzie wyznawać Pana, co więcej — wprowadzać Go wszędzie. Tymczasem ani Chrystus, ani uczniowie z Nim przebywający nie uprawiali konspiracji, aczkolwiek z tego powodu bezcenny pobyt Zbawiciela na ziemi miał być tak krótki. Tchórzostwo i dyplomacja w różnej postaci zaczęły się w naśladowaniu Jezusa po Jego śmierci, trwając dotąd. Dlatego cisi chrześcijanie znajdowali się w całym imperium, dworu cezarów nie wyłączając, wyraźnie jawnych za mało było, chyba że prześladowania mocno cichły; zdobywczych, imperatywnych, cezariańskich—brak był zupełny. Atoli wykryci umieli pierwsi chrześcijanie, nawet najpotulniejsi, ginąć jak bohaterowie. Potrafili żyć święcie w życiu osobistym i prywatnym, dość roztropnie maskując się na innych terenach, w gotowości zresztą stałej na śmierć heroiczną w ostatecznym razie. Nie umieli natomiast stale żyć na zewnątrz, publicznie po chrześcijańsku w tejże gotowości i z równym heroizmem, z powodu czego

nie zdołali zorganizować państwa w duchu Chrystusa i podbić dla Niego wszystkich agend imperium. To była ich słaba strona. Rzymianie podziwiali ich, gdy marli odważnie, nie mogli podziwiać, gdy raczej ukrycie, prywatnie, za mało władczo, wręcz niezdobywczo wyznawali w życiu Boga. Ich chrystianizm był raczej kapłański, zakonny, samotniczy, osobisty, lecz nie świecki, rodzinny, obywatelski, polityczny, kulturalny. Znano ich dobrze z chwil śmierci, mniej z życia, zwłaszcza publicznego. A tym tylko: bohaterstwem życia na zewnątrz chrześcijańskiego — zaimponowaliby Rzymianom, zdołaliby nawrócić i zorganizować po chrześcijańsku ówczesny świat cywilizowany. Tak więc długotrwała tragedia wczesnego chrześcijaństwa miała swe źródło w tym, iż chrześcijanie nie opanowywali całości życia, wiodąc do czasu życie nierażąco chrześcijańskie, które nie odbiegało pozornie od szablonu poprawnego na pierwszy rzut oka pogaństwa.

Jeżeli w obecnych czasach doszliśmy znów od chrześcijaństwa do pogaństwa, to tylko dlatego, że symulacja podobna, acz w najpodlejszej odmianie, katolicyzm „nierażący", trwa i dziś w nieporównanie większym stopniu, ze względu na... „żonę", „dziecko", „kawałek chleba", „posadę", „trzeba żyć" oraz to, że „od człowieka nie można żądać bohaterstwa"; acz wielu z nas „ostatecznie" i zginęło by za wiarę w... ostatniej chwili, symulując atoli aż do najdalszych możliwości życie „nierażąco" katolickie.

W ten sposób wszyscy od góry do dołu boją się skutków, jakie pociąga jawna, bezkompromisowa miłość Boga i bliźnich. Nie umiemy naśladować Chry-

stusa aż do krzyża, przed którym dyplomatycznie uciekamy. Dlatego przez dwa tysiąclecia nie obserwowaliśmy pełni ingerencji Jezusa w życiu świata, ani nawet w średniowieczu, gdy z niesłychanym rozmachem organizowano życie samotników w formy życia świętych, a nie potrafiono nadać trwałego rozmachu formom chrześcijańskim — życia ludzi rodzinnych, w szczególności w dziedzinie kultury, ekonomii, polityki i ascezy.

A właśnie świat katolicki na tym najwięcej tracił, że nie kultywował heroizmu świętości w życiu świeckim, wśród sfer decydujących, na miarę właściwą, że nie śmiał zbudować życia ludzi rodzinnych jako świata praktykującego konsekwentnie chrześcijaństwo.

Gdyby pierwsi ofiarnicy weszli nie na pustynie, ale w życie ówczesne: legie i miasta, pałace i chaty, szkoły i akademie, usiłując tam za wszelką cenę żyć, pracować i tworzyć jak Chrystus, nie byłoby schizmy bizantyjskiej, przedtem lawiny odszczepieństw, inaczej świat by wyglądał w drugiej połowie pierwszego tysiąclecia, w pierwszej i drugiej obecnego i jakże słoneczniej dzisiaj.

Brak świętych w życiu „świata" spowodował to, że Ewangelia ślizgała się po wierzchu życia, tu i tam muskając je co nieco; że nie przeorała instynktów, natury, nie wzmogła głosu krwi duszy: pędu do Boga jako Ojca; że nie wierzono od czasów humanizmu w aktualność uświęcenia świata, nie wykazywano odtąd zdobywczego do niego nastawienia, odkładano to ciągle do jakiejś szczęśliwej ery, której data ginęła we mgle. Dlatego byli święci, Kościół, katolicy i w tych społeczeństwach

nikt tak długo nie miał odwagi chociażby znieść niewolnictwo chłopów, nikt nie miał śmiałości tego żądać od monarchów, arystokracji katolickiej. Święci klasztorni tych czasów bali się wprowadzić rządy miłości bliźniego w życie pozaklasztorne.

Ale czy byli w stanie to uczynić? Czy mogliby sami temu podołać? — Nie. Dlatego to, co tu mówimy o życiu zakonnym, wyrywa się tylko jako krzyk duszy na widok niezrozumiałego dla katolika rozdziału chrześcijaństwa na dwie połacie: życia świętych w klasztorach i wegetacji świeckich w wirze życia.

Nie jest to potępienie zakonów. Zastrzec się tu trzeba najenergiczniej: potępiamy brak świętości w życiu świata, potępiamy odgradzanie się świeckich od realizowania świętości w swym życiu — zinternowanie świętości w klasztorach.

Zdawać sobie bowiem trzeba sprawę z tego, że pewna kategoria powołanych do świętości nie mogła i nie może w inny sposób dążyć do doskonałości chrześcijańskiej, jak tylko w klasztorach. Potępiamy więc tych, co są stworzeni do świętości w życiu świata, a tchórzą przed światem i albo uciekają do klasztorów, albo marnieją wśród świata jako katolicy przeciętni. Potępiamy ów fatalny brak zrozumienia, że w tym samym stopniu, co w klasztorach, a nawet nierównie więcej są potrzebni święci w życiu świata na wszelkich przodujących stanowiskach. Albowiem dopiero wtedy, gdy równolegle do rozkwitu świętości zakonnej rozwija się świętość w życiu świeckich, specjalnie zaś w życiu tych, co stoją na wyższych szczeblach hierarchii społecznej — dopiero wówczas trwać może harmonia w cało-

kształcie życia chrześcijaństwa, w jego życiu religijnym, kulturalnym, politycznym, cywilizacyjnym; wtedy jeno „świat" i klasztor stanowić mogą jeden — zakon Chrystusów.

Pierwsi zorganizowali swe życie jako świętych — samotnicy. Nikt dotychczas nie ośmielił się budować równie konsekwentnie życia ludzi rodzinnych i samotników świeckich, co było źródłem rozbratu między chrześcijaństwem klasztornym a pozostałym światem. W tym „rozdzielonym" na dwie logiki życia chrześcijaństwie zakony zrobiły, co mogły. Ograniczoność ich wpływów, upadki, braki ich kultury oraz większe lub mniejsze zamknięcie, odgrodzenie się od „świata" — musiały się zaznaczyć. Wynikało to z samego typu ich psychiki samotniczej, z odosobnionego środowiska ich życia oraz z wpływów, jakie wywierała na poziom moralny życia zakonów — cała ogromna reszta ludzkości, zawsze niższa moralnie i nigdy, nawet w najlepszych dla katolicyzmu czasach, nie ujęta w tak zdecydowany organizm społeczny wychowawczy i samowychowawczy, jakim była społeczność klasztorna.

W tych to trudnych warunkach zakony spełniły znakomicie swą dziejową misję. Przez piętnaście wieków były oazami prawdziwego człowieczeństwa. W nich bodaj jedynie spotkać można było ludzi jako drugich Chrystusów, w których czynach palił się nieustannie najczystszy ogień do Boga jako Ojca i braci zakonnej jako bliźnich. Wyłącznie w społeczności klasztornej wyznawano Ewangelię bez kompromisu. Tu wychowywali się wszyscy. Tu nie stawano z doskonaleniem się nigdy w pół drogi, lecz podejmowano wysiłek wycho-

wawczy w skali serafickiej z nieznaną nigdy i nigdzie „światu" energią, by w rezultacie — kochać, jak Bóg. Tu wyłącznie wszystko usiłowało być wychowawcze, cały ustrój klasztorny — szkołą świętych, całe życie zakonne gromadnie — rodziną Ojca, a wszyscy — konsekwentni i logiczni we wszystkim. Stąd szły w świat jeżeli nie zawsze czyny zewnętrzne na miarę archanielską, to wieki całe myśl prometejska, a stale modlitwa, cierpienie i ofiara za ludzkość. Tu bytowała ustawicznie ta cząstka sprawiedliwych, o których mówi Pismo, że dzięki nim Stwórca nie spala całkiem życia i jest Dobrocią nie Sądem. W podziemiach klasztorów spoczywa Żołnierz Nieznany, który bojował o większą jeszcze, bezmierniejszą... miłość ludzi do Boga. Tu Kalwaria i Serce Świata miały swe sanktuaria, tu swe źródła ludzkość bohaterska, tu siedzibę rezerwaty najczystszej cywilizacji chrześcijańskiej: zalążki, laboratoria, pracownie, seminaria — przyszłego świata świętych. Zakony podawały miłośnie rękę każdemu bez wyjątku przez tysiąc sześćset lat, kto chciał żyć, jak Chrystus, niezależnie od każdocześnie panujących wśród „świata" zabobonów-ograniczeń: urodzenia, majątku, stanowiska, wykształcenia — i zapewniały wszystkim swym członkom nieśmiertelne w bezkresie wieków pozycje w hierarchii najwyższej arystokracji ducha, bo wśród elity elit: świętych.

Dziś nadszedł czas, by człowieczeństwo objęło całą ludzkość, by każdy żył, jak dziecko Stwórcy. I tu właśnie zakony dają półtora tysiąca lat swych doświadczeń heroicznych, bez których aktualna obecnie realizacja Królestwa Bożego zaczęłaby od... próżni, a i świat

chrześcijański z życia zostawałby nadal najwspanialszą jeno utopią. Zakony w cywilizacji jutra zostaną nadal zasadniczą kadrą elitarną ziemi. Dawać będą zawsze Kościołowi samotniczych świętych, ów najwyższy typ ludzi, którzy wszelkie wartości estetyczne, naukowe, techniczne, głównie zaś nadprzyrodzone rozwijać będą, rozpoczynając ich uprawę na poziomie moralnym człowieka-bóstwa . W ten sposób bez przeszkód ze strony własnej woli kontynuowaliby rozwój wartości nadprzyrodzonych i kulturalnych, jako maksymalnie wolni synowie Boży, a więc jako sól soli ziemi i światłość świata.

Jakże natomiast nieskończenie mniej odwagi i logiki w porównaniu z katolikami zakonnymi wykazali katolicy świeccy, rodzinni i samotni, działający wśród świata. Ich tchórzostwo przygotowywało wśród siebie grunt pod schizmy, herezje, „oświecenie", liberalizm, laicyzację wszystkiego i wszystkich.

Tchórzostwo to podszywało się ze swą febrycznie strachliwą taktyką pod cnotę roztropności lub pokory i pyszniło się tym jako talentem dyplomatycznym, który miał na celu „nie razić zanadto" Chrystusem świata. Dyplomacja jako kłamstwo wykwintne jest w rękach państw rzecznikiem ich interesów i... wielkości. Czy można jednak bać się razić Chrystusem, gdy się jako katolik jest Jego przedstawicielem i czyni to w ramach miłości? Czy taki reprezentant nie posiada wiary w wielkość Pana zamierzwionej strachem? Chrześcijaństwo nie ma nic wspólnego z dyplomacją, gdyż naśladować Chrystusa — to nie krętaczyć w jedwabnych

rękawiczkach. Nic bardziej nie ubliża Bogu-Człowiekowi, jak dyplomacja w obronie Ojca.

Czyżby Syn Boży potrzebował na swą obronę szachrajstwa w formach wersalskich? W dyplomację bawił się szatan, gdy kusił Pana.

Największy jednak grzech dyplomacji katolickiej — to osłabienie z jej powodu jasnego i prostego stosowania Ewangelii w życiu mas katolickich. Ludzie prości dyplomację odgórną widzą dobrze i też po swojemu układnie, wygodnie, kompromisowo idą za Mistrzem. Obserwujemy na skutek tego szkaradne zjawisko, nagminnie, epidemicznie wśród katolików panujące: wstydzenie się Pana Boga.

Nade wszystko wstydzimy się dawać do zrozumienia, że kierujemy się wolą Bożą. Nawet gdy motywem naszego postępowania jest Bóg, wstydzimy się motyw ten jako dla nas decydujący uwypuklić, aby snać nie myślano, że liczymy się z Bogiem. Kto ma, chociażby, tyle odwagi, by pożegnać rozbawione towarzystwo późną nocą z soboty na niedzielę, tłumacząc obecnym, iż odchodzi, bo musi zdążyć na niedzielną Mszę świętą, albowiem nie chce mieć grzechu śmiertelnego? Który z tak zwanych prawdziwych mężczyzn nie wstydziłby się powiedzieć tego w „eleganckim" salonie? Który z dobrze wychowanych panów, tańcząc z kobietą, nie wstydzi się tańczyć z nią moralnie, a gdy ona zbytnio się zbliża, który ma odwagę powiedzieć jej, że Bóg się tym brzydzi i że on skutkiem tego tak tańczyć nie będzie? Która organizacja ma odwagę urządzać u siebie zabawy i wieczory towarzyskie nie w soboty, lecz w niedziele, by jej członkowie nie opuszczali Mszy? Gdzie jest in-

stytucja organizująca rozrywki katolickie, na których mógłby śmiało gościć — Chrystus? Kto znajdując się w towarzystwie, zachłystującym się „tłustymi" kawałami, nie wstydzi się odezwać, by przestano? Kto nie krępowałby się powiedzieć, że rozmów takich prowadzić nie będzie, na to nie pozwoli, bo zabrania tego Bóg, którego on nie chce obrazić? Kto idąc rojną ulicą, gdy dzwonią na Anioł Pański, nie wstydziłby się zdjąć czapki i pomodlić się sam jeden wśród tłumów... katolickich? Czy nie wzięto by go w danym wypadku nawet w Poznaniu za... pomyleńca? Która katoliczka nie wstydzi się ubrać skromnie na bal, gdzie wszystkie panie będą obnażone, i podać, gdy o powód „dziwnego" stroju ją zapytają, że nie chce martwić swym strojem Chrystusa? Który młodzieniec nie wstydzi się oświadczyć współkolegom, że zachował dziewictwo jedynie dlatego, że tak mu kazał Bóg? Kto z katolików śmiałby modlić się w wagonie podczas podróży? Kto z podróżnych nie wstydzi się uklęknąć w pokoiku hotelowym i pomodlić się rano i przed spaniem, choć patrzałaby na to służba? Który żołnierz nie boi się tego uczynić w koszarach, gdzie obowiązuje pobożność na rozkaz w granicach regulaminu? Kto się nie wstydzi, mimo iż tego wielce pragnie, wchodząc do miłego sobie domu, powiedzieć na głos: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, a więc tak pozdrowić drogie osoby, jak pozdrowi niebiosa na progu Życia? Kto się nie lęka mówić, że wierzy w niebo, piekło, czyściec, że się spowiada, że się modli, że miłuje Chrystusa Pana?

Wstydzimy się nawet Pana Boga w świątyni, a więc tam, gdzie przyszliśmy Mu cześć oddać? Kto w koś-

ciele ma odwagę klęczeć na obu kolanach? pobożnie ręce złożyć? święconą wodą — nie nerwowo, strachliwie, ale powoli, z szacunkiem się przeżegnać? krzyż przy wejściu ucałować? Czym, jak nie tchórzostwem przed ludźmi, tłumaczy się to, że wszedłszy do świątyni nie idziemy dalej na kościół, lecz raczej trzymamy się pod chórem? że boimy się zachowywać na nabożeństwach tak, by nas wzięto za... pobożnych, czyli wolę Bożą pełniących? Kto się nie wstydzi iść do spowiedzi, Komunii tak, by to było wszystkim najbliższym widoczne, chociażby przez to zaczął uchodzić za „świętego"? Kto się nie wstydzi wracać od ołtarza Komunię przyjąwszy z rękami skrzyżowanymi na piersiach lub choćby złożonymi na znak, iż czci Chrystusa? Czy nie przestałby się wstydzić, gdyby w świątyni był sam, gdyby nie widzieli go ludzie, wobec których musi udawać, że niewiele sobie robi z Boga, którego dopiero co przyjął, że wcale, mimo że Go przyjął, nie jest „taki" pobożny?

Ciekawe, iż niejeden jest bardziej pobożny, gdy zostaje sam, niż gdy na niego ludzie patrzą. Znaczyło by to, że wstydzimy się Pana Boga ze względu na to, by nas ludzie nie wzięli za katolików, liczących się z Bogiem. Toteż wielu modli się w świątyni bardzo pobożnie, o ile razem z nimi nikogo nie ma. Ilu pacierz odmawia w domu, a wstydzi się go odmówić, gdy znajdzie się wśród ludzi? Kto się nie wstydzi zawiesić na głównym miejscu w mieszkaniu obraz religijny i to nie mikroskopijnych rozmiarów, taki, by nie „raził"? Kto się nie wstydzi iść do świątyni z gromnicą w ręku, którą wszak pragnie trzymać w chwili konania? Kto się nie wstydzi wziąć udział w śpiewie kościelnym, gdy wszy-

scy milczą wstydząc się na głos śpiewem modlić? Ilu by uklękło przed Wiatykiem na ulicy, gdyby na ulicy nie było nikogo więcej z... katolików? Ilu wierzy silnie, a nie przyznaje się do tego głośno? Ilu urzędników przynosi w kieszeniach do biur krzyżyki, na szyi je nosi, a który nie paliłby się wstydem, gdyby miał zawiesić krzyż na ścianie swego urzędu? Ilu mężczyzn spowiada się wieczorem, bo ich wtedy nie widać, a jak mało za dnia, by nie dostrzeżono, że chcą się oczyścić z grzechu? Ilu by więcej spowiadało się, gdyby spowiadający się mógł być niewidzialny dla księdza i wiernych? Ilu osobom, gdy zamierzają żyć śmiało po katolicku, wystarczy przypiąć nazwę „klerykała", „fanatyka", „zacofańca", „reakcjonisty", człowieka „starej daty", by na tyle się przelękli, ażeby raz na zawsze wstydzili się wyznawać Pana Boga i odtąd już jeno „nie rażąco" się do Niego przyznawali?

Wstydzimy się Pana Boga w sporcie, lekkoatletyce, na plażach, w kąpieliskach — wszędzie.

Który z lekkoatletów nie bałby się wyjść na arenę stadionu w spodeńkach o kroju przyzwoitym? Który miałby dość sił, by tłumaczyć to tym, że się wstydzi wejść w kąpielówkach, bo chce wystąpić tak, jakby wystąpił na jego miejscu Młodzieniec-Chrystus? Które dziewczę żąda w magazynie przyzwoitego kostiumu kąpielowego nie wstydząc się tego? A gdyby pytać o powód „dziwnego" żądania, która by z panien nie powstydziła się powiedzieć, że przecież jest katoliczką? Która nie bałaby się tak wytłumaczyć w sklepie, choćby tego dnia była... u Komunii?

Który radny miejski nie wstydzi się zgłaszać wniosku, by w jego mieście nie było mieszanych, rozpustnych plaż, kąpielisk? Który z mężczyzn ma odwagę kajakować w stroju kąpielowym tylko tam, gdzie jeżdżą sami mężczyźni, a gdy takiego miejsca nie ma, który ma śmiałość zapoczątkować strój kajakowy moralny? Który naczelnik przystani wioślarskiej nie wstydzi się zabronić nagości wśród swych wioślarek i wioślarzy? Która dziewczyna nie boi się powiedzieć mężczyźnie, że wstydziłaby się w porze letniej przebywać z nim razem na plaży? Który katolik uciekłszy znad morza, z powodu panującego tam bezwstydu, nie lękał się napisać w gazecie... katolickiej o swej ucieczce oraz o tym, że tu katolik wypocząć nie może, że wybrzeże morskie jest w lecie jednym bezwstydem? Czemu wstydzą się o tym alarmować odpowiednio donośnie KAP-y, nie KAP-y? Czemu boją się to mówić katoliccy przyjaciele morza? Czyżby potrzebny im był drugi F. O. M. jako Fundusz Odwagi Męskiej?

Gdzie w gimnazjum katolickim, na czele którego stoi gorliwy kapłan, zabrania się używać do gimnastyki, sportów ćwiczonych publicznie na boiskach — spodenek o kroju nieprzyzwoitym? Która z dyrekcji szkół, gdy jej młodzież występuje w rozgrywkach międzyorganizacyjnych na plażach, arenach, stadionach, nie wstydzi się ubrać swą młodzież w kostiumy przyzwoite? Który ksiądz prefekt lub profesor nie wstydzi się, że go okrzyczą dziwakiem, i stawia takie żądanie nauczycielom ćwiczeń cielesnych oraz dyrekcjom i kierownictwom szkół na ostrzu noża? Co robili strażnicy moralności, gdy rozpoczął się zwyczaj plaż wspólnych, kąpania

wspólnego, nagości w wodniarstwie? Czemu wstydzili się przeciwdziałać temu, wystąpić nie abstrakcyjnie, papierowo, ale tam gdzie trzeba, nieustępliwie i twardo, tak twardo, jakby upominali się o pensje choćby? Czemu dotąd nie przyszedł im do głowy projekt ustaw państwowych w tym względzie? A jeżeli go mają, czemu nie przedłożyli go którejś z partii katolickich jako wniosku dla ciał ustawodawczych? Wszak nagość na plażach, w sporcie i zwyczajach letnich — to żywa pornografia, która sama jedna w okresie lata potrafi zniszczyć wszelkie wysiłki wszystkich kapłanów, katechetów, prefektów, Kościoła, rodziców i całego tak zwanego wychowania w szkołach.

Ilu księży ma odwagę nie podawać ręki zawodowym rozpustnikom jedynie dlatego, że ci zajmują wysokie stanowiska i narażenie się im mogłoby zaszkodzić... Kościołowi? Daleko większe wpływy niż ludzie ma szatan, czemuż jako kapłani postanowili mimo to przez Kościół z nim walczyć, jemu się narażać? Dlaczego zbyt często widzimy, że niektórzy z nich interpretują Ewangelię naświetlając aż do znudzenia czasy faryzeuszów i ich życie sprzed dwudziestu wieków, a boją się w imię Jezusa wskazywać i naświetlać życie faryzeuszów, stojących dziś na świeczniku społecznym, by nie... jątrzyć? Zapominają, iż słowa Mistrza były kijem w mrowisku ówczesnego życia i ludzi. Czynią tysiące zastrzeżeń, nim wypowiedzą opinię katolicką w realnym zastosowaniu do żywego człowieka, by towarzystwa, w którym są mile widziani, nie urazić, nie stropić, niepomni, iż Nauczyciel posłał ich jako owce między wilki. Gdyby z ambon co niedziela po przytoczeniu bezwzględnych

a pełnych miłości słów Chrystusa w stosunku do czasów z pierwszego wieku padały równie bezwzględne słowa prawdy w duchu miłości o sprawach konkretnych, o postępowaniu ludzi żywych: świat, a przynajmniej świat katolicki, miałby pół kłamstwa mniej; do świątyń szło by się, jak do azylum prawdy, gdzie jeno „tak, tak" „nie, nie" o człowieku rozbrzmiewa; chłonięto by Dobrą Nowinę, nowinę istotnie, a nie wykopalisko. Byłyby to żywe słowa Chrystusa, jakimi by do nas przemawiał, gdyby nie tam w Palestynie, ale w ziemi naszej dwa tysiące lat później na świat był przyszedł; czyniłyby z Chrystusa ośrodek zainteresowań także po wyjściu ze świątyń. Dzięki temu każdy prześwietlałby siebie oraz swe postępowanie, oglądając, jak w analogicznej sytuacji postąpiłby na jego miejscu Chrystus. Jeżeli jednak kapłan wobec biskupa, ten zaś wobec papieża bawi się w dyplomację, a nie w nagą prawdę, dyplomację tę mimo woli wnoszą do słowa Bożego, w którym wówczas — nic dziwnego — więcej dyplomacji, gry słów niż apostolstwa. Dyplomacji tej uczy się mimo woli kleryk już w seminarium, o ile nie ćwiczy się w kazaniach, zastosowanych do konkretów tego środowiska. Jest to jednak niemożliwe, bo każda uczelnia w cywilizacji nieśmiałej ma dwie właściwości: obawę przed prawdą całkowitą i dyplomację. Toteż zwraca się tu uwagę raczej na formę i rozwinięcie tezy. Z tezą też umie sobie kleryk radzić, zostając często bezradnym wobec życia, w stosunku do którego ratuje się dyplomacją lub sprytem żydowskim. Całkowita szczerość (czytaj: odwaga) może być tylko w świecie świętych.

Wstydzą się Pana Boga w obliczu śmierci nawet bohaterowie tak wielcy i zdecydowani jak lotnicy. Czy przed startem choćby najryzykowniejszym śmiałby zapytać „najprywatniej" dowódca eskadry, katolik, czy podkomendny, również katolik, się wyspowiadał — czy jest w stanie Łaski. Zainteresuje go najmniejsza śrubka aparatu, lecz nie ośmieli się dotknąć motoru duszy — sumienia, czy jest ono najzupełniej mocne, tj. czy jest spokojne, zatem nierozdarte, przeto radośnie na śmierć gotowe, więc całkowitą przytomność, chłód nerwów zapewniające? Mimo całą odwagę nie zapyta, gdyż bałby się zdradzić, że dba o szczęście wieczne, iż na pobycie u Ojca mu zależy. Wstydzi się P. Boga, udaje, że Go nie zna, że nic go nie obchodzi. Jasne, iż podkomendny tym bardziej lękałby się pytać dowódcy — nawet najprywatniej w świecie — o serce eskadry, tj. czy zapewnił sobie drogi szef śmierć radosną, czy nie ma grzechu śmierci. Ma odwagę latać jak nikt, walczyć, ginąć, a tu jest... tchórzem. Boi się rzucić słowa: spowiedź, niebo, Bóg, by nie myślano, iż w Niego... wierzy lub by nie sądzono, że podczas lotu „wietrzy" się śmierć. Śmierć może być, ale ma ona być tylko wypadkiem, oczywiście tragicznym, a nie czymś zwykłym. Śmierć może zaistnieć, ale nie „wypada" jej wietrzyć. Może być katastrofa i tyle. Zresztą wszyscy udają, że jej nie będzie; wszyscy udają, że tak czy owak się stanie, będą... szczęśliwi. „Przyjęte" jest mówić o zewnętrznej stronie wypadku. Co kogo obchodzi dusza lotnika? Co kogo obchodzi wpływ stanu sumienia na jakość pracy lotnika? Wszak to jego „prywatna sprawa", o której on sam — tak „wypada" — powinien się

wstydzić... mówić. „Wypada" o wszystkim mówić i pisać, co wpływa na dzielność i spokój lotnika, tylko o jednym nie: o stanie duszy bez grzechu... Tego się... wstydzi, aczkolwiek rozstrząsa się najdrobiazgowiej i najsubtelniej „wszystko", co dotyczy psychologii latania.

Nawet ten, co wierzy, wierzy jednak nie tak mocno, by o tym mówić. Wierzy i wstydzi się... Jedno i drugie razem, jednocześnie. Skąd by mu tyle konsekwencji? Obrazek sobie przybije, nawet dwa, ale Boga głośno nie wspomni, wstydzi Go się, acz w głębi drży o swe szczęście „tam", wieczne. Nierzadko też myśli, dlaczego on właśnie ma ginąć za tysiące — czyżby za pensję? — czyżby dla samego honoru? i dalej o tym na zewnątrz milczy. Na głos o tym nie mówią współkoledzy, acz to samo może myślą i radzi by się zbawić, ale się boją. Powszechny lęk skuwa im wargi, by nie zdradzili „rażąco", jakoby mieli coś wspólnego z Bogiem, jakoby w Niego wierzyli, choć w Niego... wierzą — jakże często duszą całą.

Ile kogo obchodzi, czy lotnik-patriota z pełnym szczęściem drze się na strzępy? Wszak to jego „prywatna sprawa"... Aczkolwiek ta to „prywatna sprawa" przesądza o samopoczuciu lotnika. Samopoczucie to dane być może tylko przez świadomość, że się jest w stanie Łaski. Ta to absolutna pewność usuwa ostatecznie z organizmu newrozy, więc oswabadza najzupełniej psychikę z urazów i ucisków, wprowadzając na ich miejsce do wnętrza lotnika niesłychaną swobodę ducha, tyle szaloną co rozumną. Dopiero ten klimat psychiczny decyduje o brawurze bohaterskiej. Bo temperament lotnika, to temperament świętego-Giganta. Ten sam rozmach:

ofarność bezgraniczna. Ta sama współpraca sił: natury i Łaski. Ten sam styl pracy: harmonia życia i śmierci, Ziemi oraz Nieba, i to jako sprawa całkiem naturalna, zwykła, prosta.

Który system lotnictwa pierwszy odważy się o tym mówić?

Panuje nieme sprzysiężenie przemilczania Boga. Daleko więcej ludzi wierzy w Niego i we wszystkie prawdy Kościoła, niż się to ogólnie przypuszcza, ale wstydzenie się Ojca jest jeszcze większe, przeto wstydzimy się wymawiać: Bóg, Matka Najświętsza, Pan Jezus, niebo, zbawienie — jeszcze „Chrystus" uchodzi — i unikamy tych terminów „drażliwych" jak ognia. Wstydzenie się Boga stanowi najpotworniejszy rys zeświecczonego chrześcijaństwa i zlaicyzowanego chrześcijanina, najbardziej poniżający, szatański. Haniebny stosunek dzieci do Ojca — miłości samej. Nędza dotychczasowego człowieka razi tu przeraźliwie jaskrawo. Żaden ojciec w takiej atmosferze wstydzenia się go przez dzieci nie wytrzymałby. W żadnej rodzinie nie jest tak tragicznie, nad żadną nie ciąży takie przekleństwo obawy dzieci przed wyznaniem ojcu miłości. Można rzec, iż człowiek niczego tak się nie lęka, jak kochać Boga w sposób widoczny dla świata, i to tak, jak tego istotnie na wewnątrz siebie pragnie.

Milczące zabijanie Boga, obawa miłowania Go dały to w wyniku, że władztwo strachu rozpostarło się nad człowiekiem niepodzielnie i uczyniło z tchórzostwa naczelny imperatyw życia. Kto bardziej boi się umrzeć, jak nie ten, co udawał, że „nie wierzy" w Boga? Kto ceni więcej życie ciała jak nie ten, co nie jest pe

wny zbawienia? Dla kogo śmierć jest największym nieszczęściem? Kogo przeto można najskuteczniej straszyć utratą życia?

Świat z powszechnym wstydzeniem się Pana Boga da się ująć w kleszcze strachu z pewnością matematyczną i spłaszczyć do poziomu bezwolnej nędzy. Kto w cywilizacjach strachu posiadłby narzędzia śmierci, mógłby bieg życia chwycić w obcęgi terroru na zawsze. Czy tak zwany „duch świata" — to nie strach... przed Bogiem, wstydzenie się Pana Boga?

Człowiek, jako syn Boży — zaczyna się poza strachem, tam gdzie trwa odwaga pełna miłości.

II

KOBIETA-TRUMNA

Człowiek dawny, dotychczasowy, dzisiejszy lękał się wejść w cierpienie; dlatego przyjemność i egoizm żenił z dobrem, często je utożsamiał i w nienaturalnym tym związku dotąd się parał, łatając życie w ustrojach niekonsekwentnych, więc jakże nietrwałych. Toteż znikały one, by dać miejsce nowym cywilizacjom, posiadającym aktualnie więcej dobra, by te, z kolei, zetknąwszy się z cywilizacją o większej pojemności dobra, mogły ustąpić i przepaść w historii. Żadna nie próbowała kusić się o logikę. Kołowało życie w opłotkach mniej lub więcej przyjemnego zła i o tyle o ile przyjemnego dobra. Odkrywano lądy, fruwano w stratosferę, rozbijano atomy, a nie tknięto stopą pustyń cierpienia, nie rozkuto czynu miłości z trumny strachu. Wiara w nasz typ jako człowieka-tchórza z wiekami uporczywie wchodziła w krew, aż zaczęła się stawać instynktem. Od kiedy ci, co najbardziej umieją straszyć: genialni wojownicy, przestaną być uważani za największych? Kiedy dane nam będzie ujrzeć syntezę Krzyża i entuzjazmu?

Cywilizacja spółczesna grecko-rzymska stała się skutkiem strachu stekiem niekonsekwencji. Ma miejsce na zło i dobro w granicach przyjemności, na ludzi żyjących dniem. Nie znając przyszłości trwa, by zginąć. Właściwie nikt nie wie, co w niej złe, co dobre, gdyż nie wynika to z ustrojów. Można w niej bytować nie wiedząc, po co się żyje, toteż jest azylum dla obywateli i z poza... cywilizacji. Mieszczą się w niej wszystkie światopoglądy. Jest logiką... pomieszania. Zda się, iż życie krystalizuje się w przyjemny egoizm, w przyjemne zło i dobro. Atoli zaklęty krąg tchórzliwości bywa nakrapiany także z lekka heroizmem na pokaz, to jest o ile bohater ma pewność, że o nim pójdzie fama. Inaczej bohater powie: dziękuję za przyjemność. Czyli, o ile się „uprawia" heroizm, to w stylu „gwiazd" i gwiazdorów. Jest to wówczas bohaterstwo szopki. Czasem, gdy wróg napada, trzeba, by miliony chciały ginąć. Wtedy wytwarza się psychozę za pomocą reklamy-propagandy, bo inaczej tchórze nie chcieliby udawać bohaterstwa masowo i indywidualnie.

Między odwagą do dobrego a cierpieniem jest ścisła współzależność. Nie masz odwagi, gdzie wygoda. Nie mieści się odwaga w ramach przyjemności. Królestwo jej świetliste, kędy trud, a gdzie męka sama, tam rasowy heroizm. Bez wypalenia demona wygody nie będzie odwagi. Czy rozumiemy, czym jest Krzyż dla postępu?

Cywilizacje nieśmiałe wyrodniały, ilekroć usiłowały organizować życie kompletnie przyjemne. Gdy sprawiały tyle, iż wywoływały chęć powszechną wygody, ginęły. Wtedy bowiem malała do ostateczności liczba

mających odwagę kochać, do czego trzeba maksimum gotowości na cierpienie. W schyłkowych okresach, kiedy wyznaniem wiary stawała się przyjemność, był specjalny rodzaj kultury skroś demagogicznej, odwołującej się wyłącznie do łatwego, wygodnego, przyjemnego ujmowania życia, zabijającej postęp, wycinającej w pień odwagę do czynienia dobrze pośród cierpienia, zamieniającej życie w przyjemne świństwo. Była nią kultura wygody, powiedzmy ściślej, acz z odrazą: kultura wygódki, kultura na wskroś demagogiczna.

Znamy szkodliwość demagogii w polityce, nie rozumiemy natomiast nadal, czym jest demagogia w kulturze. Objawia się nade wszystko w hyperseksualizmie. Inaczej nie może być. Kochać możemy zaspakajając swój egoizm. Jeżeli nie czynimy mu zadość, dążąc do rozkoszy wiecznej, szukamy jej w życiu tymczasowym ciała, gdzie widzieć siebie możemy wyłącznie w rozkoszy płciowej i wygodzie, czyli w zakresie życia fauny. Wszelki altruizm jest wtedy snobizmem, pozą: możemy być ofiarnikami, o ile z tego mamy coś „uchwytnie". Niedołęga normalny członek cywilizacji nieśmiałej, nie mogący się zdecydować sięgać po życie nieśmiertelne, oscylując między złem a dobrem w terenie przyjemności, spostrzega dość dużą sferę przyjemnego zła w doznaniach seksualnych. Ciągną go one, bo nie łączą się z trudem, są łatwe, dają nawet rozkosz. Unikając coraz bardziej cierpienia, bojąc się go coraz trwożliwiej, usiłując w przyjemnościach zamknąć życie, musi zarówno człowiek-straszek jak i człowiek-tchórz wprowadzić do całej kultury erotyzm. Minimum trudu, cierpienia, zatonięcie w seksualizmie staje się wów-

czas zasadą, tym bardziej, iż kultura panseksualna miażdży jednocześnie siłą swej demagogii wszelkie objawy prawdziwej kultury, albowiem zainteresowuje świadomość tak silnie sferą przyjemności zmysłowych, że nie stać już człowieka pojedyńczo i zbiorowo na odwagę wykonywania czynów dobrych, których konsekwencją byłoby entuzjastyczne cierpienie lub ofiarna, radosna śmierć fizyczna.

Charakterystyczne, że ród, naród, państwo, religia rozwijały się tym silniej, im dalej były od wszecherotyzmu. I na odwrót: na końcu każdej ginącej cywilizacji, konającego narodu, nazwiska panował stale zwiastun śmierci: demagogia płciowa. Arcydzieło geniuszu historii, cywilizacja helleńska, uległa rozkładowi w ciągu kilku pokoleń, gdy dotknął ją hiperseksualizm. Aż dotąd zakaża ona pierwiastkiem tej demagogii całą ludzkość.

Spółczesny przerost seksualizmu tamuje rozwój kultury, gdyż zmniejsza u nowoczesnego człowieka do minimum odwagę miłości pozapłciowej, stając się przekleństwem teraźniejszości. Panerotyzm jest falsyfikatem dobra, najdokładniej podrobioną wartością życia: jest największym, bo najpodobniejszym do prawdy, kłamstwem, gdyż w zupełności zadawala część czasowo żywą człowieka: ciało. Dzięki temu rozdwaja nas, tanim kosztem zwycięża, jest tak przemożnie uśmiercający — jakoby żywy anioł śmierci.

Siła hiperseksualizmu bierze się stąd, że z chwilą zaistnienia jego przejawu reaguje nań instynkt płciowy całą gamą wrażeń przyjemnych. W ten sposób kultura demagogiczna ma sprzymierzeńca w każdym z nas.

Atakując nas od zewnątrz, posiada z góry w człowieku-twierdzy połowę załogi gotowej do złożenia broni z przyjemnością.

Tak karmić można instynkt zachowania gatunku przez cały ciąg życia ciała wprowadzając rozmaitość podrażnień, trzymając człowieka w cęgach przyjemności, nie pozwalając mu wyjść poza nie, stwarzając mu tym sposobem namiastkę szczęścia. Na tej drodze udaje się wpędzić w opłotki zmysłowości jednostkę i całe cywilizacje. Aż dziw, iż na tak wąskim terenie da się uwięzić duch ludzki. Zdumiewające, że z reguły tu kończyło się wszystko, co się kończyło bezpowrotnie.

Na wolną konkurencję kultur: prawdziwej i panseksualnej pozwolić nie można, gdyż pierwsza nie ma w człowieku tak silnego i równie jaskrawo objawiającego się sprzymierzeńca naturalnego, jak kultura wygody w instynkcie płciowym.

Instynkt zachowania gatunku ma całą swą mocą demoniczną pomagać, zmuszać człowieka, by wyzwalał z siebie poczucie synostwa w stosunku do Boga, doskonalił się i samowychowywał w granicach małżeństwa. W małżeństwie instynkt ów stanowi podkład biologiczny dla duszy w jej dążeniu do szczęścia. Życie małżeńskie jest szkołą, gdzie ćwiczyć można w harmonii z miłością ciała miłość Ojca na miarę najwyższą oraz miłość bliźnich. Wyzbywać się egoizmu, przeszczepić miłość siebie na miłość wszystkich i Stwórcy — może bez małżeństwa ten tylko, kto ma Łaskę powołania. Bez małżeństwa instynkt płciowy jest najgroźniejszym wrogiem postępu. Dlatego filarem kultury jest ten, kto zawarł małżeństwo. Ono jest regulatorem tej części kultu-

ry życia, która się mieści w ramach przyjemności erotycznych.

Toteż kultura wygody godzi głównie w rodzinę, a gdy usiłuje być konsekwentną — w małżeństwo w ogóle, gdyż zmierza ostatecznie, by każdy żył z każdą, gdyż usiłuje obdarować wszystkich maksymalną dozą „dreszczy". Symbolem tak pojętego życia jest dom rozpusty, klasyczny warsztat kultury wygody. Cywilizacje niekonsekwencji dawały u schyłku swych istnień takie właśnie typy publicznych żon i mężów oraz podobnych im... bogów. Znamy je z okresu agonii Egiptu, Hellady Rzymu, Polski... Jednak życie narodów nie szło tak daleko. Nie zaistniałoby jako takie ani chwili, uśmiercającą bowiem jest kultura przyjemności. Musiało tedy realizować także coś z dobra. Albowiem wszelka społeczność trzyma się ofiarą, nie rozkoszą, ofiary czystej zaś uczy się w rodzinie; istnieć zatem może tak długo, pokąd istnieje rodzina.

Na ogół cywilizacje, lawirując między złem a dobrem w granicach od maksimum przyjemności do minimum trudu, dają specyficzny typ „kultury" — małżeństwo demagogiczne. Nie ma ono odwagi realizować całości dobra, które leży w jego możliwościach, podobnie jak i cała wygodna cywilizacja; chce więc używać, a nie mieć dzieci.

O ile w państwie przeważa liczba małżeństw demagogicznych, pada ono. I na odwrót: każdemu krachowi życia towarzyszy spadek liczby rodzin kulturalnych. Tenże upadek był znamienny wśród sfer decydujących w Polsce podczas rozbiorów. Ostatni nasz król — to stary kawaler, lubiący życie przyjemne, nic więcej.

Kultura wygody przede wszystkim krzewi rozpustę. Osłabia tym samym pęd do zawierania małżeństw, przez co uniemożliwia lub niezmiernie utrudnia samowychowywanie się krociom kobiet, jako żonom i olbrzymim ilościom mężczyzn, jako mężom. Atoli najwyższy wykwit tej kultury — to kobieta-trumna, matka trupów. Wywołuje ona rój przerażających niekonsekwencji, od których ślepną oczy.

Gdy oto Lindberghowi ginie maleństwo, świat cały rozpacza, policja ściga zbrodniarzy po całym globie: zda się, dziecko — to skarb XX stulecia. Atoli w tym samym czasie wycina się z łon matek miliony niemowląt i wyrzuca na miejsca odchodowe. Glob i jego policja milczy. Kto śmie pytać o morderców nieprzeliczonych rojowisk trupków ludzkich? Którego państwa Czerwony Krzyż je ratuje?

Najmodniejszy obecnie szlachtuz — to łono matki. Lekarz dokonywa tam uboju i zostaje nadal pożytecznym członkiem... społeczeństwa. Posiada liczną klientelę, która ma do niego ...zaufanie. Służba „lekarza" wynosi ciągle szczątki w naczyniu o sekretnym przeznaczeniu. Zarazem ministerstwa oświaty budują coraz piękniejsze szkoły-pałace dla skarbu państw: dzieci. Jednocześnie pedagogowie „postępowi" tak samo mordują swe dzieci jak i nie-nauczyciele, bo to wygodnie.

Pełno dziś szpitali, gdzie na śmietnikach leżą codziennie ciepłe kawałki świeżo wyprutych niemowląt. Czemu księża kapelani z kaplic tych „szpitali" nie zabierają Najświętszego Sakramentu? Czemu sprawują tam Ofiarę Mszy świętej? Czemu każą tam czuwać

nad „chorymi" zakonnicom? Czyżby kapelani byli pobożni w granicach ...wygody? A czy kapelanów innych poparliby rodzice katoliccy? Czy rodzice ci wierzą w matkę bohaterską? Czy bojkotują szlachtuzy-szpitale? Czy przenoszą się do szpitali naprawdę katolickich, których... nie ma dotąd, a gdzie przyjmowano by tylko matki, które chcą rodzić, nie mordować? Przecież w ten tylko sposób mogłyby istnieć osobno szpitale zbrodni i szpitale życia. Na razie jest stek niekonsekwencji pod wezwaniami ...świętych.

Pacyfizm pragnie pokoju, kocha życie ciał. Jeżeli je miłuje, czemu przemilcza wszechświatową masakrę milionów niemowląt? Czemu nie woła: j'accuse?! Czemu nie zwołuje krucjaty Czerwonych Krzyżów całego świata i nie dobywa nieprzeliczonych mrowi trupków z kloak, śmietników, kanałów? nie buduje dla nich cmentarzy, większych, rzecz jasna, od wszystkich pobojowisk? nie chowa ich po ludzku tamże? Czemu nie ma ręki, co powstrzymałaby dłonie mordercze, które dziś jeszcze zatopią lancety w rwące się do życia organizmy żywych w łonach ludzi?

Nigdzie tak jaskrawo nie występuje w kulturze podrobionej przewaga śmierci nad życiem, jak tu, gdzie łono życia rodzi... trupy. Kobieta-trumna, wydając na świat trupiątka, tłumaczy, że „dać życie, a nie zapewnić mu bytu — to zbrodnia". Nie może, biedna, zapewnić bytu nawet tym, że urodzi. Sama natomiast nie życzy sobie ginąć, choć nikt jej niczego nie zapewnia, gdyż wszystko w czasach kultury demagogicznej tańczy na wulkanie, a niepewność ta tym powszechniejsza, im więcej kobiet-trumien.

Pani trumna, idąc z mężem na spacer, prowadzi psa — zamiast syna, czasem dwa — zamiast synów, czasem trzy: instynkt macierzyństwa wyrazistszy. Przenosi zwierzęta nad ludzi. Synów uśmierca, nim cząt dostają w łonie; psy chowa. Więcej sucza niż ludzka. Osobliwy produkt kultury seksualnej. Mąż, żona i pies. Zaczynają już grzebać psy na cmentarzach, a niemowlęta własne, rodzone, żywcem wyskrobane — wrzucać do kału, jako czasu kultury wygody zrodzone. Biada niemowlęciu, chcącemu żyć w narodzie przyjemności: wydrapie je sobie z łona, uśmierci matka-trumna. Już są dzielnice bez dzieci, dzielnice Psa.

Mąż, żona i pies. Gotowi z całą radością hodować najwspanialsze rasy psów i z reguły zatłuc każde swe dziecko. Ubój ten liczy na razie niewiele: miliony... lecz gdy kulturę wygody wyznawać będą wszystkie rodziny, wyskrobywać się będzie ludzi miliardami. Psów przybywać może coraz więcej i Lig Wychowania, i przemądrych, przesubtelnych systemów pedagogicznych dla dziecka, które zdoła ujść krwiożerczych rąk matki. Oczywiście, nie przeszkodzi to rozwojowi Ligi Narodów, Towarzystw Pokoju i Ochrony Człowieka-Obywatela oraz uwrażliwieniu matki-trumny, która się stanie tak subtelna, iż mdleć będzie z zasady, ilekroć dostrzeże krew na pielęgnowanych łapkach pieska.

Mąż, żona i pies. Pani kocha psa, pani często tańczy, starannie obnażona, w miarę sił piękna, czarująca, wyrafinowanie inteligentna, mimo że niedawno, omal dziś, kazała zarżnąć swe dzieciątko. Tańcząca trumna ma psa, zostawiła go. Wytworna pani i jej rasowy pies tworzą dalej cywilizację.

Żywe trumny czynią z łona życia harmider zmysłów, igraszkę, rejwach. Strojną panią otacza rój wielbicieli i nie opuszcza jej nigdy rój trupiąt. Tamci szepczą kusząco: boska, te: trumna. Pokąd maskarada-masakra trwa, nie nadejdzie ni świt, ni dzień biały — dla świata i życie układać się będzie co czas jakiś w dziwne kreacje nie tylko z poprutych ciałek, lecz i z poprutych... ciał dorosłych, „starych", a więc w krew, w morza krwi. Bo duchy, wyskrobanych nienawistnie przez rodzicielki niemowląt-trupiąt wywołują pomstę, jakoby pragnąc, by ocaleli z pogromu ich bracia nie inaczej kończyli, jak również w oparach krwi — zeskrobywani z powierzchni ziemi przez miliony armat, chmury jadów gazowych i miriady mikrobów... wojny.

Ulica. Tu ich tyle. Wysportowane, smukłe, wiotkie, pachnące trumny. Zda się cmentarze wyroiły się na wsie, miasta i szczerzą do nas uśmiech, rozdają obiecujące spojrzenia, tymiż oczyma ogarniając mniej zalotnie łamane członki własnych niemowląt; zda się groby ruszyły na... ulice. Ruchomy zakład pogrzebowy zapewnia, że lubi... wesołość, flirt, mężczyzn i psa, acz życie ubiera w taki strój, jakim są strojne robaki grobowe.

Niekonsekwencje kultury erotycznej są nie akcentowane. Kto broni najbezbronniejszego z ludzi: niemowlęcia? Kto głosi krucjatę przeciw najbardziej krwiożerczej istocie: matce-trumnie? Kto ma odwagę po temu? Jakże to zgodne z człowiekiem, który bliźniego nie kocha, tylko się z nim liczy, zatem któż się ma liczyć z mordowanym bezbronnym dzieciątkiem, które wszak nikomu nie jest zdolne... zaszkodzić, nikogo wzajemnie żywcem... skrobać?

Wychowanie seksualne młodzieży musi przygotowywać do życia w małżeństwie kulturalnym i rozwijać pełne władztwo nad instynktem płciowym. Oczywista, iż wysiłki te, jak i wszelkie inne z tym związane, nawet zorganizowane genialnie, niewiele pomogą, gdy w sukurs wątłym siłom młodzieży w jej walce z rozszalałym instynktem nie przyjdzie środek zasadniczy — Komunia święta, bratanie się w Niej najczęstsze młodych z Młodzieńcem-Chrystusem.

Wychowanie seksualne, to negatywnie — przygotowywanie do cierpliwości w życiu seksualnym, a pozytywnie — przygotowywanie już od najwcześniejszej młodości do założenia rodziny wychowawczej.

Kultura panseksualna nie ucząc cierpieć, nastawiając do ucieczki od tego, co ciężkie, trudne, każe mimo woli młodzieży szukać przyjemności płciowych na długo przedtem, nim może ona zawierać małżeństwo, wywołując na tej drodze straszliwą nędzę fizyczną już w życiu dzieci. Nie pomoże tu żadne wychowanie fizyczne, słońce, powietrze ni woda. Należy po prostu zapewnić młodym, by jak najdłużej nie trwonili bezcennych skarbów, jakimi są własne siły rozrodcze. One to bowiem głównie, nie ćwiczenia mechaniczne, rozbudowują od wewnątrz młody organizm cielesny. Czystość podniesie rasę. To jest podstawowe „w. f.", całkiem naturalne studium fizyczne. CIWF-y, nie-CIWF-y ma ten, kto dziewiczo i dzielnie spędził młodość. Na tym podłożu dopiero coś dać mogą stadiony, olimpiady, gry, lekkoatletyka.

Dotąd jeszcze kultura wsteczna wprowadza do wychowania fizycznego publiczną... nagość, czym pozbawia wstydu, naturalnej samoobrony organizmu przed zbytnim wycieńczaniem się, predysponuje więc do życia seksualnego poza małżeństwem. Co prawda, dzięki temu mają przedsiębiorstwa większe dochody. Mniej uczęszczałoby mężczyzn na plaże, gdyby nie było tam nagich kobiet. I na odwrót. Podobnie jest w ekonomii innych „sportów". Są to jednak sprawy... pieniądza, erotyzmu, nie — zdrowia. Nagminnie szerząc bezwstyd w „w. f.", niszczy kultura wygody dodatnie wyniki ćwiczeń cielesnych doprowadzając do tego, że chcąc być sportowcem trzeba przede wszystkim wyzbyć się... wstydu. Czyż zasadniczą zaprawą lekkoatletyczną i sportową nie jest bezwstyd?

W powstających w poszczególnych państwach naszej cywilizacji urzędach wychowania fizycznego, stojący na ich czele kładą całą wiedzę i sprawność w umiejętne ćwiczenia i pokazy, niszcząc przez zwyczaj i strój sportowy resztki wstydu u młodych, a przez pokazy publiczne — u całego narodu. Acz kolwiek panowie ci wiedzą, że czystość seksualna, to podstawa rozwoju fizycznego, nie mają odwagi propagować czystości moralnej wśród młodzieży ani w jej życiu osobistym, ani przez wprowadzenie obyczajnego stroju oraz obyczajnych zwyczajów — do sportu; boją się żądać maksimum dzielności moralnej, koniecznej do maksimum sprawności fizycznej, choć do niej niby dążą. A skąd ów strach u tak wysoko postawionych panów? — Bo się boją okazać, że się... wstydzą. Uwa-

żają, że w „dobrym tonie" jest... nie wstydzić się zupełnie... dla... zdrowia.

Dziwne, że świat łoży miliardy na stadiony, omal nic na czystość.

Zastanawiające, że państwo propagujące najkrzykliwiej potęgę rasy, szczycące się skłonnością do wydawania decyzji ogromnych, pozwala na maksimum nieczystości w ramach sterylizacji i rasizmu. Nie śmie ono tknąć rozpusty naturalnej, bo nie ma odwagi wymagać pełnej czystości moralnej na rzecz pełnej tężyzny rasy.

Niewesołe też, iż stadiony są niespotykaną dotąd w swym ogromie wszechświatową propagandą żywej pornografii, która udaje się zawsze — nie zawsze rekordy.

Jednocześnie rozkłada się na globie żywcem sto milionów chorych płciowo. Razem: logicznie. Logikę tę wlecze za sobą koszmarnie dotychczasowa historia wychowania fizycznego. Genialni lekkoatleci, Hellenowie, zginęli z bezwstydu. Nic im nie pomogły Olimpiady. Rzym nagich gladiatorów także padł. Posiedli go czyści, olbrzymiej budowy Germanowie. Rasę odrodzi dziewictwo, nic w tym stopniu więcej.

Nie samą rasę — i sztukę. Jest ona bowiem dobrem przyjemnym, przeto najpodatniejszym na wpływ kultury hedonistycznej. Nietrudno zainteresować, przykuć do rzeźby, tańca, obrazu, powieści, filmu, o ile są przekiśnięte erotyzmem. Patrząc, czytając, kontemplując, wciągnięty jest obserwator, czytelnik, widz w sferę własnego życia płciowego. Jest więcej niż zainteresowany, bo podrażniony. W grę wchodzi instynkt, organizm, krew, czego nie wywołuje sztuka

ściśle kulturalna. Toteż piękno demagogiczne przez swój erotyzm przygważdża rozwój zainteresowań estetycznych. Jeżeli demagogii w sztuce nie wykorzenia prawo, gubi ona prawdziwą sztukę. Można to dostrzec wcale łatwo na wszystkich polach kultury. Sceny podkasane i rewia zabijają teatr spółczesny i twórczość dramatyczną. Nawet opera ulega zwyrodnieniu, gdy rdzeń jej widowiska stanowi balet, obliczony na kompleks płciowy publiczności. Balet zakaża wtedy siłą swej demagogii wszystkie pozostałe wrażenia, choćby najpodnioślejsze. Trzeba widzieć tłum, jak się oddaje baletowi demagogicznemu, a jak pozostałym scenom.

„Szlagiery" i „piosenki" niszczą pieśń i muzykę, licytując je pieprzem treści. Taniec się wyradza, odkąd podstawę jego stanowi podnoszenie nóg najwyżej i najszerzej w różnym rytmie. Usuńmy z niego i z piosenki plugawość, a zostanie gimnastyka nóg i gardła, na co bez dopłaty nikt nie spojrzy. Tu też ma swe źródło „film anarchizujący. Gdyby z jego „gwiazd" nie spadał strój, a jego treści nie ratował trójkąt i nogi, zostałyby meble i nuda, i piękne... krajobrazy. Toteż gdy obraz już zbyt męczy „wiecznie tym samym" —ratuje się go... dodatkiem plażowym: rewią. Bez seksualizmu rozleciałoby się to wszystko, tyle w tym sztuki. Szukanie nowych dróg w filmie jest niczym innym, jak usiłowaniem wydobycia się z nudy zmysłowości.

Autorzy, z kolei, debiutując, a chcąc być pewni, że utwór ostoi się wszelkiej demagogii, asekurują się w ten sposób, że tak seksualną przygotowują treść, by biła wszystko, co dotąd się ukazało. Wówczas jest mu-

rowane: wydanie mierzwy, wzięcie, poczytność. Panów tych znakomicie można by w nazwiskach zestandaryzować: Rozporkiewicze.

Hedonizmem rozrywkowym zajmie się higiena, gdy dostrzeże statystycznie, jak radości kultury panseksualnej niszczą zdrowie. Bo organizm tyle jeno znieść może z pożytkiem uciech ciała, ile ich trzeba, by było ono w zgodzie z duszą w stanie Łaski. Nic nie pomoże człowiekowi wygody, gdy chcąc zabić protest sumienia ustawicznie swą nawierzchnię biologiczną podnieca, ekscytuje, aż do wyniszczenia fizycznego, aż do męczeństwa nerwów. Jest to tylko dalsze darcie się na strzępy, sadyzm w stosunku do samego siebie, asceza na opak. Nietrudno spostrzec, że wesołość człowieka rozdzielonego wewnętrznie jest co nieco trupia, że rozdarty udaje, iż cieszy się. Najwięksi komicy są wtedy melancholikami, humoryści strzelają sobie we łby. Bo im się bardziej weselą, tym jaśniej widzą, że są pocieszni, że śmieją im się same maski. Sprawy nie uratuje eugenika, ni rasizm, albowiem obie te nauki obmacują, badają... skorupkę człowieka, patrzą na nasze organizmy jak na kupy mięsa, jak na maszyny dziedziczonych odruchów.

Demagogia święci triumfy w zwyczaju towarzyskim, w radio, prasie, modzie. Rzadko co zadaje taki cios macierzyństwu i małżeństwu, jak szczupła „linia" i „wieczorowy" strój. Lecz prawdziwe łamańce wyprawia demagogia w prasie. Czemuż, jak nie demagogii w obrazku i druku, zawdzięcza swe powodzenie prasa brukowa? Nie inaczej jest z prasą „inspirowaną", masońsko-żydowską i jej agencjami telegraficznymi.

Dzięki tej prasie świat cały jest ustawicznie okłamywany. Jakże to sprzyja, by światem trzęsły łotry; by ludzie wiedzieli to, czego... nie ma; by świadomość ludzka tańczyła powszechny... taniec fikcji. Dowodzi to jeszcze raz, jak mało można się dowiedzieć z poza siebie. Mniej demagogiczne, „umiarkowane", za to typowe dla kultury podrobionej pisma, umieją zamieścić na jednej stronie tak zwany akt bez większego lub mniejszego listka, na drugiej zaś przemycić koronację cudownego obrazu z kardynałem, dołączając, gdy się uda, wywiad z prałatem, niezorientowanym aktualnie w prasie.

Jaka tedy przyszłość prawdziwej kultury w cywilizacjach niekonsekwencji? Zawsze przecież więcej ludzi czytać będzie literaturę demagogiczną, takąż popierać sztukę, tak więcej tańczyć będzie, śpiewać, grać, tworzyć. Jaki tedy los w państwie wygody: autorów, kompozytorów, reżyserów, wytwórców, nakładców istotnie kulturalnych? Jaki dorobek i cel ostateczny sztuki, słowa drukowanego, ilustracji? Czy ciągle jeszcze ratować należy sztukę prawdziwą subsydiami, by wytrzymała konkurencję ze sztuką demagogiczną? Czy nie lepiej usunąć sztukę wsteczną ustawodawstwem—kulturalnym? Czy jednak zdobyłoby się na to zdecydowanie, w pełni każde państwo? Czy byłoby władne działać konsekwentnie jako realizator dobra? Czy weszłoby zatem w granice logiki? Czy w cywilizacji tchórzów, bojących się czynić zawsze dobro, jest to możliwe? Raczej więc wymyślać się będzie nadal nowe podatki na ratunek kultury, niż usuwać powody jej zaniku.

Kultura przyjemności robi swoje w zasadniczych instytucjach heroizmu narodowego: armiach. Publiczna to tajemnica, że seksualizm rozkłada wojsko i że sztaby stają na głowie, by stan fizyczny armii był świetny, nie tykając jednak demagogii w życiu płciowym żołnierzy. Wiadomo również, iż choroby weneryczne dziesiątkowały pod koniec wojny światowej niezwyciężoną armię niemiecką. Każdy żołnierz musi mieć, rzecz jasna, szczoteczkę do zębów, żaden nie musi być seksualnie czystym, bo to nie sprawa dowództwa, tylko żołnierzy, „prywatna". Żaden sztab generalny nie ma odwagi żądać bezwzględnej czystości jako podstawy zdrowia armii i wierności przysiędze. Jednocześnie zwalcza się szpiegostwo, kwitnące dlatego, ż są wojskowi, którzy lubią życie nieczyste i pieniądze na nie. Niedołęgi, którym brak sił, by opanować siebie, eufermy nagminnie słabe mają zdobywać państwa, uosobieniem być mocy i zdrowia narodów. Czyżby kapelani nie mogli zaradzić moralnie stale rosnącej liczbie zarażonych żołnierzy? Owszem, gdyby mieli odwagę umoralnić i „górę"? Armie: zorganizowane zdrowie i heroizm pancerny narodowy — dadzą światu dopiero żołnierze-Giganci. Armie te będą wykwitem myśli rycerskiej w pełni konsekwentnej.

Kultura hedonistyczna rozkłada też religie. Dlatego takie mnóstwo wyznań demagogicznych, a tylko jedno od wygody niezależne: Kościół katolicki. Ciekawe, iż odpryski od Rzymu idą mniej lub więcej na rękę kulturze podrobionej. Prawie żadna herezja w sposób zdecydowany nie zamyka życia płciowego w ramach stosunku z jedną osobą, uwzględniają bowiem rozwody.

W ten sposób Kościół jest jedyną tamą dla kultury demagogicznej. Z kolei, kultura panseksualna — to główny wróg Kościoła. Nic więc dziwnego, iż pisma wolnomyślne są pornograficzne wprost lub między wierszami. Ale ciekawsze, iż wielu osobników „nie może" wierzyć dotąd, pokąd żyje płciowo... „prywatnie" w granicach wygody.

Z prawdziwą kulturą wiąże się twórczość, dokonywana w ramach czystości i dziewictwa. Dlatego Kościół wymaga od swych kapłanów, by żyli pozaseksualnie, sam ma zawsze dziewice-mężów, dziewice-kobiety; dlatego swym wyznawcom wskazuje życie płciowe li tylko w związku małżeńskim z jedną osobą dozgonnie; dlatego każde odchylenie od tego sygnalizuje jako grzech śmierci, a kulturę panseksualną we wszystkich jej przejawach potępia zdecydowanie. To jest powód, dla którego Kościół jak żadna instytucja powołany jest do współtworzenia kultury prawdziwej, zniszczenia demagogicznej, zbudowania cywilizacji konsekwentnej, odrodzenia przez życie czyste ras ludzkich. Twórca Kościoła, Chrystus, był dziewicą, dziewicą była Jego Matka, dziewictwo to zasadnicza cecha młodzieży państw przyszłości, uderzająca, naczelna. Soki rozrodcze krążyć będą w pokoleniach młodych Gigantów — nie trwonić się — wydoskonalając ich ciała jędrne jak stal do szczytów ideału eugenizmu, rasy.

III

UWIĘZIONE WYCHOWANIE

Najmniej logicznym zjawiskiem w cywilizacjach niekonsekwencji jest zinternowanie wychowania w szkole. „Stary", który nigdy dotychczas nie zdecydował się być człowiekiem w pełni, stworzył dla młodych instytucję, gdzie wychowywał ich na lepszych od... siebie.

Wychowanie szkolne jest prostym skutkiem myślenia kategoriami wygody. Powinien się człowiek doskonalić? — Zgoda. Niech się doskonali w szkole. Poza szkołą może być taki, jaki jest. W ten sposób odsyłano stale reformę człowieka do... komisji dla spraw dzieci i młodzieży. Aż dotąd „stary", zbrojny w aparat naukowy i logikę wygody, wymyśla sposoby podnoszenia człowieka w... szkole. Czyni to z godnością i dostojeństwem, zaopatrując się w przebogaty, przemądry materiał naukowy, opracowywany wnikliwie, drobiazgowo przez uczonych pedagogów całego świata w zastosowaniu do... dzieci. Dalej ani rusz. Wydoskonala się rasy zwierząt, okazy flory, małpę usiłowała inteligencja podnieść do godności kuzyna swej sfery, człowiek wy-

chowuje się dalej w... szkole, poza tym zostaje taki, jak wszyscy, omal — jak kiedy „był" kuzynem.. materialistów.

Nigdzie strach i wygoda nie skurczyły tak myśli ludzkiej, jak w „naukowym"' ujmowaniu pedagogiki. Uczeni w piśmie... pedagogicznym bali się dotąd jak śmierci skierowywać wolę „starych" do dobra, wychowywać „starych". A że zdawali sobie sprawę, iż „tak dalej być nie może", więc dobierali się, jakże niezdecydowanie i ostrożnie, w coraz szerszej skali do wychowywania małego człowieka, sięgając lancetem badań do najskrytszych poruszeń jego sfery moralnej, nie śmiejąc jednak dotknąć „starych". Przy tym tak „czarowały ich drobnostki" odkrywanych naukowo fragmentów psychofizycznych, iż nie mogli dobrnąć do duszy, bali się spostrzec ją nienaukowo i acz przed nimi stała, i oni w niej tkwili, wołali uparcie: nie widzimy, niech się nam ukaże... naukowo. Przestano wreszcie wierzyć w jakąkolwiek prawdę wychowawczą, choćby najoczywistszą, jeżeli była, nie to że nieprawdziwa, ale nienaukowa. Naukowość była prawdą moralną, a nie prawda moralna. Nic to, że niektórych prawd niedołęstwo uczonych nie wymacałoby przez milion lat: kazaliby nam czekać dalej, by dopiero wówczas, o ile udałoby się im je doścignąć, uczynić krok naprzód w wychowaniu. Nim sprawdziliby naukowo, że twórcy systemów wychowawczych tchórzą przed „starymi", mijałyby setki lat badań i przez całe epoki wychowywano by samych młodych.

Który system pedagogiczny dał wychowanie nie dzieci, lecz człowieka? Wszystkie czepiały się uparcie

i starczo młodzieży, im więcej dorosłej, tym lękliwiej; by przed kompletnie dorosłym stanąć bezradnie, wpływ wychowawczy w stosunku do niego przerwać i pozwalać mu odtąd na wszystko w granicach cywilizacji, to jest „przyjętego" dobra i zła. Który uczony pedagog żądał od dorosłych, „starych" odważnie i skutecznie, by spełniali zawsze wolę Ojca, Zakon Miłości? Wychowywało się młodych, dla „starych" zostając... wyrozumiałym. „Stary" był po wsze czasy niepoprawnym dzieckiem, w którego doskonalenie się i chęci po temu nikt dotąd serio nie wierzył, nawet twórcy najidealniej pojętych systemów wychowania. Tak jest, nie kto inny jak „stary" wstrzymywał dotąd postęp doskonalenia się moralnego, bo gdy tylko „starym" poczynał być, etykę swą z urzędu zagważdżał i na dawne, niższe miejsce ją cofał. Natomiast oficjalnie „stary" bywał przerażony, jeżeli coś niewychowawczego, zwłaszcza gdy się to nie wiązało z dobrym tonem, wygodnie pojętym — u młodych zauważył. Przy tym pojęcie: wychowany rozumiano coraz rzadziej jako: etyczny, a coraz więcej jako: wersalski. „Stary" wierzył w możliwość poprawy młodych i w wieczną stagnację „starych". Logika całkiem zgodna z wolą człowieka, który chce — źle, czy dobrze — byle wygodnie; jeszcze jeden dowód, jak wola myśl fałszuje.

Nic dziwnego, że wyjątkowy „stary", to jest taki dorosły, który pragnął doskonalić się moralnie także po wyjściu ze szkoły, czuł się dotąd zawsze gorzej wśród „starych "normalnych, czyli wśród tych, którzy z wychowaniem siebie bezpowrotnie w szkole skończyli. Natomiast znacznie lepiej mu było wśród wychowywa-

nych dopiero... dzieci, a więc pośród nieprzygotowanych dotąd do życia moralnie, niewychowanych.

Człowiekowi, realizującemu zawsze dobro, było zazwyczaj wśród ludzi „porządnych" źle, obco. Dlatego podświadomie zaczynał posądzać coraz częściej swą wyjątkowo wyższą moralność o dziwactwo, by z czasem myśleć kategoriami wyrzutka. Tracił w ten sposób pewność siebie, pozycję zdobywczą wobec świata, poczucie godności własnej jako syn Ojca, wstydził się, że był dobry i na skutek tego jego stosunek do zwykłych „starych" układał się mimo woli w formę ustawicznego tłumaczenia się z własnej wyjątkowej szlachetności. W taki stan samooskarżenia usiłowano wprowadzić Chrystusa podczas męki, toteż uderza nas milczenie Pana w czasie Jego procesu. Stale natomiast obserwować można było czelność i tupet nie wychowujących się „starych", ich barbarzyńską hegemonię nad duchową elitą świata.

Nie wiązano dobroci z odwagą, wskutek czego dobroć była dotąd wystawiana na rzeź. Dobroć jedynie bawiła się w bezkompromisowy, barani pacyfizm. To dobroć ustawicznie nadstawiała policzka wychowanym w szkołach „starym", aż tak się w tej czynności wyspecjalizowała, że wreszcie nic więcej już czynić nie potrafiła i pobożny o znaczeniu wszak: działający jak Bóg — zaczęło znaczyć tyle w rozumieniu utartym, co poczciwy niedołęga.

Bo dobroć bez odwagi nie tylko jest bezbronna, ale niedorzeczna. Któż ma być odważniejszy, jak nie ten, co czyni miłość? Kto winien być pewniejszy siebie jak nie święty? Nie wychowywano dotąd dostatecznie

dobra, nie naświetlano go należycie, zbyt się z nim kryto, toteż przybierało ono taktykę trędowatych, gdy powinno było przede wszystkim być śmiałe, pańskie, radosne. Pokora — to nie kopciuszek. Pokora łączy się harmonijnie z wielkodusznością. Pokora — to nie niedołęstwo, ale stała równowaga wewnętrzna, pełna prawdy świadomość o sobie i innych. Pokora — tym u Giganta, czym spokój u wodza. Suponuje ona mądre szaleństwa, nie tchórzliwie pełzające niedołęstwo. Strach powoduje zwyrodnienie pokory, zatem i pobożności. . Gdy powinno być tylu pokornych, ilu bohaterskich, to liczymy raczej tylu pokornych, ilu bojaźliwych. Jest to zwykła, wygodna, skurczona postawa. Pokora ze strachu cuchnie. Gdy nie będę miał odwagi kochać Boga wbrew najmocniej ku Niemu odczuwanej bojaźni, ogarnie mój umysł anarchia: nim Go pokocham, zwariuję. Człowiek dobry nie byłby synonimem kopciuszka, gdyby wychowywano się i poza szkołą, gdyby wychowanie objęło również „starych". Ponieważ jednak ćwiczenie się w dobywaniu z samego siebie dobra dokonywało się, jak dotąd, urzędowo w szkole, dobro ma dotychczas coś z działalności młodocianych, coś z żółtodzióbstwa, dziecinnady, czegoś... dobrego dla... dzieci, czym igrać można, lecz w szkole: cieplarni dobra.

Ze względu na ludzi, nie na zwierzęta, było dobremu nawet wręcz niebezpiecznie z jego wolą. Nie był szczęśliwy społecznie, że był dobry. Ba, im był lepszy, im gorliwiej dążył przez samowychowywanie się do doskonałości, tym zupełniej zostawał osamotniony, nieszczęśliwszy. Męczennikiem z zasady bywał pozostający wśród świata święty — jednostka najwyższej wagi spo-

łecznie, zawsze czyniąca miłość i świadcząca dobro. Osamotnienie to odczuwał boleśnie rozdający wokoło serce Zbawiciel, o czym niejednokrotnie mówił, żaląc się na „świat". Nic tedy osobliwego, że tylu ludziom dobrej woli nie pozwalały nerwy wytrzymać na stałe wśród „starych" i uciekali na pustynie, puszcze, za mury klasztorne, by przede wszystkim uwolnić się od obcowania z wychowanymi w szkołach „starymi", by stosunki z nimi ograniczyć w ten sposób do minimum, uważając je odtąd — za konieczne przekleństwo. Nawet we Francji, której elita intelektualna ma obecnie na szczytowych stanowiskach praktykujących katolików, kto wie, czy wielu kapłanów, udających się na misje, nie kieruje się chęcią ucieczki — nie czując się na siłach wytrwać w dążeniu do świętości wśród braci Francuzów w swym kraju. Uchodzą więc od białych murzynów do czarnych, dlatego że tamci dotąd nie byli... wychowywani w szkołach. I tu także się sprawdza, że terror obyczaju wychowanych w szkołach „starych" nie pozwala tym z nich, co dalej (nie tylko w szkole) doskonalić się pragną, na to, by radośnie swą dobrą wolę mogli wykonywać. Ile zapłaciłby śmiałek, mówiący zawsze wśród „starych" — każdemu — prawdę? Zachować wśród „starych", nawet wychowanych w szkołach akademickich, wolę Chrystusa — to męczeństwo.

Czyżby nie było miejsca dla świętych wśród „świata"? —Jest go aż nadto, ale dla świętych pełnych odwagi. Dobro jest władcze, zdobywcze, i na swoim miejscu, gdy jest śmiałe. Wtedy jest porywające. Dobro nie może być dziadowskie. Chrystus nie był że-

brakiem. Z apostołów był nim Judasz. Miłość nie może się przed niczym płaszczyć, nawet przed Bogiem. Bo niewolnik nie kocha, a skoro kocha i wzajemnie, to już nie niewolnik, a wyzwolony.

Ucieczka ludzi dobrej woli od życia „starych", ujętego przecież w formy cywilizacyjne i, co gorsza, od „starych" wychowanych w szkołach, od społeczeństw z takich ludzi złożonych — ocenia ostatecznie wartość zarówno wychowania jak cywilizacji. Odpowiedzą nam frazeologowie: szkoła da nam doskonalsze pokolenia „starych". Aliści szkolnictwo francuskie jest jednym z najlepszych i dla naszej cywilizacji jest ono typowe. Paryż jest stolicą białego świata. I z tej właśnie Francji odbywa się masowa ucieczka ludzi młodych, którzy pragną przez czyn dać z siebie maksimum serca, do krajów, gdzie będą mogli swobodniej żyć i działać święcie, a więc do... niecywilizowanych. Zrozumiałe, iż misjonarze będą tam mogli emigrować dotąd, pokąd czarni się nie... ucywilizują. Rzadko który z świętych życzy sobie zostawać normalnie wśród Francuzów, którzy są przecież najstarszymi synami Kościoła. Ci siedzą w plombach murów, tamci w koloniach, pozostali apostołowie tkwią przygnębieni wśród „świata" wychowanych i wychowujących się w szkołach.

Czy nie tym tłumaczyć fakt, że Francuzi liczbowo kroczą na czele misji?

Brak Francji natomiast w dalszym ciągu misjonarzy mających odwagę nawrócić... Francję. Który z nich marzył, by ochrzcić Paryż? Który patrzył na to miasto jak zdobywca? Który z zakonów tamtejszych posiada poczucie władztwa dusz tej stolicy „świata"?

Czy nie najgorzej w tym właśnie mieście czują się święci? Czemu dotąd nie wyszli na place Paryża, by dać tam Wielką Rewolucję Miłości? Czemu nie śmieją wkroczyć w całe życie — weseli, zdobywczy, śmiali, ogromni? A że się wstydzą, ociągają i boją wprowadzić ziomków jako synów do rodziny Ojca, ciągle jeszcze to miasto jest punktem centralnym form cywilizacyjnych, skurczonych głównie do miłości biologicznej, a więc do form życia wesołego w ramach arcywąskich; ciągle stolica i naród w bliźnim widzą jeno kontrahenta, z którym liczyć się trzeba. To jest walna przyczyna zjawiska, że drogę do pełnej radości widzi się tam na ogół poza moralnością, a w samym dążeniu do moralności dostrzega się przede wszystkim... smutek, pochodzący z niewiary w to, by życie chrześcijańskie mogło dać szczęście już tu, na ziemi.

Czy nie zawiąże się tam zakon, mogący wprowadzić do stosunków ludzkich miast rachunku — miłość do człowieka i miłowanie Stwórcy jako Ojca? Czyżby nie tam miało być nam dane ujrzeć pierwszych misjonarzy Gigantów? Czyżby nie stamtąd miano podjąć pierwszy szturm generalnej ofensywy miłości — na świata całego tchórzliwą wolę, czyli na tak zwane pogaństwo?

Zdobywców-świętych już tam widać. Na razie z szczególną siłą rzuca się w oczy praca bohaterskich kapłanów w pierścieniu przedmieść okalających Paryż. Czyżby stąd wyjść mieli na wszystkie dyspozycyjne tereny Francji, by wszędzie nieść radość życia doskonałą?

Bo Francję nawróci radość chrześcijańska, tak jak smutek zniszczył chrześcijaństwo tamtejsze. Czymże

bo jest gallikanizm jak nie pesymizmem patrioty, który nie dowierza... chrześcijaństwu? Czym jest jansenizm, jak nie pesymizmem sumienia, które nie dowierza... Bogu? Czym panerotyzm, jak nie wmawianiem w siebie niemocy tworzenia dobrego piękna, jak nie — strachem przed radością z twórczości Bożej? Czym wreszcie pogaństwo, jak nie aktem rozpaczy, że szczęśliwym można być jakoby wyłącznie z szatanem?

Gdy Niemcy nawróci katolicka kultura siły, konkretna oczywistość, że maximum narodowej potęgi osiąga się przez katolicyzm czynny, to Francję złączą z Chrystusem weseli święci i ich twórczość w dziedzinie katolickiej kultury radości. Albowiem każdy z narodów odnajduje swą wielkość na pewnej płaszczyźnie: Francuz, dokąd się raduje; Anglik, dokąd rządzi; Yankes, dokąd buduje; Japończyk, dokąd ginie; Indus, dokąd się wyrzeka; Moskal, dokąd cierpi; Chińczyk, dokąd ma pokój; Murzyn, dokąd pracuje.

Charakterystyczne, że na ogół za wiele się tchórzy przed specjalnym stylem radości, mianowicie przed radością, trwającą w stanie Łaski — i to zarówno w przeżyciach wewnętrznych, jak i w twórczości zewnętrznej. A potem załamuje się rąk, że tak mało radości i w nas, i w twórcach kultury. Wynika to po prostu z tego, że grzech pozwala na bardzo małą ilość radości w naszych przeżyciach wewnętrznych i że równie wąskie są granice dla twórczości grzesznej. Wielka radość i nieograniczona twórczość zaczynają się dopiero po stronie Boga: w regionach Łaski. Jest to, co prawda, radość surowsza od radości grzesznej, nie mdli więc jak tamta i nie wynaturza, ale za to do

jakiegoż stopnia jest zdrowsza, jak sprzyja twórczości, pcha do niej, jakimż jędrnym upaja weselem.

Czy zdajemy sobie sprawę, do jakiego stopnia można się bać tworzyć... moralnie, gdy to nie jest... modne? Ale nie tylko tworzyć, lecz i czynić cokolwiek. Dzieje się to dlatego, że jest niepisane prawo, iż człowiek-tchórz boi się czynić to, co wychodzi poza ramy utarte, mimo iż nikt w tej materii zakazów nie wydaje. Człowiek-tchórz chce być modny nie jeno w stroju, chce być w ogóle taki tylko jak wszyscy. A jeśli już ma być niemodny, to chce być co najwyżej ekscentryczny, dla snobizmu, by móc się obnosić z oryginalnością swoistej, prywatnej kultury wygody, by — nie śmiejąc za żadne skarby świata sięgnąć do czystego heroizmu miłości — reklamować się w ten sposób, choćby à la... Shaw.

To, co czynią wszyscy, ciąży na woli członka społeczeństwa nieodparcie. Mieć odwagę iść wbrew opinii, a mimo to najspołeczniej, może ten, dla kogo opinią jest wola Ojca. Ponieważ wstydzą się ludzie Pana Boga, przeto nawet wychowany w szkole katolickiej, wchodząc w życie „starych", staje się „prywatnie" katolicki. Poza tym prezentuje się nam taki, jak wszyscy, gdyż nie nauczono go w szkole odwagi, w czym bodaj żadna, nawet arcychrześcijańska uczelnia nie ćwiczy, czego nie uprawia. Całkowicie zaś w papuzi pęd wyposażeni, by zawsze zostawać tacy jak wszyscy, co najwyżej ekscentryczni lub ekstremistyczni, są „wychowani" w tak zwanej szkole świeckiej, bezwyznaniowej, laickiej.

Bo czy uczył kto dotąd w szkole rozsadzać miłością świat „starych"? Czy rozwijano — i w którym systemie pedagogicznym? — heroizm woli? Wyczuwało się powszechnie lęk u tych, co pragnęli wychowywać się również po opuszczeniu szkoły — przed ludźmi wygody. Jeżeli ktoś z dorosłych decydował się zachować w życiu stale dobrą wolę, wstępując w życie „starych", chował ją dyplomatycznie w zakamarki ściśle prywatne, a na zewnątrz siebie pokazywał oblicze, które świadczyć miało: jestem produktem otoczenia, nie bójcie się, bym się odważył być pośród was człowiekiem, tak dalece wam nie zaszkodzę. Ilu czci Boga „prywatnie", a milczy o tym publicznie, gdyż się boi? Już Seneka użalał się, że wracał od ludzi gorszy. Wracamy ustawicznie z pobytu wśród ludzi takimi, jak tchórzliwy stoik z dystyngowanego towarzystwa: zgorszeni tym, cośmy wśród ludzi przeżyli. Na zewnątrz jednak udajemy, że czuliśmy się świetnie, oświadczając o swym „zadowoleniu" wszem i każdemu czy chce, czy nie chce, a czynimy to po to, by nie uchodzić za nieobytych towarzysko, za „odmiennych" od wszystkich, czyli za myślących inaczej, niż „dystyngowane" gromady, bo tak jak Bóg lub tak, jak... sami myślimy.

Z dawien dawna każde pokolenie „starych" ćwiczy się w postępie technicznym i tresurze umysłowej, moralnie zaś, wyszedłszy ze szkół, stara się czym prędzej zrównać z tymi, co dawniej zostali „starymi". Ogólny bilans jest taki, iż odkąd wychowanie szkolne w Europie się rozpowszechnia, usuwa się naszej części świata grunt spod nóg. Jednocześnie w życiu tak

„wychowanych" pokoleń coraz lepiej się czuje człowiek bez charakteru.

Mimo iż Chrystus nie wychowywał dzieci, lecz „starych", dziatwę zaś zabronił „starym gorszyć — dalej kapłani są pewni siebie pouczając dzieci, boją się natomiast z równą odwagą czynić to samo ze „starymi". Mieliśmy dawniej jednego biskupa Szczepanowskiego i jednego księdza Piotra Skargę, którzy liczyli się całkowicie z Bogiem, niezupełnie z człowiekiem. Jest w Paryżu jeden ksiądz, Betleem, który ma odwagę drzeć w kioskach pisma pornograficzne, gdy jego konfratrzy mają cu najwyżej odwagę mówić o złu pornografii z ambon. Dalej nie pozwala im dotrzeć strach. A niestety, nie wyręczają ich w tym świeccy katolicy również ze... strachu. Dotychczas wychowanie katolickie nie rozwijało właściwego poczucia zdobywczości w stosunku do świata. Jak gdyby ograniczało się ono do przekonania, iż katolik nie jest szkodliwy, a więc niejako prowadziło propagandę, że naśladowca Chrystusa jest... pożyteczny, osiągając tym dno samoponiżenia się, nierozumu o marce katolickiej. Głupi, kto zapewnia, że w Boga „nie wierzy"; głupszy, kto wierząc uspokaja, że przez to nie jest szkodliwy.

Chrystus nie szukał warunków dla swego apostolstwa, lecz tam, kędy przebywał, wbrew okolicznościom, jak wiemy, najstraszliwszym, bo w narodzie zdecydowanym nawet zabić Boga, — czynił wolę Ojca. Szaleństwem było głosić naukę miłości, zakon o Bogu jako Ojcu, ludziom, którzy się Boga przede wszystkim bali i z właściwą sobie przebiegłą ostrożnością wyrachować już zdążyli to rzekome minimum warunków,

których dopełniając, Bogu się w swym rozumieniu zbytnio nie mieli narażać i z owego minimum formalności administracyjnych — religię uczynili. Jasne było, że strach przed Bogiem, obwarowanie się przed Nim formułkami zawiedzie ich w końcu do nienawiści Syna Stwórcy, acz nieświadomie i przy całym zachowaniu formalności urzędowych religijnych. Mógł Zbawiciel, po ludzku sądząc, daleko łatwiej nawrócić któryś z innych narodów, a nawracał Żydów. Dlaczego? — Bo nawracał, gdzie był. Strach przed Bogiem wykoleił stosunek Żydów do żywego Boga, zamulił ich religijność; wypaczał i inne wyznania oraz ich pobożność. Tak samo strach przed wychowywaniem dorosłych, „starych" wykoleił najbliższą religii naukę: pedagogikę, czyniąc z niej wpływologię ułatwioną, uprawianą przez tchórzliwych naprawiaczy świata na dzieciach i młodzieży.

Wychowywano młodych — po co? By, wchodząc w życie jako „starzy", doskonalili drugich i siebie. Nie przedstawiano atoli młodym bez osłonek ohydy wygodnego tchórzostwa „starych", a to, by młodych tym nie zepsuć, to znaczy by „starych" nie pozbawić w oczach młodzieży... autorytetu wychowanych. W zarodku była obawa, strach.

„Stary" zostawał bez wpływu pedagogicznego. Żył jak chciał w granicach obchodzonego prawa, uchwalanego, zresztą, przez niewychowujących się „starych", spośród których „specjaliści" od ustawowej moralności studiowali te dyscypliny, lecz niekoniecznie je praktykowali, bo to nie było nikomu potrzebne, by być prawodawcą lub moralistą.

Jeden Kościół zdobywał się na odwagę i usiłował „starych" wychowywać. Inne wyznania brały sobie nierzadko królów na... zwierzchników-wychowawców, a to z obawy, by ci „starzy", jako monarchowie, nie niszczyli... kościoła-wychowawcy. Jeżeli monarchowie byli tak niepewnymi... wychowankami, co mówić o pozostałych „starych" i ich poziomie moralnym? Jeszcze pocieszniejsze zjawisko zachodziło, gdy na czele państw stawały typy straszycieli, a więc wojownicy oraz im podobni, i żelazną ręką usiłowali wydobyć z wychowanych już w szkołach „starych" pewne wyższe wartości moralne. W ostatnich czasach rządy „autorytatywne" starają się wpływać na „starych", wprowadzając w ich życie takie rygory, jakich nie śmiano by zastosować w żadnym zakładzie poprawczym do dzieci i młodzieży. Uwagi godne, iż nigdy nie stosowano tak ostrych sankcji do młodych, jak do „starych", czyli że „starzy" zawsze byli trudniejsi do wychowania i na ogół zdecydowanie gorsi, acz młodych... wychowywali. Mimo to żaden z rządów nie myślał poważnie, by swych „starych" wychowywać, ostatecznie zachowując do dyspozycji policję i karabiny maszynowe.

Świat młodych był stale czystszy od świata „starych" za wyjątkiem tych „starych", którzy po opuszczeniu szkół aż do śmierci wychowywać się nie przestawali. Mimo to stale „starzy" młodych wychowywali, mało kto „starych". W młodych niecono ustawicznie entuzjazm i wiarę w udoskonalenie się człowieka. Po co? — By, gdy zaczną być „starymi", na skutek wpływu ogółu „starych", wiarę tę stracili. Typowy młody tym różnił się od typowego „starego", że od niego był skłonniejszy

do ideału. Gdy postrzegano młodego tak niemoralnego, jakoby był już „starym", widziano wyraźnie, iż była to młodość nadżarta „starością", uderzająco trafnie określana jako „zepsuta". Taki młody robił wrażenie „starego". Ciekawe, iż „stary" nie mógł być zepsuty i nikt znający życie nie naklejałby mu takiej etykiety. Bo „stary" znaczyło z góry tyle,co zepsuty. Uderzające, iż każdy ojciec, matka chroni dziecko, ile może, od zepsucia... „starych" oraz od młodych i dzieci, których już „starzy" swym wpływem, jako wychowani w szkołach, zdążyli zdeprawować. W szkole nie do pomyślenia jest, chociażby, używać wyrazów będących na ustach wszystkich w wojsku, choć tym słownikiem posługują się brawurowo... pedagogowie, gdy odbywają służbę wojskową. Jak przygotować ucznia, by, służąc w armii, wyrazów tych nie używał?... „Starzy" stanowią dla młodych stałe niebezpieczeństwo moralne, przed którym za cenę budżetów oświatowych bronią swe dzieci społeczeństwa... „starych". Zło wśród „starych" jest uświęcone. Czyżby musiało tam być trwałe?

„Starzy" wmówili w siebie, że młodzi powinni być od nich moralniejsi i że, gdy się „zestarzeją", mogą dopiero robić, co im się będzie podobało, gdyż wtedy, zdaniem „starych", zło mniej szkodzi. Tymczasem największe spustoszenie czyni zło dokonywane przez „starych", bo „starzy" kierują życiem, tworzą je i każdym swym czynem formują rzeczywistość. „Stary" poza tym jest wizją i żywym programem na czas, gdy młody dorośnie, a u dojrzewających młodych jest programem natychmiastowo aktualnym. Dlatego zło, jakiego dopuszcza się „stary" — wychowawczo i społecznie jest

zbrodnią, której wielkość określił ostatecznie Chrystus, gdy, mówiąc o zgorszeniu maluczkich, skazywał takich „starych" na śmierć w głębokościach morskich. Każdy „stary" bowiem, czy chce, czy nie, wpływa na młodych. Młodzi o wychowaniu szkolnym, jako nie potwierdzanym następnie przez życie „starych", szybko zapominają, obłudę tę już w szkole dobrze widzą i o tym jeno marzą, by gdy ze szkoły wyjdą, zacząć być „starymi", tj. jak oni prowadzić się moralnie, czyli być takimi, jak wszyscy.

Na razie organizmy społeczne trzymają się dzięki nadludzkim wysiłom tych „starych", którzy opuściwszy szkoły, wychowywanie się dalej uprawiają i swym idealizmem moralnym pociągają pewną ilość wstępujących w życie młodych. Dzięki tym grupkom „starych", nie uważających się za skończonych, wychowanych, rodziny, narody, państwa łatają ciągłość swego bytu, a nawet w pewnych okresach rozwijają się znakomicie, by na powrót, gdy wśród nich liczba wychowujących się „starych" zbyt małą się stanie, upadać, ginąć. W tym morderczym wysiłku zdzierają się najpożyteczniejsze społecznie typy, zapewniając swym heroizmem bytowanie pozostałej, nie chcącej się wychowywać wygodnickiej gromadzie „starych". Łataninę taką obserwować można było w dotychczasowym życiu, gdzie miast pędu powszechnego do samowychowywania się widać było, jak skazywano osobistości ofiarne na przedwczesne wyniszczanie się bądź w walce z egoizmem pozostałych „starych", bądź w nadludzkich wysiłkach. ponoszonej dla ich dobra pracy. Tak więc najbardziej pożytecznym społecznie typom przeznaczały do-

tychczasowe ustroje śmierć na... raty, zagładę w aureoli wielkości. Prawda, że Kościół te jednostki wynosił, gdy były święte, na ołtarze; państwa zaś umieszczały je w panteonach bohaterów narodowych. Ile jednak marnowało się najużyteczniejszej energii i inicjatywy, jakim ilościom ofiarników wbijano gwoździe w ręce, czym taki stan był dla sprawiedliwości i przykładu pedagogicznego, niewiele to kogo obchodziło. Był ktoś herosem, więc trzeba było w jakikolwiek sposób go dobić. Uprzywilejowane było przez wygodę tchórzliwe „byleco". Żyło ono i tyło na trupach tamtych całkiem legalnie, modląc się do jednych i podziwiając drugich. Bohaterowie z kolei pracowali, cierpiąc za miliony, by móc ginąć w tempie gorączkowym. Dzięki temu tchórze wegetowali tym wygodniej, im ofiarnicy byli bardziej bohaterscy.

Gdy konsekwentna myśl wychowawcza da wreszcie system wychowania „starych", okaże się, iż wychowanie — to zasadniczo samowychowywanie się. Dojrzałymi zaczynamy być, odkąd umiemy sami siebie wychowywać. Dotychczasowe wychowanie — to wpływologia, oparta na przeświadczeniu, że człowieka można wychować w szkole i tam skończyć jego wychowanie, że na ławie szkolnej dziecko się nakręci na całe życie jak maszynkę, zegarek, że człowiek, to właśnie perpetuum mobile. Gdy uczy się młodego tylko ulegać pedagogowi, lecz nie uczy się go być apostołem wśród otoczenia, wówczas młody, wchodząc w życie „starych", nie może oddziaływać wychowawczo już bez pedagoga. Takie, jak dziś, wychowanie byłoby logiczne, gdyby dziecko ćwiczyło się w poprawianiu „sta-

rych" podczas całego pobytu w szkole na podobieństwo owego chłopca, który, mając w domu mówić pacierz, zapraszał ojca, by razem z nim klękał i tak przyzwyczaił z czasem swego rodzica do modlitwy. Ponieważ jednak młody nie zna metod wychowywania przez siebie „starych", zwalczania ich niemoralności i utrzymywania się samemu wśród nich na poziomie coraz wyższym etycznie, zostaje lepszym w szkole po to, by gdy z niej wyjdzie, być gorszym nierzadko niż zwykły „stary". Młody nie widząc „starych", żyjących tymi wartościami, jakimi karmi się go w szkole, jeżeli jest w niej moralnie wyższy od „starych", nie tyle jest taki z wewnętrznego przeświadczenia, ile przez wzgląd na pedagogów. Nic dziwnego, iż wychowani w szkole, opuściwszy ją, nie chcą się dalej wychowywać, natomiast, by najinteligentniejsi i najuczeńsi, bardzo chętnie ulegają zwykłemu chamskiemu terrorowi, ażeby jeno dalej żyć wygodnie jak w szkole. Ćwiczono ich w uleganiu, więc ulegają, byleby silnie — autorytatywnie — „kuć w mordę" tych wychowanych.

Wpływologię stosują w szkole logicznie jedynie komuniści, w ich ustroju bowiem swoją wolę wolno mieć tylko sztabowi, pozostali zaś mają jeno ulegać, „nadstawiać" bezwolnie swą psychikę pod prasę propagandy i terroru oraz tak myśleć i działać, jak nakręcą ich mózgi tamci — słowami, warunkami lub „trzymaniem za pyski".

Tak samo masoni są konsekwentni, gdy popierają wpływologię. Ich celem bowiem jest trzymać ucznia w szkole jak największą ilość lat, a to po to, by przez ten czas do tego stopnia wyprasować go ideowo na ła-

wie szkolnej, ażeby przez to pozbawić go całkowicie i na zawsze — własnej myśli i woli, czyli by go uczynić w ten sposób „wolnym" w znaczeniu masońskim. Tacy tylko „wolni" są potrzebni masonerii, gdyż inaczej nie mógłby żaden „Wschód" rządzić „profanami", żaden tajny sztab masoński — światem. „Wolny" według robaczywej myśli masońskiej, to taki, który może czynić wszystko przeciw...Bogu, Kościołowi i Ojczyźnie; poza tym „wolny" musi tylko być psem, słuchającym ślepo lóż. „Wolność" ta, to jadowita złośliwość w stosunku do Boga. Chadza ona sobie przysięgle w kagańcu szatana, pobrzękując kajdankami nienawiści do Boga, Kościoła i Ojczyzny: jest wolna jak trup.

Co jest granicą wszelkiej wpływologii? — Wpływ, coś zewnętrznego, co zawsze może być wyeliminowane przez coś silniej zewnętrznego. Co jest granicą samowychowywania się? — Ojciec-Bóg, ideał w doskonałości nieosiągalny, acz w przybliżeniu dościgły. Czy są granice wpływu na mnie Boga? Czy nie mogę wyjść poza możliwości osiągalne, gdy wspomaga mnie Bóg? Kto bezpośredniej, bez niczyjego współdziałania, bo we mnie, zadziałać może tak potężnie, przemożnie, nadludzko, jak Duch, który tchnie kiedy i kędy chce?! Idzie jeno o to, bym chciał, jak chce Bóg. Jeżeli tak chcę, gdy chcę coraz więcej, dokładniej, podobniej, jak On: tak jakby, Sobą będąc i mną, we mnie Sam wszystko czynił — wówczas wychowuję się sam. I to jest wychowanie. Wychowuje mnie nie tchórzliwy pedagog, nie człowieczek choćby na miarę największą, ale ukształca mnie Bóg; nikt i nic, co nie jest Nim i w Nim.

Wpływ wychowawczy ma doprowadzić do bezpośredniego kontaktu z Bogiem jako Ojcem i z Jego Łaską. Wszedłszy w ten sposób w pokrewieństwo jak najżywsze z rodziną Stwórcy, wkraczam na drogę kultury: starając się tym, co czynię, zamierzam, myślę, kocham — stawać się jak najwcześniej i jak najdokładniej podobnym do Chrystusa-Człowieka, tym samym się wychowuję. Bóg jako Ojciec i Chrystus jako Brat muszą mi wówczas żyć żywiej, niż ojciec i bracia cieleśni.

Kto szybciej, bezpośredniej odsłania woli i młodym oczom Stwórcę jako Ojca i Chrystusa jako Brata, ten najsilniej działa wychowawczo. Jasne, iż sukcesy tu osiągnie wyłącznie wychowawca — drugi Chrystus. Wszelki inny typ, wychowawcy nie bardzo wie, czego chce: jest pomyleńcem. Być może, iż jest specjalistą od oszałamiania naukowością pedagogiczną, oślepłym od blasku tego fragmentu duszy czy ciała, który poznał naukowo, a z którego to zakątka wiadomości nie może się wydostać, acz ma „szerokie" horyzonty, bo widzi znakomicie w granicach strachu ten jeno atom prawdy człowieka, jaki dojrzał, dzięki czemu też tak dokładnie zaniewidział. Wpatrzeni w drobnostki, ślepniemy. Widzimy Ojca i wraz z Nim wszystko doskonale — nie oczyma, lecz dobrą wolą: Jego wolą, acz naszą.

Z jakimże tak zwanym wychowaniem szkolnym da się porównać takie samowychowywanie się? Czy nie tu zaczyna się kultura... Gigantów? Samemu chcieć i stawać się takim, jak Chrystus-Brat, niezależnie od wpływu... radia i całego tak zwanego „świata" oraz szkółki i szkoły. Czy nie tu ma początek dojrzewanie

pozafizyczne, nieograniczone intelektualnie? Czyż nie tutaj wychowanie „starych"? Przez samowychowywanie zdejmie się z dorosłych przeklęty przywilej, że nie tyle wychowywali, co gorszyli młodych; gdy zaś wychowywali, to w szkole, broń Boże... dalej.

Kto może wychowywać „starych"? Czy tylko utalentowany i wykształcony pedagog? — Takich słuchają młodzi, gdyż inaczej usunięto by ich ze szkoły. „Starzy" atoli wnet poznają się na nieszczerości wychowawcy, co pozbawi go na nich wpływu. „Stary" nie jest niezdolny do postępu moralnego, ale jego wychowawca musi być konsekwentny: pedagog „starych" musi być święty. Nie święty-niedołęga, gdyż byłby śmieszny, nie miałby wpływu na „świat", lecz święty-heros. Inny pedagog jest — zdaniem „starych", czego nie zawsze są świadomi — dobry dla młodzieży, którą do niego jako rodzice posyłają, płacąc mu za zdolność rozdwajania swej moralności na „moralną" wśród „starych" i idealną, pedagogiczną wśród młodych w szkole. Wychowawca „starych" nie może także zamknąć się za furtką klasztorną i zza niej działać jako święty, bo nie będzie dość sugestywnie przekonywał. Powiedzą mu: łatwo ci kochać ludzi i Boga w klasztorze, lecz żyj w takim jak my piekle, z takimi jak my ludźmi i bądź święty — uwierzymy. Uwierzyć i tu znaczy: czynić będziemy podobnie. Kto chce „starych" doskonalić, musi być wychowywanym przez Ojca, nie w szkole przez bojaźliwego pedagoga, nie mającego odwagi ni wychowywać „starych", ni zdobywać doskonałości. Oto tajemnica, czemu dotąd nie było dla „starych" wychowania. Pedagogowie stawali w pół drogi z myśleniem o wycho-

waniu, z wolą samowychowywania się i z tego miejsca snuli systemy wychowawcze. Nie domyci moralnie, myślowo nie douczeni, szli do dzieci licząc więcej na ich naiwność niż logikę swych chęci' Nie było świętych wśród świata: nie było wychowania „starych". Toteż gdy nauki pedagogiczne w wieku ubiegłym i bieżącym rozwijały się więcej niż kiedykolwiek, kto chciał się bawić w wychowanie „starych", darzył ich... pornografią, starając się stylem pedagogicznym mówić o higienie i moralności... rozpusty, usiłując za wszelką cenę wepchnąć człowieka w kompleks... libido-wygody.

W tejże mykwie panseksualnej zaczęli od niedawna pławić wielkich tego świata historycy-wychowawcy „starych", by tak oczyszczonych luminarzy prezentować z kolei pokoleniom dorosłych. Albowiem dopiero w ten sposób odbrązowione olbrzymy zdolne były zainteresować, nieczuły rzekomo na inne „podejście" do tytanów ludzkości, ogół wychowanych „starych".

Biografom-pedagogom, „specom od starych", plombującym swą myśl w kategoriach wygody, jakoś nie przychodziło do głowy, że nawet człowiek największy snadnie da się odbrązowić w zupełną nicość, gdy patrzeć, czym był w swej nędzy, gdy opuszczała go Łaska. Ciekawe, że im wywabiacz-Herostrates jest kompletniej osobiście wyprany płciowo, gdy już niczego w nim nie da się wytłumaczyć seksualnie, tym uparciej wszystko wszystkim płciowo tłumaczyć usiłuje, kładąc w to całą swą starczą, zawiędłą namiętność.

„Pedagogowie od ławeczki szkolnej" nie tylko boją się wychowywać „starych", lecz zgodnie ze swym tchórzostwem wstydzą się Pana Boga, utrzymując, iż „nau-

kowo" nic o Nim nie wiedzą. Przemilczają Go przed dziećmi, wmawiając im w ten sposób mniej lub więcej uchwytnie, wprost bądź pośrednio, świadomie albo nieświadomie, że są produktem przypadku, że zaczęły żyć po to, by umrzeć, że są dziećmi śmierci. Ukrywają przed młodymi, kto ich Ojciec, że — Pan wszechrzeczy, Miłość Sama. Milczą, że dziedzictwem wychowanków —niebiosa. To wszystko razem nie przeszkadza „objektywnym" pedagogom uzależniać postępowanie wychowanków skwapliwie i despotycznie od swej woli... skurczonej strachem przed — myślą o Bogu. Nie zaznajamiając młodzieży z żywą wolą Ojca, silą się czynić z gmachów szkolnych całego świata wylęgarnie podrzutków niewiadomego pochodzenia, starają się przez wychowanie dotworzyć w szkole brakujące ogniwo małpo-człowieka — miast dawać życiu człowieka-bóstwo. To sprzysiężone okłamywanie milionów młodzieży, dokonywane ustami „pedagogów" szkół laickich, jest jedną więcej zbrodnią pedagogiki naukowej i „ściśle" naukowego wychowania dzieci w szkole.

Chyłkiem znów o Bogu jako Ojcu człowieka głoszą wychowawcy o potrójnym sumieniu: innym na lekcjach religii, innym na pozostałych przedmiotach, a jeszcze innym w gronie nauczycielskim, poza szkołą. Praktykuje się to w szkołach, gdzie mówią o wychowaniu religijnym wyłącznie na lekcjach religii, bo i takie szkoły przewiduje „naukowa" pedagogika. Bywa też, iż o Bogu jako Ojcu mówi katecheta, pozostali zaś wychowawcy ze strachu... o posady oddziaływują na wychowanków jako na stwory zagadkowego rodowodu. Na tak skonstruowane wychowanie tchórzów

przez tchórzów łożą społeczeństwa... katolickie, szczycąc się wzrostem kultury.

Metoda nauki religii, zawsze wychowawczej — pójdzie tym silniej naprzód, gdy osią jej się stanie wprowadzanie przeświadczenia najoczywistszego, że Bóg to nasz Ojciec. Na tym też oprze się pedagogika przyszłości, jako nauka o samowychowywaniu się pod wpływem Ducha. Jasne, iż wychowawca w tej pedagogice musi być naśladowcą Chrystusa, inaczej będzie to czczy werbalizm, o jaki dotąd rozbijała się praca Kościoła. Kościół sam jeden od dwu tysięcy lat usiłuje wychowywać „starych", naucza, że Bóg — to Ojciec, ale za mało jeszcze dał pedagogów w stylu św. Jana Bosko. Życie chrześcijan za mało było konsekwentne i dlatego przedstawiciele Kościoła nie mieli dotąd odwagi żądać skutecznie od swych kapłanów świętości, dzięki też czemu coraz to bardziej zarażano się poglądami pedagogiki naukowej, prowadzono wychowanie w szkole przez księży-werbalistów, nie przez księży-świętych, poprzestawano na przeciętności, nastawiano wysiłek wychowawczy zanadto na samą młodzież, ulegając w ten sposób prądom, cechującym pedagogikę „wpływologii".

Pedagogikę konsekwentną, dla wszystkich, mieć będziemy tym wcześniej, im zdecydowaniej rozpoczną wychowawcy wychowywać „starych", gdy sami wybiegną poza śmierć ciał, poza strach przed Bogiem, gdy wyzbędą się mrożącego im dotąd krew w żyłach lęku przed własną świętością.

Wychowanie w szkole jest niewystarczające nawet w wieku młodym, gdyż wiadomo powszechnie ,że czyn-

niki pozaszkolne bardziej wpływają na ucznia niż szkoła. Mimo to nie zmieniało się pozostałych dziedzin życia w duchu moralnym, rozbudowując coraz bardziej szkolnictwo, przedłużając coraz więcej obowiązkowy czas uczęszczania do szkół, wzbogacając je w coraz większą ilość agend, czyniąc samoistne państwo szkolne w państwie, które, gdy uczeń opuści, jest jakoby gotów do życia... całkiem odmiennego od życia w szkole, bo niewychowawczego, nie wychowującego.

Wychowując w pałacach pod okiem przeczulonych pedagogów oddala się szkoła coraz bardziej od życia, do którego uczeń wróci, gdy naukę skończy, gdzie wre walka o żer, strój i wygodę, i gdzie w pałacach mieszkają jakże nieliczni. Szkoła współczesna prowadzi wprost do kultury demagogicznej i komunizmu, gdzie całe życie jest się — jak w szkółce — objektem. Z wyjątkiem szkół wyższych, w których trzeba pracować, borykać się z trudnościami, szkoły średnie, a zwłaszcza powszechne, dają fatalny typ pretensjonalnego nieroba, wymarzony filar kultury wstecznej, fundamentalną podstawę upadku rasy białej.

Wychowanie szkolne, o ile chce być skuteczne, musi znajdować swój wyraz nie tylko w szkole, ale wszędzie, gdyż wszędzie wznosimy się i upadamy, zbawiamy się i tracimy Łaskę; gdyż zawsze potrzebujemy pomocy wychowawczej, nie tylko na ławie szkolnej. Odzierając szkołę z aureoli jedynego wychowawcy, rozszerzymy jednocześnie szkołę, ściślej: wychowanie — na całe życie.

Wszystko w państwie musi być wychowawcze: podstawy ustrojowe, konstytucja, prawo, armia, admi-

nistracja, życie prywatne i publiczne. Na razie uwięziono wychowanie w szkole i obwiedziono je drutem kolczastym regulaminów z etykietką: dla młodzieży obowiązkowo dozwolone.

Istotą szkoły jest nauka, wychowanie zaś i samowychowanie się ma być istotą całego zorganizowanego życia, przeto i szkolnego, lecz nie szkolnego wyłącznie. Ile w szkole ma być wychowania? — Tyle, ile go wymaga natura szkoły. Czy ma ono tam tylko być skoncentrowane? — Nie, gdyż inaczej szkoła byłaby jako instytucja wychowawcza w stosunku do reszty życia uprzywilejowana, sztuczna. Że umoralniałaby, dlatego przeznaczono by ją specjalnie dla młodych, czyli moralność w ten sposób byłaby czymś „dobrym jedynie dla dzieci". Czyżby tym samym wszystkie pozostałe instytucje miały obowiązek deprawować? Ma być w szkole wychowanie, lecz nie dlatego że trzeba same dzieci wychowywać, ale że każda instytucja w państwie musi być wychowawcza, przeto i szkoła. Wystarczy, gdy pracujący tu „stary" przez swój wysiłek wychowawczy i nauczanie przeżywać będzie w szkole na oczach młodych i w stosunku do nich drugiego Chrystusa, a tym samym kierować wychowawczo młodzieżą szkolną. Czynić zresztą to samo będą rodzice w domu oraz wszyscy w państwie „starzy" na wszelkich placówkach. Wszelkiemu oddziaływaniu wychowawczemu na wychowanka musi towarzyszyć praca samowychowawcza wychowawcy nad sobą, inaczej wychowanie staje się werbalizmem bez pokrycia, już w szkole.

Szkoły klasztorne tę właśnie wyższość posiadały nad świeckimi, że nauczyciele ich, zakonnicy, obowiązani

byli dążyć do doskonałości chrześcijańskiej. Młodzież ten ich wysiłek samowychowawczy widziała i aczkolwiek nie dostrzegała tejże samouprawy moralnej u pozostałych „starych", w „świecie" ludzi rodzinnych, to przecież nie mogła zarzucić niekonsekwencji swym kierownikom szkolnym. Dziś w szkołach laickich uczniowie widzą powszechnie u wychowawców kłamstwo, nauczyciel bowiem świecki nie jest obowiązany dążyć do doskonałości moralnej, wystarczy gdy jest znawcą... przedmiotu, technikiem nauczania i moralny w sensie... dobrego tonu. Nic dziwnego, że taki werbalizm moralny doprowadził do tego, iż gdy zlaicyzowano, upaństwowiono szkolnictwo, zaraz powstał kryzys... autorytetu. Pedagog, werbalista moralny, przestał być natychmiast powagą, albowiem młodzież widziała, że od jego urzędowego umoralniania zionie otchłań... wyrażów, że namawia do tego, czym nie żyje, że to jeno agitator moralności i to pewnie nietęgi, bo zazwyczaj kiepsko płatny i dość społecznie postponowany.

Szkoła dotychczasowa ułatwiała konsumcję wiedzy, utrudniała natomiast samowychowywanie się. W jakże okropnym bywał położeniu, chociażby, dojrzewający fizycznie młody inteligent, gdy kazano mu samodzielnie zdobywać światopogląd. W imię więc czego tak długo maglowano go moralnie w szkole, dopuszczając wreszcie wybór... światopoglądu? Czy wychowawca mógł posiadać światopogląd? A skoro mógł i posiadał, jakże śmiał pozwolić na przypuszczenie, że może być prawda... inna? że jego wychowanek, dziecko Boga, może się wyrzec... Ojca? Jeżeli pedagog miał własny światopogląd, ile mógł jednocześnie mieć „nie

własnych"; bo skądby się brały one u wychowanka, skoro sama szkoła go wychowywała? A zatem, czy być pedagogiem, nie znaczyło tyle, co być agnostykiem, a więc człowiekiem, który nie wie, co złe, co dobre, który nic o tym nie wie, nie może wiedzieć, a... wychowuje? Czy taki pedagog rozumiał, iż jego agnostycyzm powoduje ustawiczne chwianie się woli u wychowanka w samych posadach? Jak tedy mógł zakładać ruchome fundamenty? Czy pojmował, że mieć światopogląd — to wierzyć — to widzieć żywego bohatera światopoglądu w sobie? Ilu przeto bohaterów i ilu światopoglądów urzeczywistniał w sobie i ukazywał; ściślej: ilu partaczy? Czy kazał mimo woli z każdego z nich wybierać? Czy pozwolił wybierać jedynie... prawdę? A może nawet i co do tego zostawiał swobodę... zupełną... pedagog? Czy był konsekwentny, jeżeli nie zabraniał wyboru, gdy szło o szczęście, życie wieczne młodego człowieka? o najwyższej wagi pożytek społeczny z wychowanka już tu: o młodego człowieka-Chrystusa?

Zdobywanie światopoglądu jest męczeństwem w ustrojach niewychowawczych. Toteż na ogół wychowankowie nie usiłowali ni go zdobywać, ni według niego żyć, myśląc i żyjąc sobie tak, jak wszyscy, wyznając eklektyzm... mody. Dawało to człowieka, który bał się czynić inaczej niż wszyscy, który pozwalał się zestandaryzować jak auta Forda, który pozornie bardzo łatwo dawał się uspołecznić, który bał się wszystkich: obywatela — panicznego tchórza i panicznego... bohatera, stałą... wypadkową aktualnie panującej.... psychozy. Co prawda, otrzymujemy stąd w wyniku

tak potężne ruchy społeczne, jakich świat dotąd nie znał: komunizm, hitleryzm, faszyzm, prosperujące w ustawicznym afekcie paniki-entuzjazmu, paniki-strachu. Szkoda, że bez strachu żaden z tych ruchów nie zaistniałby i nie da się pomyśleć. Strach je też zgubi. Ruchy społeczne niezniszczalne mogą powstać wyłącznie z uczuć narodów do Boga jako Ojca. Ruchy te dać może jedynie taki Stalin, Mussolini, Hitler, który odważy się być herosem i świętym. Żaden z nich jednak nie byłby na tyle śmiały, stanie przeto w pół drogi, by zgodnie z duchem cywilizacji niekonsekwencji — złu i dobru służyć, by tedy mniej lub więcej wstydzić się Pana Boga jako Ojca. Nikt też nie zadrżałby tak z lęku aż do trzewi własnej istoty, jak wodzowie, gdyby którego z nich zaatakowała myśl: będę świętym, wodzem-Gigantem. Poza tym mogą sobie być odważni i czuć się — na zewnątrz „tacy szczęśliwi", gdyż bez tej maski nie ma wodza przez W.

Eklektyzm światopoglądowy szkoły zamęcza nerwy inteligencji, decydującej dziś sfery, utrudnia jej decyzję, a więc konstrukcję czynu, zwłaszcza w sytuacjach ciężkich; rozrywa to jej świadomość i drze ją nerwowo na strzępy. Namysł bowiem przychodzi łatwo, gdy zależy od pionu idei naczelnej wyznawanego światopoglądu; lecz gdy pionu tego brak, wówczas namysł więcej nerwowo kosztuje niż sama decyzja, a daleko więcej niż jej wykonanie. Eklektyzm w wychowaniu dał miast woli stalowej — kłębki nerwów, z których każde włókno ciągnie ustawicznie gdzie indziej; miast jasnego wnętrza świadomości — dom wariatów. Nie może być większego nieszczęścia dla systemu nerwowe-

go, jak niewyposażenie człowieka w światopogląd, gdyż cokolwiek czyni filozof... mody, czyni rozdarty. Każda z porąbanych części jego psyche drga podczas... czynu nadal, każda w inną stronę. Ćwiartowanie świadomości trwa jednak... urzędowo w dalszym ciągu: mielenie woli odbywa się przymusowo w szkole. Nic dziwnego, iż ratując się od szaleństwa, a nie mając odwagi czynić woli Ojca, inteligent sklecił nawet światopogląd komunistyczny, faszystowski i nazi-socjalistyczny. Przyprawia go też gwałtem każdemu, kto chce i nie chce, byleby nadal nie pozwolić krajać swej woli i nareszcie wiedzieć, co robić, a nie ryć ciągle w podstawach, motywach i węszyć całe życie indywidualnie bądź nagminnie... wszystkie „prawdy".

Lubiący grzebać w światopoglądach niech nie przestają nadal węszyć... objektywnie, naukowo, głęboko, filigranowo szczegółowo; w dalszym ciągu niech nie widzą siebie samych.

Pedagogia herosów usunie ów eklektyzm, możliwość „zdobywania" światopoglądu. Bo nie ma światopoglądów. Jest naturalne uczucie synostwa wobec Boga. Przeświadczenie to będzie tym żywsze, im doskonalej podobnych do Boga-Człowieka widzieć będziemy świętych. Gdy życie wszystkich synostwem Bożym wzrośnie powszechnie i ogromnie, wtedy narody nie będą już więcej wykręcać się od Ewangelii, wątpić w... Prawdę, Drogę i Żywot i pójdą dalej, wychowując siebie na społeczności świętych-Gigantów i tym wpływając wychowawczo na, wchodzące kolejno w życie świata, pokolenia młodych. W ten sposób będzie stawać się

instynktem krwi i duszy — świadomość, że człowiek, naród, ludzkość — to rodzina Stwórcy.

Pedagogia świętych wyjdzie na ulice życia, do wszystkich, wszędzie, by każdy mógł żyć dzięki niej prawdziwie po chrześcijańsku.

CZĘŚĆ DRUGA

ŚWIAT ŚWIĘTYCH

IV

WYZWOLENIE HEROIZMU

Nigdy tak jak dziś nie stała konieczność wybrania drogi Gigantów, gdzie człowiek zwykły, znalazłszy się w ustroju bez miejsca na zło, będzie miał maximum warunków, by móc czynić dobrze, a obywatele-rządcy — obowiązek żyć heroicznie. Zwisamy nad brzegiem przepaści, oddzielającej nas od przyszłości bohaterskiej, kędy wdzierali się dotąd nieliczni jeno synowie ludzcy. Udamy się tam wkrótce wszyscy, pozostawiając życie karle jako skamieniałość muzealną. Ów eksponat-skamieniałość niczego nie będzie dowodził w tej mierze, co tego, jak bardzo człowiek się bał czynić... pełnię dobra.

Bo człowiek żył dotąd przy akompaniamencie strachu. Strach był dominującym zjawiskiem życia. Na strach zawsze liczyć można było. Strachem posługiwano się jako najpewniejszym środkiem oddziaływania. Jest on nadal zasadniczym instrumentem politycznym. Stanowi też podstawę karności wojskowej nawet w armiach o najświetniejszych tradycjach. Armie znów są narzędziami straszenia państw wrogich, przy czym strach

własnej armii, ujawniający się najjaskrawiej w postaci dezercji, usuwa się przez jeszcze większy... strach: groźbę natychmiastowego rozstrzelania. Wojna, z kolei — stały objaw dotychczasowej cywilizacji, jest gwałtownym środkiem, mającym na celu doprowadzić przeciwnika do takiego strachu, który najdokładniej obezwładnia, a im wywoła powszechniejsze tchórzostwo u przeciwnika, tym uważa się, iż zakończono kampanię większym zwycięstwem. Wojny są, zresztą, po to, by nie dopuścić odwagi do głosu u wroga, a będą tak długo, dokąd się ludzie będą... bali. Strach też ostatecznie egzekwuje prawo tak państw „dzikich", jak i najbardziej „kulturalnych".

Nie zdajemy sobie sprawy — oszalelibyśmy — jak wielką, omal wszechwładną rolę grał i gra dotąd strach. Nie da się pomyśleć dotychczasowego człowieka bez strachu. Kroku bodaj nie czynimy bez tego przyjaciela. Terroryzuje nas to mniej, to więcej, stale zaś miażdży tak bezapelacyjnie, iż zda się, że człowiek przede wszystkim się boi. Kto znał człowieka, co nigdy się nie lękał? co nie będzie się bał więcej?

Lecz człowiek nade wszystko bał się i boi... czynić dobrze. Dlaczego? — Bo drży, by z powodu wykonania dobrego czynu nie stracił... posady, popularności, egzystencji, osoby miłowanej etc., etc., czyli tego, co uważa aktualnie lub trwale za szczęście, ściślej za — pseudoszczęście: wszak z poczuciem istotnego szczęścia nie może się łączyć strach przed czynnością... moralną?

Czy więc co dziwnego, że wolny — do dobrego — człowiek i pełnia twórczości moralnej zaczną się dopiero wtedy, gdy ludzie przestaną się bać — czynić do-

brze? Jakże nikłą ilość dobra mogą wykonać tchórzliwe ręce, jak nędzny dają skrawek szczęścia. Strach bowiem miłości nie dopuszcza. Kto pewny serca tchórzą? Czy może on kochać zawsze Ojczyznę? Czy miłość jego do żony i dzieci posunie się kiedy do ofiary z życia? Któraż matka, jak nie mężna, kocha swe dzieci tak, iż umrzeć za nie gotowa? Czy tchórz może we wszelkich okolicznościach miłować Chrystusa? Strach niszczy miłość, która wyzwolona, bezgraniczna, ogromna zaczyna się poza strachem, bo zabija strach. Bohaterstwo — to miłość bez strachu, to pełnienie aktualnie maksymalnego dobra. Kto chce być prawdziwie dobry, usunąć musi z siebie przede wszystkim strach. Niepodobna, zostając przy zdrowych zmysłach, tchórza nazywać uczciwym.

Strach niewiele hamuje w złem, wymusić jeno może pewną ilość dobra, którego się nie chciało. Dobro to jest wówczas tylko kłamstwem. Nic dziwnego, iż Pan Bóg dopuszcza tyle złego: ono i tak jest w... człowieku. Natomiast strach wstrzymywał głównie dobro i to tak, że gdyby człowiek dobrej woli nie bał się nigdy czynić tej ilości dobra, do jakiej był zdolny, jaka się mu w snach najdumniejszych marzyła, do jakiej go parło przemożnie pochodzenie Boskie, świat byłby dziś siedliskiem błogosławionym i to niezależnie od tego, że skłonni jesteśmy bardziej do złego niż do dobrego. Tragedia życia człowieka polega na tym, że boi się on czynić zawsze dobrze wbrew wszelkim sprzeciwom. Czy nie ze strachu ja, Ty, nie jesteśmy już święci, nie decydujemy się, nie zdecydowaliśmy się dotąd tak żyć, by powtórzył się w nas obraz Boga-Człowieka?

Strach przed wykonaniem dobra zaciążył na wszystkich cywilizacjach. Żadna z nich nie urzeczywistniała maksimum dobra, żadna nie osiągała gromadnie na swych szczytach społecznych poziomu bohaterstwa, żadna nie odważyła się budować życia poza strachem przed dobrem: każda z nich była... nieśmiała. W ramach ustrojów tchórzowskich tłukło się życie. Kładziono je w trumnę strachu i tak budowano „wielkie" cywilizacje, zawsze niekonsekwentne, bo dobru i złu służące, strzegące obojga dostojnie, stale pełne obawy, by zdecydowanie realizować życie wyłącznie bez zła. Z trumienki tej wychodziły setki pokoleń zdziwione, że Bóg ich Ojcem, bojące się czynić dobrze w każdym wypadku, nie mające odwagi wyznawać jawnie Boga, wystraszone bohaterstwem, przerażone ogromem dobra, które mogły z życia wysnuć, i z powrotem układające się w tchórzowskie formy życia-trumny. Życie się lęgło na cmentarzu woli. Nawet wśród pamiątek historycznych najlepiej zachowały się groby.

Strach odbił się fatalnie na życiu religijnym świata staro-i nowo-testamentalnego. Bóg w ustosunkowaniu się ludzi do Niego był zawsze takim Ojcem, którego się więcej bano niż kochano, mimo iż nie ma żadnego przykazania nakazującego strach przed Bogiem, mimo iż od dwudziestu wieków wiadomo, że Bóg, to miłość sama. Strach w stosunku do Boga wypaczył praktykę religii Starego Testamentu, wpędził ją w ślepą uliczkę formalizmu bez miłości, lecz z naczelnym uczuciem względem Boga — strachem. Ze strachu przed Bogiem najwięcej ludzi wmawia też dziś w siebie, że w Boga nie wierzy. Strach daleko większą rolę odgrywa

w „niewierze" niż w wierze. Albowiem strach przed odpowiedzialnością wobec Boga ścieśnia psychikę ludzką do potwornie skurczonego zwitku, do granicy nieomal zera. Nie ma wtedy miejsca wśród konwulsji ciasnoty psychicznej — na ekspansywną wiarę w Boga. Skurczonemu z przerażenia — ciężko wierzyć. Rozprężyć psychikę może tylko stała gotowość brania odpowiedzialności za swe czyny — na całą wieczność. Bo — wierzyć, to także chcieć odpowiadać za wszystko przed ludźmi i Stwórcą; nie wierzyć, to również drżeć przed odpowiedzialnością. Bo wierzyć, to przeżywać swobodę członka nieśmiertelności; nie wierzyć, to czuć się pożywką robaków grobowych. Wierzyć — to mieć w ramionach moc Bożą; nie wierzyć — to zapadać się gwałtownie w nieskończoność zatracenia.

Strach sprowadza brak zaufania. Strach je usuwa. Wyklucza bowiem zbliżenie, gdyż wywołuje zainteresowanie się bliźnim o tyle, że myśli się o tym, jak się bronić przeciw istocie... groźnej, jak nie pozwolić jej w swe życie ingerować. Strach eliminował Boga z życia Izraelitów w okresie do Narodzenia. Każdy z nich w końcu wiedział, jakie są przepisy; mało który — czego chce od niego Bóg. Rozumiano, czemu trzeba się Boga bać; nie pojmowano, dlaczego kochać Go trzeba. Rzecz tym ciekawsza, iż naśladować Boga możemy jedynie w miłości i tu podobnymi się Mu stawać, poza tym nie możemy być... bogami, najpodobniejszymi do Ojca dziećmi.

Taki był przekrój stosunku człowieka do Stwórcy w narodzie o świadomości religijnej najprawdziwszej, u Żydów. W innych religiach było bez porównania

gorzej. Samo bóstwo bywało tam niekonsekwentne, bo i dobre, i złe. Historia religii wykazałaby przebieg lawirowania między strachem a miłością do bóstwa. Ujmowano to w podstawowe prawdy religijne i praktykowaną pobożność.

Jeżeli chciałoby się określić, jakiej zmiany w ustosunkowaniu się ludzi do Boga dokonał Chrystus, to ewolucja w tym się ujawni, że rozwiał On strach przed Bogiem. Przez to głównie do Boga zbliżył, rozeznanie się w Nim, Jego naturze ułatwił, a że sam był Bogiem — Boga nam całkowicie jako miłość odsłonił, nie tylko bać się Go, ale i kochać, Ojcem Go czyniąc, nauczył, Ojcem najlepszym, skoro tak bezmiernie przez Syna miłowanym. W ten sposób na miejsce praktykowanego dotąd strachu mogła wejść miłość Boga nade wszystko. Oto czemu punktem zwrotnym w dziejach godności człowieka było wypowiedzenie po raz pierwszy „Ojcze nasz".

To samo zmienił Pan w dziedzinie stosunku człowieka do człowieka. Do Narodzenia człowiek człowieka się przede wszystkim bał lub z nim się liczył, mało kiedy kochał. Hellenowie, uczłowieczywszy swoje bogi, liczyli się tylko z nimi i na tym polegał ich stosunek do bóstwa. Liczenie się z człowiekiem było też właśnie podstawowym uczuciem Hellena do bliźnich. Z rachunku, jako stosunku między ludźmi, wynikały wszystkie znane niechrześcijańskie ustroje państwowe. Jeszcze niższy cywilizacyjnie typ — to komunizm, gdzie nawet nie na liczeniu się wsparte jest wiązanie społeczne i gdzie bez strachu wszystko by się rozpadło. Sowie-

ty — to państwo strachu i wyobraźni, przy czym realny jest tam jeno strach.

Badajmy, próbując zanalizować podświadomy, a w następstwie i świadomy, każdorazowy swój stosunek do bliźnich. Na dnie jego — strach, liczenie się. Nic dziwnego, że i stosunki między państwami reguluje sztuka liczenia się: polityka. Tym się tłumaczy ohyda posunięć politycznych. Kierunek polityce nadaje „interes" państwa, a zimny rozum kalkuluje, jak się z kim liczyć, zupełnie jak w handlu. Nic dziwnego, iż polityka i dyplomacja, posługując się wszystkimi odcienami kłamstwa, tak często mają cechy sataniczne. Czyż nie najbardziej zdumiewającym zjawiskiem w polityce i dyplomacji byłby człowiek, mówiący zawsze prawdę? Zarówno polityka jak i dyplomacja są spaczonymi formami stosunków ludzkich lub ich namiastką. Polityka na wszelki wypadek każe osłabiać wszystkich wokoło, bo każdy może... szkodzić, niech więc szkodzi słabszy. Atoli rozwój umiejętności poli i dyplomatycznych ma i dobrą stronę: uczy poznać metody stosunku szatana do człowieka. Tych samych sposobów, jak dotąd, używają u siebie i między sobą państwa: zamiast metody Ewangelii podtrzymują swe istnienie morderstwami wewnętrzo-politycznymi — rewolucjami lub masowymi zewnętrznymi — wojnami.

Komu z nas przychodziło na myśl kochać człowieka? każdego człowieka? Jasne, że ilekroć ktoś okazuje nam swą miłość, szukamy w tym... podstępu. Który z polityków, nawet arcychrześcijańskich, organizuje formy ustrojowe, gdzie przewidywałby, że człowiek człowieka będzie kochał? Nie realizowano tego w Pań-

stwie Kościelnym. Próbowali Jezuici w Redukcjach Paragwajskich, urzeczywistniali zakonnicy w klasztorach. Kochają każdego człowieka bez wyjątku jedynie święci. Kto urzeczywistni ustrój, oparty na stosunku człowieka do człowieka w ramach miłości? Kto zorganizuje logicznie państwa? Kto da świat świętych? Kto zastąpi formy życia, w których boi się czynić samo dobro i wstydzi się Pana Boga — cywilizacją heroizmu? Uczynić to mogą politycy, co przede wszystkim nie będą się lękali być świętymi.

Czy Judasz nie był z grona apostołów największym dyplomatą i politykiem w stosunku do Mistrza? A jednak przepadł w porównaniu z tymi, którzy po prostu kochali Pana. Stosunki ludzkie komplikują się na skutek rozlicznych form kłamstwa w gąszcz tak skołtuniale nierozerwalny, że trzeba koniecznie znaleźć zamiast bezmiaru środków prawnych i administracyjnych jeden prosty, regulujący poruszenia dwu miliardów jestestw w każdej sekundzie z dokładnością do jednej nieskończonej. Jest nim prawo miłości. Życie staje się tym bardziej złożone, zgmatwane, życie moje, innych, świata; tym mniej jest jasne, po co żyjemy, im mniej kochamy. Nie coraz wyższe formy życia, wynalazki itp. komplikują bytowanie, lecz brak miłości, ściślej: strach przed nią. Człowiek ciągle boi się jeszcze wyłącznie kochać. Najwyższa kultura — to sama miłość. Najbogatszy mechanizm w niej jest najprostszy. By czynić dobrze, nie trzeba znać strachu.

Kto Boga się niewolniczo boi, ten chce zła, lecz strach go dostatecznie od zła strzeże. Jest dość silny, by się bronić od zła, a dość słaby, by tworzyć dobro. Gotów

jest źle czynić, ale wstrzymuje się od zła; dobra zaś tyle daje, ile sądzi, że to go zabezpiecza przed potępieniem. Tylko kto Boga kocha, ten zła już nie chce, lecz czyni zawsze dobro. Strach na nieszczęście zostaje nadal zasadniczym uczuciem człowieka do Boga i on to między innymi powoduje, że w dalszym ciągu chcą chrześcijanie zła, a jeżeli go nie czynią w całości, to dlatego, że także i Boga się boją. Z tego też powodu wolą jednak czynić zaledwie minimum dobra.

Zastanawiające, iż katolik, który pragnie naśladować Chrystusa bez zastrzeżeń, wpada częstokroć w paniczny strach przed Bogiem. Na skutek tego, że wiara wzmaga się w nim coraz bardziej, Bóg staje się dlań tak realną w życiu jednostką jak każdy człowiek. Toteż zupełnie podświadomie, ale coraz wyraźniej, zarysowuje się w nim taki stosunek do Boga, jakim jest jego stosunek do człowieka, a więc — liczenie się. Ogarniając umysłem Boga, początkujący pobożny coraz jaśniej rozumie, z jak nieskończenie potężniejszą istotą ma do czynienia. Przeto zaczyna się liczyć z Nim jeszcze więcej, w nieporównanie wyższym stopniu niż ci, którzy dotąd o tyle się z Bogiem liczą, o ile sobie przelotnie Jego istnienie przypomną. Oto czemu wówczas stosunek pobożnego do Boga staje się patologicznie tchórzliwy. Czego innego nie może wskazywać rozum na zimno liczący szanse obu istot: Boga i człowieka, złączonych wiecznie nierozerwalnym węzłem. Powstaje wtedy febryczna drżączka sumienia: skrupuły. Przeniesienię więc żywcem dotychczasowego swego stosunku do ludzi na stosunek do Boga — naraża bojaźliwego pobożnego na męczeńskie stany psychopatyczne: neu-

rastenię sumienia i związane z tym fałszywe przeświadczenia o rzeczywistości. Rozum cierpi wówczas na paniczną logikę, gdy idzie o rachunek z Bogiem. Polityka w stosunku do Ojca nie wychodzi mózgowi na zdrowie. Stan ten, w którym pobożny ustawicznie miażdży swą własną wartość przez dociekania strachliwego rozumu, trwa prawdopodobnie tak długo, pokąd dążący do świętości zamiast liczyć się z Bogiem nie zacznie wręcz kochać Ojca. Jest jasne, że kompletnie usunąwszy stawianie granic miłości ku Stwórcy, przestanie się pobożny z Bogiem rachować; nie będzie odtąd Go dalej kochał z rezerwą za to czy tamto, nie będzie stosował do Boga polityki, jako do istoty odrębnej, poza człowiekiem będącej, ale z Nim i w Nim jak w swym organiźmie się ujrzy, nie licząc się już z Panem więcej, a wyłącznie Go kochając.

Ale kto wie, czy do tej postawy wobec Boga nie dochodzi się wyłącznie poprzez bezwzględną miłość bliźnich. Przecież wiadomo, że najmniej politykujemy z tymi, których kochamy. A więc kto wie, czy człowiek nie mógłby uzdolnić się do kochania Boga, zatem czy nie zdołałby szybko i na zawsze wyzbyć się tej samoudręki psychopatycznej — skrupulatyzmu, gdyby zamiast się rachować z bliźnim, odważył się kochać bez zastrzeżeń bliźniego. Prawdopodobnie na tej drodze zaistnieje pełniejsze, jeżeli nie całkowite, zużytkowanie Łaski, rozwój miłości do Boga, a łącznie z tym usuwać się zacznie z woli strach, tak utrudniający poznanie Ojca, zbliżenie się do niego. Wprowadzenie tedy w życie zdecydowanej miłości bliźniego uleczy sumienia

z całym prawdopodobieństwem, zatem pozbawi życie religijne chorobliwej grozy — jansenizmu.

Ale prosta realizacja miłości bliźniego uczyni i coś więcej. Skoro fałszywy stosunek do Pana Boga wytwarza w sumieniu, umysłowości i stanie nerwów ludzi pobożnych tyle zjawisk niezdrowych, to ileż bardziej wykolejają organizm człowieka niewłaściwe stosunki między ludźmi. Innymi słowy: jeżeli nie staniemy się w stosunku do Boga jako dzieci, będziemy co najwyżej pełni dewocji tchórzowskiej, wystraszonej, typowej pobożności „starych"; z kolei, gdy nie staniemy się, my dorośli, w stosunkach z bliźnimi — jako dzieci, wówczas życie świata zbliżać się będzie coraz więcej swą treścią do wegetacji sanatorium dla umysłowo chorych. Jest tedy jasne, iż na żaden sposób nie można kochać Boga bez odwagi; można się Go tylko bać, jansenistą, nie katolikiem, być, i że bez odwagi nie można kochać człowieka. Zatem bez odwagi można zostać co najwyżej rygorystycznym wyznawcą i rygorystycznym obywatelem, poza tym nie znając Boga jako Ojca i człowieka jako samego siebie. Nigdzie tak tchórzostwo nie szkodzi jak w naśladowaniu Chrystusa.

Szczęśliwi przeto w miłości do Boga jako Ojca możemy czuć się wyłącznie wówczas, gdy wpierw ustosunkowaliśmy się zdecydowanie i ostatecznie w bliźnim widzieć najrealniej siebie i jego sprawy uważać za własne. Nie możemy nikogo miłować, gdy w nim nie widzimy siebie. Stanowimy bowiem tak odrębny świat, byt samoistny tak straszliwie osobiście odpowiedzialny, że nie może żaden z nas nie kochać siebie, jeżeli nie jest szaleńcem. „Ja" istnieje realnie, „my" — nie ist-

nieje nigdy. Owszem: my — także, o ile w tym — „my" znajduję całe szczęście, czyli pod warunkiem, że gdy im więcej „my" odczuwam, to znaczy im więcej w „my" miłości kładę, tym szczęśliwszym będę. Miłość tak rozumianą, nasycającą całkowicie miłość własną, uspokajającą cały instynkt samozachowawczy nieśmiertelnego, samoistnego bytu, jakim jest człowiek — nakazuje Kościół katolicki. Dlatego świat wyzwolić z egoizmu i strachu przed wykonywaniem maksimum miłości może wyłącznie prawdziwa religijność. Ona bo jedna człowieczą miłość siebie może przenieść na miłość wszystkich, ona tylko zdoła egoizm przeszczepić na miłość Boga nade wszystko, albowiem wyjaśnia, że w miłości tej egoizm znajdzie swe szczęście: Ojca, niebo — i to tym zupełniejsze, im kto więcej miłości tej z siebie zaofiarował. Kościół jest tedy jedyną instytucją, która jest logiczna, gdy nakazuje miłość bez ograniczeń. Poza Kościołem bohaterstwo egoizmu jest najfałszywszą pomyłką, nieporozumieniem tragicznym; miłość zaś kurczy się tam do granic wyrachowania i ujawnia się w przelicznych formach doprowadzanej do finezji polityki i dyplomacji.

Nic też tak jak katolicyzm nie wzmacnia odwagi, specjalnie zaś wtedy, gdy chodzi o czyny najniebezpieczniejsze. Katolik bowiem, będąc bez grzechu ciężkiego, może każdej chwili zginąć swobodnie, by zarazem zacząć żyć — wiecznie i szczęśliwie. Szczęście to poręcza mu Chrystus, przyjęcie Go bowiem w Komunii włącza człowieka automatycznie do świata żywota.

Bohaterstwo świętych jest więc poza tragedią i poza śmiercią: jest całe w życiu i całe w szczęściu, bo całe

w Łasce. Właściwie heroizm może się rozwijać naturalnie i rozumnie dopiero w granicach Łaski, wówczas bo człowiek jest szczęśliwy w sumieniu jako pewny pobytu u Stwórcy. Jeżeli bowiem człowiek się lęka, to tylko dlatego, że drży o swe szczęście.

Jednej bo rzeczy człowiek prawdziwie pragnie: szczęścia. Im pewniej zmierza do niego, tym odważniejszy i to prawdziwiej. Szczęście istotne— to zbawienie. Szczęście na ziemi — to pewność nieba, powrotu do Ojca, z Nim stałego bytu: szczęście tym większe, im pewność ta pewniejsza. Pewny Ojca — święty. Oto czemu święty już tu najszczęśliwszy: szczęście jego ustabilizowane na zawsze. Poza świętością jest niepokój, niepewność, nerwy, strach, odwaga koniunkturalna i od czasu do czasu hucznie notowane bohaterstwo na pokaz, na ślepo, heroizm sceniczny, poza bohaterska snuta na kanwie parszywego życia. Jedynie Kościół może dać życie poza strachem i bez pomyłki. Życie katolika nie może nie sięgać heroizmu.

Katolik zwykły musi być gotów do bohaterstwa, święty — bohaterem musi być stale. Najwspanialsza to cecha katolicyzmu, zasadnicza. Nie ma katolika bez odwagi, nie ma wielkiego katolika bez bohaterstwa, istotnej świętości bez heroizmu. Czy nie każdy nawet o wątłych nerwach katolik musi być gotów umrzeć za wiarę? nie zgrzeszyć nawet w najtrudniejszych warunkach? kochać Ojca, choćby go najstraszliwiej doświadczał? kochać człowieka, nawet gdy zabija? A czy to wszystko nie bohaterstwo?

Żyć, zresztą, w znaczeniu katolickim, to uprawiać stale ekspansję dobra w stanie Łaski. Poza Łaską

jest kraina śmierci nieustającej. Pobyt w tej krainie tu na ziemi, gdy człowiek jest jeszcze fizycznie żywy, może stwarzać łudzące pozory życia. Życie jednak istotne, życie Łaski, jest tylko tam, gdzie żywe dobro; dlatego katolikowi nie może nigdy, w żadnych warunkach zabraknąć odwagi — czynić dobrze.

Ów brak odwagi doprowadzał do tego, iż katolicy cofali się w ostatnich wiekach z czynieniem dobra coraz bardziej w głąb własnego wnętrza, oddając w ten sposób twórczość kulturalną i polityczną w ręce sług szatana: ludzi śmierci. Czy nie z tej to głównie przyczyny światem rządzą nadal kreatury lub łotry? Czy nie z tego powodu Olimp kultury obsiedli gangsterzy? Czy nie dzięki temu oblicze globu ugniata od kilku wieków tajna zgraja masońska? Czy nie z łaski tchórzliwych wobec życia katolików — bogiem w polityce stał się ostatnio terror, w kulturze — pieniądz, zaś światłością świata odważył się być naród... handlarzy żywym towarem — Żydkowie?

Natomiast, im więcej wykazywał Kościół odwagi w poszczególnych okresach czasu, tym ludzkość bliższą była Chrystusa, tym rola Kościoła była bardziej błogosławiona.

Sam Chrystus wyznaje Ojca wbrew ustawicznym groźbom śmierci, nie lęka się iść na krzyż, z krzyża kocha. Bohaterstwo Jego jest wtedy tak pełne, iż nie zdradza ni cienia nerwów, acz cierpi wówczas bez miary. Równowagę reguluje w Człowieku-Bogu miłość. Najnamiętniejszy: kocha jak nikt, najspokojniejszy: bez cienia lęku; tytan czynu w granicach miłości — Jezus nie przedłuża własnego życia na ziemi, co mógłby uczy-

nić, po ludzku sądząc, dzięki wyłącznie tchórzostwu i... roztropności. Troszczy się jeno o to, by uczniowie nie bali się dla Niego walczyć, śmierć ponieść, by wierzyli w zwycięstwo. Żegna ich słowami: „Ufajcie — jam ZWYCIĘŻYŁ świat". Piotr, Paweł, Jan nie dadzą się pomyśleć bez heroizmu. Wszyscy uczniowie żyją i giną bohatersko. Dalsze trzy wieki Kościół istnieje tym, iż chrześcijanie nie boją się ginąć, wielkość swą następnie zawdzięcza papieżom o maksimum miłości i odwagi. Bez odwagi nie wyszedłby Leon przeciw Attyli, nie byłoby Hildebranda, Franciszka z Asyżu, Jana z Kapistrano, Ignacego Loyoli, Wincentego à Paulo; nie byłoby naszych: św Wojciecha, obu Stanisławów, Piotra Skargi, Cieplaka, Maleckiego, Skorupki, ...ruchu katolickiego młodych, Akcji Katolickiej. Bez odwagi nie żyłby Kościół ni sekundy, ani my jako katolicy; nie istniałoby dziewictwo, świętość, miłość.

Ćwiczenie odwagi jest wstępem do chrześcijaństwa, katechizmem woli. Dopiero na tym podkładzie naturalnego chrześcijaństwa, uzdolnień do niego, ujawnianych w skłonności do heroizmu — budować można czynny światopogląd katolicki. Wpierw musi być odwaga — by dzięki posiadanej Łasce wiary zaistnieć mogło pełne życie katolickie — a potem logika katolicka. Tchórz nie może być katolikiem, choćby go najsakramentalniej ochrzczono. Nie zaczął być człowiekiem, nie odważywszy się nie bać śmierci cielesnej. Odwaga czyni chrześcijaństwo konsekwentnym.

Ciekawe, iż święty dlatego jest herosem, że kocha bez ograniczeń. Ciekawsze, iż im więcej kocha, tym bardziej śmierć staje się dla niego radością, wyzwoleniem,

dniem znalezienia się w ramionach Ojca, oczekującego nań od praczasów, chwilą, gdy wejdzie w życie najwspanialszych, najpiękniejszych duchów świata. Rozpocznie tam byt bez śmierci i bez... strachu. Ale znaleźć się tam można jeno poprzez śmierć ciała, której dzięki temu nie boi się, lecz chce święty. Toteż wyzwolenie heroizmu nastąpi w świecie świętych.

Stosunek więc do śmierci — to stosunek do Boga jako Ojca. Strach przed śmiercią — to strach przed Bogiem. Miłość Boga usuwa śmierć jako zło, niweczy strach. Bóg najoczywiściej nie może bez cudu być ze mną, koło mnie, o ile dziś jeszcze nie umrę święty. Muszę wpierw umrzeć, by wrócić do Ojca, na Jego pokojach stanąć, nareszcie się z Nim... zobaczyć. Święty czynną miłością tęskni do... Ojca, nie patrzy na śmierć jak pozostali, co nie znaleźli swego rodowodu, nie wydobyli całego wulkanu z serca, nie przemyśleli siebie aż do końca.

Gdy wywołamy zbliżenie się całego świata do Boga przez życie-miłość, zwolnimy człowieka z przekleństwa strachu przed śmiercią. Jak dotąd śmierci, tak odtąd obawiać się będziemy braku miłości.

Katolicy, acz wierzyli i wierzą, że Bóg jest samą miłością, bali się umierać, choć za progiem dobrej śmierci On wyłącznie panuje, gdyż zdawali sobie sprawę, że za mało Go kochali. Wstydzenie się Boga, trzymanie się w przyzwoitym dystansie od Niego, „nierażący" stosunek do Ojca, usiłowanie nieznania Go — napełniało dotąd świat przerażeniem na myśl o śmierci, pustoszyło naszą cywilizację i na miejsce miłości postawiło jako pana świata — strach.

Uroczystości żałobne, gdy umrze święty, są dowodem, że jednak śmierć uważamy w dalszym ciągu za naczelne... nieszczęście. W takim razie medycyna byłaby większym dobrem niż niebo, higiena znów zamiast miłości miałaby być regulatorem życia.

Pogrzebowy stosunek do życia i śmierci cechował też dotąd ascezę. Symbolem jej mógłby być święty z trupią głową na dowód, że nie warto świętemu interesować się zbytnio życiem ludzi rodzinnych. Toteż nawet w średniowieczu umiano żyć po katolicku zbyt wyłącznie w zakonach, poza tym umiano raczej umierać po katolicku, nie umiejąc żyć. To zdecydowało o losach średniowiecza.

Każdy w tych czasach, gdy dostrzegał, kim on a kim Bóg, pragnął ze zdumiewającą siłą konsekwencji asekurować swe szczęście wieczne w specjalnym średniowiecznym towarzystwie ubezpieczeń od zbawienia: klasztorze. Gdy wreszcie dewiza: pamiętaj na śmierć — zaczęła usuwać coraz bardziej dewizę: pamiętaj na życie święte, wówczas średniowiecze się załamało. Bo życie im prawdziwiej chrześcijańskie, tym mniej się wiąże ze śmiercią. Dobra śmierć — to zaledwie minimum; maximum, to — życie chrześcijańskie. Wtedy tylko ziemia jest drogą do Nieba.

„Moda" na przeświadczenie, że świętość ma w sobie coś z oazy lub z grobu, z żywego grobu: trupiej głowy; że świętość można kultywować na ogromnie wąskim terenie: w klasztorze, a jeżeli gdzie dalej, to jak najbliżej świątyni, — doprowadziła do tego, że zanadto krzyż łączono z trupią głową, a za mało z życiem. To zabiło średniowiecze i sprowadziło „odrodzenie", które ujęło

sobie człowieka twarzą wesołą, dając jedną tylko formę miłości, w której egoizm może znaleźć siebie, swe szczęście już w tym życiu: hiperseksualizm. Całe odrodzenie zalatuje weselem z erotyzmu. Wówczas też powstaje dzieło o tym, jak zamiast kochać liczyć się z człowiekiem: „Książę" Machiavela. Zamiast prawdziwej radości w całym życiu, pochodzącej z pełnej w całym życiu świętości, której bali się dać światu święci średniowiecza, przyszła wówczas namiastka radości: seksualizm. Tym świat się dotąd karmi, weseląc się w granicach fauny. Widzielibyśmy równie wąską radość wtedy, gdyby zamiast ludzi zapełniały ziemię inteligentne stada.

Średniowiecze nie rozumiało ruchu, który zapoczątkował Biedaczyna z Assyżu; nie doceniało typu świętego ze „świata" (Poverello tak dzielnie bronił się przed życiem w klasztorze), nie dało dość radosnych świętych, zaczem runęło, wyzwalając wesołe biologicznie pogaństwo — „odrodzenie". Średniowiecze zanadto bało się Pana Boga, za mało Go miłowało.

Zastanawiające, iż dotąd mianem wesołego darzymy na ogół grzesznika, że uśmiechniętych świętych znamy zbyt niewielu, że dalej brak w życiu radosnych świętych, że z pojęciem świętości — popularnie acz fałszywie — łączy się smutek. Za długo, widocznie, nosimy żałobę po złem, któreśmy rzekomo raz na zawsze pochowali, postanowiwszy żyć święcie. Za mało jeszcze kochamy Boga. Podświadomie nurtuje w nas myśl, że nie można być z Nim szczęśliwym w miłości — poza klasztorem. Nie znamy bodaj Boga jako Ojca. Myśl o Bogu ropieje nam strachem. Nie zdecydowaliśmy się

miłować Go nade wszystko, skuwając wolę samobójczo kajdanami dojutrkującej wegetacji, a gdy ktoś z nas dojrzy Jego ogrom, chowa się do klasztoru, by tam lub stamtąd promieniować świętością, zamiast tym wyraźniej kochać i dawać świadectwo prawdzie wszędzie, gdzie się dotąd wysługiwał szatanowi. Oto czemu słyszymy o znakomitych artystach, którzy od pewnego dnia rzucili teatr i wstąpili do klasztoru, a nie o takich, co po nawróceniu założyli teatr katolicki. Podobnie znamy potentatów politycznych, którzy przeszedłszy na katolicyzm, pośpiesznie podawali się do dymisji, miast tym bardziej odtąd na wysokich stanowiskach apostołować. Czyż to nie haniebna kapitulacja ze swych wpływów jako świętych wśród „świata"?

Właściwy stosunek do śmierci zmienia stosunek do życia, rozszerza granice życia poza śmierć, ukazuje je w perspektywie nieskończoności, powiększa do istotnych rozmiarów całą wielkość człowieka.

Cywilizacje nieśmiałe pomniejszały olbrzyma. Na śmierci fizycznej im się człowiek urywał. Okaleczały one potwornie nasz byt. Nie mogły się zdecydować na historię ludzi jako nieśmiertelnych. Nie śmiały tworzyć historii tu, na Ziemi, łącznie z... drugą historią człowieka TAM — po śmierci ciała. Cywilizacje nie miały odwagi zawrzeć sojuszu Nieba z Ziemią, życie za i przed grobem sprzęgnąć w jedną całość, spowitą miłością Ojca i całej braci. Cywilizacje nie śmiały służyć życiu bez grzechu. Wstydziły się Boga. Nie sięgały po dziedzictwo: nie szły na niebiosa . Były cywilizacjami człekokształtnych, lękających się nade wszystko śmierci ciał. W świecie też małp raczej niż

synów Bożych wegetujemy dalej, mimo iż usynowił nas lat temu prawie dwa tysiące Zbawiciel.

Cywilizację ŻYCIA, wiążącą byt za i przed grobem w jeden świat Łaski, zatem byt człowieka przez cały krąg życia, od kołyski po rozpad biologiczny i poza niego — dadzą Giganci. Zorganizują życie w granicach... ŻYCIA, dając cywilizację jedynie konsekwentną — szczęścia.

Szczęście to leży w granicach bytu prawdziwie pojętego, gdzie śmiercią jest nie tylko tak zwana śmierć, lecz grzech śmiercią ciężki, śmiertelny, który wyzuwa nas z synostwa Bożego, z Łaski, zaczem pozbawia stałego, wiecznego szczęścia: ŻYCIA. Bo w gruncie rzeczy nie żyje tylu, ilu trwa fizycznie. Tylu zwierzęco żyje. ŻYJE tylu, w ilu nie zabił piętna Syna Bożego grzech ciężki. Pozostali już pomarli, acz roześmiani rzechoczą może szczęściem ciał i jako małpy są „tacy" szczęśliwi. Ilość życia i żywych ustawicznym ulega wahaniom: to powiększa się, to maleje, zależnie od tego, ilu zostaje bez grzechu śmierci. W tych jeno jest Chrystus. Tego, w kim Go nie masz, nie uznaje automatycznie za syna Ojciec, nikt z nich nie żyje. Żyje aktualnie tylu, w ilu Chrystus. Całkiem proste. Jednego Syna ma Bóg. My przeto dziećmi Boga, o ile Syn w nas. I w chwili śmierci ciała, stając na sądzie, nie możemy być uznani przez Ojca za synów, skoro w duszy nie mamy Syna. Zostajemy wtedy odrzuceni od synostwa, skazani na zagładę, po śmierci trupami jesteśmy nadal, trwając w mękach bezkresu. Bez Chrystusa ma w nas stale siedlisko śmierć. Ratuje człowieka na razie życie fizyczne i... medycyna.

Ale połowicznie. Bo ciało, by i najzdrowsze, jakże często utrudnia życie nadprzyrodzone, przesłania fakt tego życia; gdyż ciało samo jest natury niekonsekwentnej: żyje po to, by... umrzeć; co więcej — właśnie wtedy umiera, gdy się zdobywa życie wieczne. Uwagi godne, że człowiek nie odróżnia należycie śmierci fizycznej od śmierci istotnej: grzechu ciężkiego, pokąd nie zostaje herosem dobrej woli. Pełny przeto instynkt samozachowawczy rozwija się dopiero w życiu bohaterów-świętych.

Żywy fizycznie człowiek, syn ziemi — nie syn Stwórcy — chcąc odzyskać utracone synostwo, musi zdecydować się czynić wolę Ojca, oczyścić się z śmierci na spowiedzi, przyjąć żywego Chrystusa w Komunii, stać się z powrotem synem Bożym. Komunia jest chlebem jedynych zupełnie ŻYWYCH: chrześcijan w stanie Łaski. Budując świat świętych, unieśmiertelniamy człowieka, czynimy z Ziemi siedlisko ŻYCIA, z jego form cywilizację synów Bożych, nie znających śmierci.

Uderzające, iż w życiu bez śmierci-grzechu, promieniującym całym heroizmem miłości, zestraja się wszystko i tym powoduje najwyższy rozmach postępu społeczeństw i jednostki, państw i świata, materii i ducha.

Prawdziwy stosunek do śmierci daje każdemu możność zostania herosem... naturalnym. Może nim być zarówno psychika tkliwa i nerwowo wątła jak u Jana Ewangelisty, bądź żelazna jak u Pawła z Tarsu. Jakże bowiem rozszerza się moja skala czynów, gdy ich nie powściąga wygoda, cierpienie, śmierć. Czymże one są jako hamulce woli, gdy kocham i śmierć sama jest mi weselem. Tam, gdzie ramię mej woli zbyt słabe, jako

że człowiecze jeno, idzie mi w sukurs Łaska do czynu: ramię Ojca. Problem człowieka czynu, o który tak walczy dzisiejsza pedagogika, gdy spółcześni minimum dobra czynią, bo się boją, w świętym znajduje swe rozwiązanie jedyne i wyłączne. Krępuje go? — grzech; pcha do czynu? — miłość, żądza ŻYCIA i SZCZĘŚCIA bez miary. Świętemu można ślepo zaufać, by czynił wszystko, albowiem im bardziej święty, tym pełniej zdoła czynić to, co na jego miejscu czyniłby Człowiek--Bóg.

Wychowanie indywidualne, czy społeczne? — Święte. Zapewnia najwyższy rozwój osobisty, zaspakaja cały egoizm i wywołuje całą ofiarność, bo naśladowanie Chrystusa: największej, po ludzku sądząc, indywidualności i największego społecznika.

Wychowanie obywatelskie? — Tak, nikt na tyle nie gotów widzieć w każdym siebie, nikt tak nie zdolen oddawać życia za naród, jak ten, kogo śmierć wprowadza do Ojca: święty.

Wychowanie społeczne? — To samo. Czy może je zachwiać jałmużnik? Czy może go nie wzbogacić ofiarność i twórcza praca tych, co dlatego karmią i odziewają, bo widzą w ludziach Pana?

Wychowanie rasowe? — Da je dziewictwo młodych, nic więcej. Eugenika? — Nikt nie jest tęższy biologicznie jak czysty płciowo.

Wychowanie społeczne? — Czy może je zamącić drugi Chrystus? Czy kto ponad niego zdoła uspołecznić siebie, wszystkich? Który polityk, mąż stanu, wódz jest najmniej... niebezpieczny? — Święty.

Wychowanie człowieka twórczego? — Kto bardziej jest twórczy jak nie ten, co nie lęka się w żadnym wypadku czynić dobrze? co wydobył z siebie całą dobrą wolę?

Zasługi dla cywilizacji? — Kto w nie obfitszy, jak nie święty, co reguluje życie samą miłością?

Wyższy typ człowieka? — Co nas wznosi bardziej, jak nie godność dzieci Stwórcy?

Pokój? — Co go dać może, jak nie pewność szczęścia?

Poszukiwanie prawdy? — Jest nią to, co upodabnia mnie do Chrystusa. Im upodabnia — podobniej, tym prawda to prawdziwsza.

Wspólna platforma dla skłóconej ludzkości? — Żyć jak Chrystus. Jest to podstawa i... wszystko — niezależnie od tego, co czyjakolwiek myśl na ten temat przyniesie: plebiscyt dwu miliardów ludzi, czy nikła ankiecina najbardziej elitarnej gromadki.

U szczytów cywilizacyjnych wszędzie — święci.

Jak dotąd człowiek spółczesny bawi się w eklektyzm, w sto na raz światopoglądów. Na pewno nic nie wie, wiedzieć nie chce, boi się wiedzieć i działać na pewno. Nim czyn zaczyna, walczy przede wszystkim z własną wyobraźnią: co powie opinia i wygoda, następnie stacza męczącą batalię z rojem najsprzeczniejszych motywów, by wreszcie podjąć postanowienie (ostatecznie zdecydować się musi), rozdarty wewnętrznie na strzępy. Za przekonanie, gdy dokonał czynu, służy mu: jam to... wreszcie zrobił. Aktowi jego woli, kiedy się zastanawia, kiedy postanowienie urzeczywistnia, towarzyszą nadal argumenty stu światopoglądów. Ów piekielny jazgot sprzecznych motywów nie opuszcza świado-

mości spółczesnego „męża czynu" nigdy. Wiecznie skłócony, nigdy niezadowolony bezwzględnie, a jednak podejmujący decyzje, fabrykujący prawdy koniukturalne, zmuszony jest cierpieć za nie, ginąć nierzadko w masce herosa, chowając dla siebie samego swe tragiczne kłamstwo. Jakże niewielu umiera za prawdziwe szczęście...

To psychopatyczne piekło wstrząsa świadomością i zamęcza system nerwowy. Żaden z organów nie odczuwa tak zabójczo chwiejności woli. Żaden bowiem, nie będąc tak bliski duszy, nie notuje w tej mierze podświadomego jej lęku o swe wieczne szczęście. Nic też w tym stopniu nie wyczerpuje psychicznie jak słaba decyzja, nic tak nie nadwątla woli, nie ogranicza chcenia, nie skuwa ekspansji osobistej i gromadnej. Dopiero zdecydowany w woli światopogląd: „Mnie żyć jest Chrystus", światopogląd najbliższy instynktowi duszy — pełnemu szczęściu, zdeterminowany raz na zawsze, na całe życie, do śmierci biologicznej i poza nią — sprowadzi pokój wewnętrzny do psychiki nowego człowieka i jasność do jego mózgu w granicach największych. To uczyni człowieka jutra zdolnym do czynów na miarę tytanów.

Uruchomiona w skali nadludzkiej aktywność Gigantów nie tylko nie wyczerpie ich nerwów, nie spowoduje katastrof bio i psychologicznych w nowej rasie ludzi świata, lecz system nerwowy człowieka przyszłości wzmocni tak, że — by największym czynom — nie będą towarzyszyły newrozy. Przyczyni się do tego walnie usunięcie strachu przez pełne zaspakajanie dążenia

do szczęścia: świętość oraz liczenie się wyłącznie z sumieniem, a więc zawsze jeden motyw działania.

Nic to, że, jak dotąd, siła bezwładności stu pokoleń, czy stu więcej, druzgocze nam wolę; nic to, iż dlatego szuka się wyjścia w granicach niemrawej przeszłości, autosugestją się posługując, że „takie" życie wystarczy do szczęścia, bo wszak „gorzej być by mogło"; lub kłamiąc, że „tak jest dobrze, bo nie można być fantastą": albowiem tchórzliwość ta pogłębia kryzys tęsknot jeszcze więcej, a wstrzymując postęp, wbija propagandą pseudozadowolenia gwoździe w stopy tych, co pójdą po całe szczęście niezależnie od oczekujących ich na tym szlaku rozkoszy i mąk.

Bez odwagi miłość kona w trumnie „dobrych chęci": ni ją widzą, ni ona się ujawnia. Miłość zapala się odwagą. Nowego człowieka znamionować będzie śmiałość najszaleńsza — żyć jak Chrystus.

Stoimy u bram ekspansji dobra.

Ujrzymy widowisko godne ludzkiego serca.

Próżnię między Stwórcą a światem zasypie entuzjazm miłości.

Heroizm — to jutro.

V

RODZINA

Termometrem społecznym jest poziom rodziny. Wszystkie inne narzędzia, którymi mierzymy temperaturę życia, stawiają diagnozę mniej lub więcej fałszywie lub zgoła wysadzają orientację w powietrze. Do ostatnich należą dwa najbardziej kłamliwe czynniki: prasa i reklama.

Spójrzmy na linię rozwojową rodów historycznych, na trwałość dynastii, obserwujmy życie instytucji, od prostych począwszy, poprzez państwa, kultury, religie, cywilizacje, z perspektywy wieku, tysiąclecia, tysiącleci — ciągle widać jak najwyraziściej jedno i to samo: im wyższe życie rodzinne, im więcej w nim miłości i ofiary, tym ogólna linia postępu rośnie, wzmaga się, tym ludzkość bliższa jest heroizmu i Boga jako — Ojca. Rodzina tak zasadniczo wpływa na harmonię życia, że im więcej małżeństw w danej grupie społecznej żyje poza egoizmem, tym wszystkie dziedziny życia takiej społeczności i sama społeczność pewniejsze, trwalsze, omal niezniszczalne. Przy tym, im życie małżeńskie bliższe małżeństwu bez egoizmu: jeden mąż jednej żo-

ny, naturalna ilość dzieci, miłość ofiarna — tym grupy społeczne wznoszą się wyżej we wszelkich kierunkach. Usuńmy z Japonii instytucję gejsz, a będzie to najpotężniejszy naród świata. Odejmijmy mahometanizmowi wielożeństwo, pójdzie ku chrześcijaństwu. Pozbawmy protestantyzmy prawa, ściślej: bezprawia rozwodów, a staną w obliczu gorączkowych nawróceń na katolicyzm.

Można w różny sposób podnosić kulturę ludzkości, nawracać świat na katolicyzm, jednak najsnadniej czyni się to bezpośrednio: jako drugi Chrystus, albo pośrednio: przez zdrowe życie rodzinne.

Żadne idee, prądy, pisma, ni nawet wszystkie masonerie, w czambuł wzięte, nie obaliłyby w Europie monarchii: gilotynowały dynastie kochanki. Gdy monarsze zachciewało się w swe życie seksualne wprowadzić kulturę hedonistyczną, rozpoczynał się upadek rodziny panującej, choćby wszystko inne w państwie było w tak zwanym porządku, a monarcha skądinąd genialny, wielki lub Wielki. Wpływ nadżartego kulturą demagogiczną życia pary królewskiej odbijał się najfatalniej na poziomie rodzin w państwie, zostawiał tradycję kultury wygody w samej rodzinie monarszej, do herbu głowy panującej włączał trupią głowę, jaskółkę śmierci „domu". Obniżało to autorytet dynastii, mieszało z błotem tak zwany majestat niezależnie od pompy, ceremoniału i najwspanialszych dekoracji z towaru, a także mimo rodowodu władzy od Boga. Dynastia trzymała się jeszcze jako tako, gdy tylko jedna ze stron w małżeństwie tonęła w seksualizmie. Jeśli druga jednocześnie nie chciała ratować położenia i również

wpadła w tę samą demagogię, następował krach w piorunującym tempie. Żony utrzymywały monarchie, gubiły je utrzymanki.

Nie znajdziemy narodu, który by ginął, gdy życie rodzinne w nim kwitło, było czyste. Zmierzch rasy białej byłby kłamstwem, gdyby nie to, że sfery decydujące Europy pławią się w wygodzie seksualnej. Przyszłość ludów żółtych, czarnych na tym się tylko zasadza, że rasy te mieć chcą więcej dzieci niż biali, czyli że mniej w nich egoizmu. Przełomowymi tragicznie momentami w dziejach Hellady i Rzymu byli nie Persowie, Macedończyk, Germanowie, większe i mniejsze ruchawki narodów, ale takie zjawiska, jak żona-utrzymanka i utrzymanek-mąż. Mogli sobie istnieć komety-wodzowie-geniusze, te czy inne prądy, idee, wielka sztuka i filozofia, mędrcy w beczkach i mądrość w książkach, wiedza laboratoryjna i tajemna; wartość, prawda życia, jej futurum tkwiło w rodzinie, ściślej: w małżeństwie. Rzym przez pięć wieków nie mógł skonać: odradzał się przez małżeństwa nieegoistyczne prowincji.

Istotnymi budowniczymi życia są ci, co podnosili rodzinę. Im który twórca religii, państwa lepiej rozumiał małżeństwo, tym trwalsze uruchamiał procesy społeczne.

Podstawowa szkoła samowychowawcza — to rodzina. Człowiek wychowuje się przez miłość do żywych ludzi, których pokochał, bo poznał ich miłość do siebie — nie zaś przez sztuczny stosunek do książki, zagadnienia i wychowawcy za... pieniądze, w sztucznym zlepku szkoły-rodziny, która poprawia od dwudziestu

pięciu wieków bez rezultatu cywilizację białych. Zaoponuje tu legion: rodzice nie umieją wychowywać. Więc wychowania nie zorganizowało dotąd państwo, bo objąć ono powinno „starych", przede wszystkim rodziców. Wówczas na pewno spełną te obowiązki lepiej niż sztuczni ojcowie-nauczyciele i sztuczne matki-nauczycielki.

Rola wychowawcza małżeństwa na tym się zasadza, że trzeba koniecznie zacząć samowychowanie, odkąd zawarło się małżeństwo. Małżeństwo zmusza wolę konkretnie, osacza ją najdespotyczniej i najpedagogiczniej, by zechciała zacząć sama siebie kształtować. Żaden proces życiowy nie pcha tak przemożnie do wychowywania samego siebie, nie stanowi tak naturalnych warunków samowychowywania się jak małżeństwo. Przysięgając u ołtarza wzajemność, nade wszystko ślubują nowożeńcy... wychowywać samych siebie, acz o tym nic nie mówią i prawie nigdy tego nie wiedzą. Kto bowiem o tym uczy? Kto w tej dziedzinie kształci? Które prawo to przewiduje? Który system wychowawczy przygotowuje do małżeństwa?

Małżeństwo odpowiada na pytanie, po co tak potężnie został wyposażony w instynkt płciowy człowiek, dziecko Stwórcy. Przemoc instynktu zmusza do małżeństwa, ono z kolei — do wychowywania swej woli na podobieństwo woli Ojca. Instynkt ten pomaga zharmonizować część umierającą człowieka: cielesną — z duszą: siedliskiem ŻYCIA, częścią nas nieśmiertelną. Harmonia ta jest tym bardziej znamienna, iż dzięki samowychowywaniu się w małżeństwie, wyzwalamy z siebie boskość i jednocześnie, im bardziej szczytowe osiąga-

my tu wyniki, tym doskonalszy wydajemy na świat typ życia fizycznego. Nawoływanie o eugenikę, o wyższy rodzaj człowieka — jest w gruncie rzeczy krzykiem o małżeństwo czyste, zawierane przez dziewiczego młodzieńca i pannę dziewiczą.

Spotykamy ludzi, co w dziewictwo nie wierzą, bo sami na tyle byli niedołężni, że nie mieli sił być czystymi wśród świata. Że nie każdy ma odwagę nie być zwierzęciem, znana to prawda, ale to tchórza woli, imitującego nadmierną krewkość, nie upoważnia, by własnym niedołęstwem sądził wszystkich. Nieczystość nie tylko nie znamionuje woli, lecz sygnalizuje jaskrawy jej brak. Nędza seksualna dzieci i młodzieży europejskiej, no i naszej, polskiej, dowodzi najlepiej, że szkoła i jej tak zwane wychowanie nie wyzwala poczucia mocy, lecz produkuje masowo paraliż woli, wypuszczając rok w rok ze swych murów seriami próchno... ludzkie.

Jak istnieją udawacze niewiary, podobnie spotyka się typy z tak zwanym temperamentem, obnoszące na wszystkie strony swą „nieposkromioną" jurność. Ci swojego chowu „atleci", przechwalający się własnym nadrezerwoàrem, stanowią naturalną załogę kultury panseksualnej, jej najwyższy wykwit, swego rodzaju Akademię-Papkinadę. Pod tym względem atoli biją znakomicie białych czarni, a murzynów — reproduktory gatunku krowiego, co zatem nie dowodzi wyższej kultury „akademików".

W państwach jutra nie będzie młodzieży nieczystej, bo nie będzie „starych" nieczystych. A tych nie stanie po prostu dlatego, że nie będzie tam miejsca dla sła-

bych, dla niedołęgów. Heroizm i dziewiczość stanowić będą uderzającą cechę młodych Gigantów.

Wychowanie dziewictwa jest wstępem do małżeństwa. Dzięki dziewictwu wszystkie siły rozrodcze dzieci i młodych pójdą na rozbudowanie ich ciał, a odpowiedni system sportów, zwłaszcza najniebezpieczniejszych, regulować będzie rozwój fizyczny. W ten sposób przychodzić mogą na świat coraz doskonalsze cieleśnie pokolenia, zbliżając się do ideału Człowieka-Boga. Na tej drodze zapełnią świat osobniki o coraz większym kapitale sił cielesnych, podstawie i prognostyku energii ducha. Wzmogą dzięki temu ogromnie siły żywotne narodów i umniejszą maksymalnie wydatki na leczenie, bo usuną bezmiar cierpień, od których roi się w ludzkości nieczystej. Wodzowie-Giganci skoro zobaczą, że tylko dzięki dziewictwu osiągną najpełniejsze wyniki w doskonaleniu rasy swego narodu, pójdą w tym kierunku tak zdecydowanie, jak nieubłaganie logiczne jest prawo natury. Aby ciało mogło swobodnie ukonstytuować się jak najdoskonalej, wydadzą prawo, na mocy którego wiek mężczyzny, uprawniający go do zawierania małżeństwa, będzie mocno podniesiony. Wielcy wychowawcy zrozumieją, że dlatego najnaturalniejszy jest u młodych pęd do idealizmu, bo jego realność gwarantuje, najpotężniejszy w wieku młodym, instynkt płciowy; że im bardziej instynkt ów fizycznie bogatszy, tym większe jest wysiłków ducha pokrycie w złocie energii biologicznych.

W państwach jutra rodzina zajmie zasadniczą pozycję polityczną, społeczną, prawną, wychowawczą. Nakład pieniędzy i pracy, łożony w świecie starym na wy-

chowanie w ławeczkach szkolnych, skieruje tutaj Kościół, państwo i naród w wyposażenie przede wszystkim rodziny w wartości wychowawcze, a wraz z nią całego życia jako warsztatu samowychowywania się narodu w państwie. Gdy nie chce się być dziećmi Boga w pełni, gdy boimy się tak traktować bliźnich, gdy wychowanie usadza się na ławie szkolnej: ruch życia zaczyna regulować syfilis, kulomiot i dyktatura plus bezwolna... nauka, naukowość oraz jej sto bezwzględnie ...względnych światopoglądów. Nic dziwnego, że w tak „oświeconych" społeczeństwach najbardziej znano, reklamowano towary i komediantów, mierzono zaś wszystko... statystyką.

Proces wychowawczy w rodzinie obejmuje małżonków i dzieci. Wydobywa czynną miłość poprzez wyzwalanie poczucia synostwa u dzieci w stosunku do rodziców, poczucia ojcostwa u rodziców w stosunku do dzieci oraz — braterstwa małżonków między sobą i dzieci. Bez tych zjawisk, trwale dysponujących wolą, nie możemy znać i kochać Boga jako Ojca oraz narodu jako rodziny. Dopiero te stany woli, rozwijane poprzez małżeństwo w rodzinie, prowadzą wprost do Stwórcy jako Ojca i do narodu jako szerszej rodziny, a wiodą tam tym szybciej, im w ujawnionym tą drogą ojcostwie i synostwie jest więcej heroizmu.

Konieczność heroizmu w małżeństwie-rodzinie predysponuje tę instytucję do rzędu czołowej. Ponieważ nie będąc herosami rodzinę zakładamy, ponieważ jako samotni nie byliśmy przedtem ludźmi szczytów poświęcenia, musimy od pierwszego dnia pożycia małżeńskiego heroizm ten wyzwalać, siebie w tym kierun-

ku wychowywać. Ustawiczny sprzeciw egoizmu jest tu niwelowany przez potężny pociąg płciowy, równie jak nasz egoizm wielki, demoniczny. Instynkt zbliża dwie osoby wbrew wszelkim zastrzeżeniom egoizmu zarówno ze strony małżonka jak i małżonki, usuwając z nich w ten sposób coraz większe ilości samolubstwa, których by na innej płaszczyźnie współżycia, w innych warunkach — wyplenić się nie zdołało.

Rolę pedagogiczną instynktu płciowego wspomaga walnie Łaska. Ona dopiero poręcza heroizm miłości w życiu małżeńskim. Bez Łaski tyle, że wiedzielibyśmy, iż heroizm ten być tu powinien, lecz mógłby nie zaistnieć. Toteż małżeństwo heroiczne — wychowawczo jest życiem Łaski. Jest nim tak samo całe życie wychowawcze rodziny.

W małżeństwie właściwie dopiero uczymy się żyć choć z jednym człowiekiem jak z bliźnim i żyć z nim na zawsze jak najlepiej. Małżeństwo na skutek tego niesłychanie stabilizuje stosunki ludzkie, które by w inny sposób stawały się tak złożone, iż wytworzyłyby atmosferę szaleństwa z niepewności. Małżeństwo wzmacnia olbrzymio wolę, bo nastawia w jednym kierunku tak nieokiełznane i anarchizujące części psyche, jakimi są wrażenia i serce. Ogromna spółcześnie ilość rozwodów niczego tak nie dowodzi jak słabej woli. Trudno od eunucha woli wymagać, by wytrwał w instytucji heroicznej — małżeństwie.

Nierozerwalność małżeństwa, choć niczego tak nie wzmacnia jak woli, jest jednocześnie najbardziej społeczną i państwową prawdą w Kościele. Albowiem zjawiska antyspołeczne nie są jeno na zewnątrz nas. One

dlatego są poza nami, że są w nas. Uspołecznianie człowieka na zewnątrz bez uspołeczniania go na wewnątrz jest sianiem tym większej anarchii. Ponieważ najwięcej nieładu sieje uczucie, dlatego nie można działać wybitnie społecznie wśród ludzi, zostając samemu anarchistą wewnątrz siebie, to jest osobnikiem o nieopanowanych uczuciach. Dorobek takich działaczów na dalszą metę jest nikły. Tak zwani społecznicy i tak zwana socjologia, gdy się zajmą zjawiskami społecznymi organizmu człowieka, a więc i jego świadomości, i jego woli, ogłoszą „miastu i światu" jeszcze jeden dogmat naukowy: że najdoskonalej społecznym zjawiskiem jest nierozerwalność małżeńska. Nieco później, może za tysiąc lat lub tysięcy tysiąc, nauka i uczeni położą swe podpisy także na pozostałych dogmatach Kościoła. Myśl nie idzie tak szybko jak prawda. Myśl trzeba uzbroić w odwagę dobrej woli i Objawienie. Czyżby do tego czasu warto było ryzykować zbawienie i dlatego wierzyć jedynie w anarchię swego mózgu lub mózgów uczonych.

Nic też w tym stopniu, jak małżeństwa trwałe, nie usunęło nomadyzmu i nic tak, jak powszechność rozwodów, nie uczyniłoby z nas hordy. Odpowiedzialność mężczyzny za egzystencję kilku osób, skoncentrowanie serca na nich właśnie umiejscowiło pobyt rodzin i sprowokowało powstanie stałych osiedli, zaczątków wielkich cywilizacji, gdyż przykuwało do ziemi, na której praca musi się powtarzać długo i systematycznie, o ile ma być trwałą podstawą egzystencji. Ginęły względnie szybko narody i państwa kupieckie, handlowe, wojownicze, trwały daleko dłużej rolnicze, czego

jaskrawym dowodem Chiny. Rolnictwo jest najbardziej — rodzinnym zajęciem. Każdy inny zawód, praca — wypaczają rodzinę. Niemało do upadku Hellenów przyczynił się ich handel międzynarodowy. Godne uwagi, iż Żydzi, naród kupiecki od tysiącleci, stale giną w swej warstwie kupczącej na szerokim świecie, pozarodzinnej, hotelowej, nomadycznej. Odradzają się, żyją przez kupczyków, zajmujących się handlem na miejscu, osiadle w rodzinie. Ostatnio, szukając podstawy bytu, idą w ziemię, tworząc Erec Izrael: inaczej zginą. Dobije ich zajęcie najbardziej pozarodzinne — handel międzynarodowy.

Daleko ostrzejszy antagonizm między egoizmem a obowiązkiem heroizmu zaznacza się w małżeństwie, gdy przychodzi na świat pierwsze dziecko. Już matka rodząc niemowlę ryzykuje własne życie. Bez bohaterstwa matki nie przychodzi na świat żaden człowiek. Pierwszy krzyk nowonarodzonego — to apel do ojca, by się odważył być herosem. Ile to obowiązków, trudów, pracy wymaga już to jedno dziecko od ojca, nim stanie się ono człowiekiem. Innego rodzaju, lecz bodaj więcej jeszcze ofiar, poświęcenia wymaga dziecko od matki, która będąc panną poza swą osobą mogła nie widzieć świata. Oczywista, iż nowe, tak ciężkie dla obojga małżonków obowiązki wymagają tym więcej usuwania z siebie egoizmu, tym mocniejszej miłości, tym bogatszej, głębszej skali uczuć społecznych. Gdy liczba dzieci wzrasta, konieczność ta potęguje się do granic pełnego bohaterstwa rodziców. Atoli heroizm o tyle przychodzi łatwiej, obficiej, o ile rodzice, rozpocząwszy jako małżonkowie pracę nad samowychowy-

waniem się, uświadamiają sobie ustawicznie coraz wyraźniej swe dziecięctwo w stosunku do Stwórcy i są w stałym z Nim kontakcie jako najbardziej umiłowanym Ojcem, słowem: gdy żyją życiem Łaski. Z drugiej strony — wychowywanie dzieci, jako ustawiczne dopasowywanie ich woli do atmosfery bohaterstwa małżeńskiego, tym składniej się rozwija, im kontakt rodziców z Bogiem jako Ojcem widoczniej się dla dzieci zaznacza. Dziecko, gdy patrzy na heroizm rodziców, na ich wiarę religijną, wzbiera uczuciami dziecięctwa wobec ojca i matki. Na tym zaszczepia się w nim poczucie dziecięctwa w stosunku do Boga, którego wolę tym dokładniej poznaje, im wola jego rodziców cielesnych jest bliższą Ojca-Stwórcy.

Gdy życie państwa również w zwyczaju, obyczaju, prawie, ustawodawstwie, konstytucji, wszędzie — wyzwala heroizm z obywateli poprzez pogłębianie braterstwa narodu oraz jego uczuć synostwa wobec Boga; dziecko jako młody człowiek jest moralnie przygotowane do życia. Wejść w nie może śmiało, by wzbogacić je w nowe wartości, tyle indywidualne, co narodowe i Boskie. Im z kolei młody człowiek w swej służbie dla narodu stara się dalej wychowywać siebie, stając się coraz dokładniej podobnym do Chrystusa-Brata, tym społecznie typ to wyższy, cywilizacyjnie bardziej odgórny.

Najwyższe odznaczenia zdobywa taki obywatel długo po... śmierci, gdyż kocha bliźnich w... dalszym ciągu, bo spoza grobu z nimi pozostaje. Działa wówczas, gdy idzie o ziemię, naturalnie — kapitałem tradycji swego nazwiska, a gdy idzie o niebo, nadnaturalnie —

u boku Ojca jako święty. Kto zbadał... naukowo, ile czynią dla narodu jego narodowi święci? Stanowią nić między ogromną wszechczasów i wszechludów rodziną Ojca, ludzi wiekuiście żywych: niebem, a gromadą bliźnich-narodu, zdążających przez życie ciał do rodziny stałej, wiecznej. Są olimpijczykami nieśmiertelnymi naprawdę. Ich laury tchną wieczną wiosną. U Gigantów bohater państwa jest zarazem świętym. Dlaczego? — Bo taki tylko heros daje z siebie istotnie wszystko, zdobywa naprawdę wszelkie osiągalne punkty. Narody jutra strzec będą nie tylko pierwszeństwa w rekordach ciał, nie jeno na olimpiadach natury, lecz również, a raczej ponad wszystko na Olimpie nadnatury.

Natomiast w cywilizacjach niekonsekwencji obserwujemy, jak nowożeńcy po zawarciu małżeństwa uprawiają dalej egoizm. Małżeństwa takie nie tylko nie dopomagają mężowi i żonie do samowychowywania się, ale jako źródła ustawicznej deprawacji staczają poziom etyczny ogółu „starych" coraz niżej. Przede wszystkim jednak pozbawiają małżonków synostwa Bożego: z powodu życia przeciw naturze i mordowania dzieci nie ma w nich Łaski. Lawinowo wzrastająca ilość małżeństw-spółek seksualnych spiętrzyła w cywilizacji ludzi białych koszmarny zator, grożący potopem. Jednocześnie wcale pięknie rozwijają ci „starzy"... moralność szkolną dla dzieci. Nawet święcą entuzjastycznie „stulecie dziecka", choć sami gniją w swym — wieku trupim.

Punktem zwrotnym w życiu człowieka jest chwila zawarcia małżeństwa, bo społecznie i wychowawczo okresy przedmałżeński i małżeński są całkiem różne.

Na punkt ów, oddzielający dwa te okresy, prawie żadnej dotąd nie zwracano uwagi. Naświetlić go musi wkrótce nauka, zwłaszcza socjologia i pedagogika. I mocniej religia. Punkt ten, kto wie, czy nie odsłoni jaskrawiej niż cokolwiek prawdy, że człowiek dorosły jest wychowawczo bezbronny, moralnie nieporadny. Horyzonty, które się przed nim wtedy otwierają, są mu nieznane. Mimo istnienia państw, szkoły i wszystkich instytucji, jest wówczas... osamotniony i to tym zupełniej, im goręcej i mocniej chce zostać człowiekiem; sam zaś pozostaje, jedyny na pustyni Dwu Miliardów Ludzi, gdy chce być Gigantem.

Wiek tedy szkolny... samowychowawczy rozpoczyna się zdecydowanie z dniem zawarcia małżeństwa. Trwa odtąd przez całe życie. Zaczyna się w nim być nauczycielem i jest się zarazem uczniem... w dalszym ciągu. Oto punkt wyjścia pedagogiki Gigantów. Zrywa ona z wylęknionym, jednostronnym werbalizmem pedagogicznym. Wtedy według niej zachodzi akt wychowawczy gdy towarzyszy mu akt samowychowawczy pedagoga w stosunku do samego siebie. Do wychowywania i samowychowywania obowiązany jest tutaj każdy „stary" i to w prostym stosunku do wagi pozycji społecznej, jaką zajmuje. Wszelkie procesy wychowawcze i samowychowawcze, indywidualne i społeczne są tutaj w ścisłej harmonii z dążeniem naczelnym każdej jednostki: doskonaleniem się chrześcijańskim na wzór Ojca.

W ten sposób skończy się pedagogika jako nauka... słów i papierowej woli. Cywilizacja... prawdy słów — zawiodła nas do kłamstwa. Filozofia dotąd jej wierzy,

iż ukaże prawdę w samych słowach... logistycznie zmajstrowanych. Giganci uczyć będą prawdy —prawdą życia. Skończy się blady wpływ liter i dźwięków na wolę.

Każdy „stary' będzie tu oddziaływał wychowawczo, bo sam się będzie ustawicznie doskonalił przez samowychowanie, każdy zaś młody będzie się wychowywał, bo nie można nie ulegać pedagogii „starych", heroicznie konsekwentnej.

Poza ćwiczeniem się w miłości Stwórcy jako Ojca i bliźnich jako samego siebie nie ma podstaw wychowanie. Może być co najwyżej wychowanie... naukowe, szkolne, laweczkowe. Nigdy — naturalne.

VI

SAMOTNICY

Instytucją naczelną wychowującą, która umożliwia dążenie do doskonałości na podobieństwo Boga — jest Kościół katolicki. Ma on środki-Sakramenta, za pomocą których czyni nas od niemowlęctwa dziećmi Boga, a ilekroć umieramy, trwając jeszcze fizycznie, wpadłszy w grzech śmierci, Kościół nas oczyszcza, od śmierci zbawia i do ŻYCIA przywraca. Kościół spokrewnia człowieka ze Stwórcą, gdyż w nasz organizm wlewa krew, ciało i ducha Chrystusa, Człowieka-Boga, Boga-Syna. Kościół Dekalogiem i Ewangelią sprzęga w jedną harmonię rozbieżne interesy egoizmu, zarówno naszej części tymczasowej: ciała, jak i nieśmiertelnej: duszy, dzięki czemu może uczynić z jednostki-człowieka mikrokosmos cywilizacyjnie najdoskonalszy. Kościół umożliwia nam przez modlitwę i Sakramenta otrzymywać energie i dary o nieogarnionym zasięgu: Łaskę uczynkową i uświęcającą, przez co kontaktuje, włącza ograniczone siły człowiecze w nieskończony rezerwat mocy Boskich. Kościół sam jeden wychowywał zawsze wszystkich, nie same dzieci i młodzież. Kościół też wyłącznie dawał światu ludzi

o najwyższej godności osobistej, którzy nieugięcie wcielali w swój pochód po ziemi żywą postać Zbawcy. Chrystus przez Kościół uczynił małżeństwo sakramentem, a nie uczynił nim szkoły, ni klasztoru, ni państwa, przez co wyniósł je najwyżej jako instytucję społeczną. Na czele Kościoła stoi — ojciec, zastępca, dalszy ciąg Chrystusa. Kościół jest najbliższy rodziny, jest Oblubienicą Boga-Syna, rodziną Stwórcy na ziemi. Gdy narody są rodzinami wyłącznie w wegetacji ziemskiej, Kościół jest rodziną i tu, i... tam, zawsze, gdziekolwiek i kiedy bądź zawędruje nasz duch. Kościół jest instytucją, zespalającą wszystkich ŻYWYCH, niezależnie od ich trwania biologicznego, śmierci cielesnej, a więc tworem najtrwalszym i najwyższym społecznie, jednym jedynym naprawdę po wsze-czasy ŻYWYM, zatem jest częścią życia Chrystusa.

Z zadań swych Kościół się rozmaicie wywiązywał, gdyż z ludzi się składał, wśród ludzi działał. Atoli zawsze, ilekroć posiadał więcej tych, co nie przestawali się całe życie wychowywać na synów Ojca, stawać się nimi, tym poziom życia potężniej, bardziej niż wszystkie inne czynniki pedagogiczne podnosił i sam jeden pęd do samowychowywania się krynicznie bezinteresownego wzbudzał, wzmagał go, upowszechniał. Rytm serc całego globu sam jeden też przez dwa tysiąclecia zestrajać usiłował, gdy ni komunikacji dzisiejszej, ni idei, ni prądów ogólnoludzkich nie było, tylko miłość i heroizm miłości, zaklęte w świętość. Był najgórniejszym regionem cywilizacyjnym, gdyż sam bezpośrednio wiódł ludzkość w Chrystusie. A gdy lot swój obniżał, zarażany strachem, wygodą „świata”, wnet się podno-

sił, wstawał, by zdecydowaniej, mężniej, heroiczniej, bardziej bezkompromisowo nieść dalej krzyż świata, doskonalić ludzkość na rodzinę Stwórcy.

Znamienne, iż Kościół im sumienniej urzeczywistniał swe obowiązki nadprzyrodzone, tym dokładniej i powszechniej działał w świecie, w życiu, w człowieku, dążąc do tego, by wreszcie uczynić wolę świata jedną z wolą jego Ojca. Epoki tej Kościół jeszcze nie dał. Nie miał ku temu warunków. Era ta jest tuż i w niej się właśnie zbiegają drogi Kościoła i szlak Gigantów. Pójdą one zgodnie w państwach jutra. Albowiem zwykły rzut oka na pulsujące życie spółczesne wystarcza, by stwierdzić, że Kościół tkwi dziś w życiu tylko tam, gdzie ma świętych i że państwa to o tyle jeno nie twory tragiczne, o ile kierownicy narodów będą święci. Toteż Chrystus wyciąga dziś ręce ku nam i zaprasza mocniej, bezwzględniej niż kiedykolwiek, by wszyscy, wszędzie jako On się stali, jako On byli. Nie może wołać ku sobie przez katolików-apostołów: dzisiejsi zbyt na to kompromisowi, ludzcy, zwykli. Kto wie, czy nie byliby, czy nie mieli przyjść apostołowie-Giganci, lecz prawdopodobnie padli w ogólnej rzezi niemowląt, mordowanych przez kobietę-trumnę. Nie mogąc wołać dość przekonywująco przez wyznawców, wzywa Chrystus przez... warunki. Wszak życie musi być wreszcie konsekwentne, człowiek logiczny; czas na to, gdy już nie może być... inaczej.

Nic przeto dziwnego, iż specjalną aktualnością nabrzmiewa obecnie sprawa wychowania kapłanów. Nie wystarczą półśrodki i budowanie na zasadzie, że „bramy piekielne nie zwyciężą go". Katolicy bowiem nie

będą się dalej spóźniali. Muszą przeto dbać nie tylko o najlepszą dyplomację, ale zdobyć od razu najumiejętniejsze, najofiarniejsze apostolstwo. Posiadając snopy światła, rzucane „in tenebras", w postaci encyklik, będą mieli moc wtedy ją realizować. Nie pozwolą się też więcej zaskakiwać, ale poniosą inicjatywę, opracują plan zjednoczenia woli świata z wolą Ojca, by, wycofawszy się raz na zawsze z defensywy, podjąć generalną ofensywę miłości i takową aż do spełnienia czasu Ziemi prowadzić genialnie umiejętnie, heroicznie, ogromnie. W tym celu katolicy, kontynuując program wyzwolenia heroizmu świętości, nieubłaganie konsekwentnie będą go urzeczywistniali. Samymi odruchami, czasową reorganizacją, na skutek doznawanych katastrof komponowaną, nie podobna będzie żyć w świecie świętych. Brak bowiem planowej, gigantycznej pracy katolicyzmu odbijałby się fatalnie na losach ziemi i każdego człowieka. Nie będzie też żadna instytucja stała organizacyjnie wyżej w ludzkości Gigantów od organizacji Łaski Bożej — Kościoła. Bluźnierstwem byłoby nie sięgać tu wtedy krawędzi doskonałości.

Odruchami nazwać można poszczególne okresy odrodzeńcze katolicyzmu. Miłość miała zbyt lichą organizację, lichszą niż miłość ziemska i — niż masońska nienawiść Ojca. Toteż katolicyzm często bywał posądzany o nieprawdę, skutkiem czego ponosił straszliwe katusze, tracił gros energii na walkę o prawa do życia, na przekonywanie, że jest pożyteczny i za wiele na męczeństwa w swej obronie, a za mało na mękę apostołowania w „dobrych" swych czasach. Za mocno też wierzono w Opatrzność, gdy uspakajano swe sumienia apo-

stolskie; za słabo, gdy szło o podstawy materialne góry i dołu.

Ów brak pełnego rozmachu w realizowaniu Królestwa Bożego, to dojutrkowanie katolików musiało się odbić ujemnie na wychowaniu kleru. Nic dziwnego, że nawet dziś ma ono braki. Widać w nim przemożny wpływ świeckiego wychowania w strachu i połowiczności, dwie cechy powszechnie przyjętej pedagogiki naukowej, oficjalnej. Oczywiście, pragnie się i robi wszystko, by młody kapłan naśladował Chrystusa, ale czyni się to w atmosferze umiaru i strachu, bo obawa panuje w seminariach duchownych raczej niż entuzjazm apostolstwa. Ponieważ wychowawcy boją się tutaj o wychowanków, przeto seminaria są na ogół najszczelniej odgradzane od „świata", od miasta, gdzie się znajdują. Psychoza ta stale dominuje i nigdy nie opuszcza przełożonych. Nie obawia się miasto, by się uświęciło, posiadając wśród szkół szkołę apostołów, lecz przeciwnie, apostołowie boją się miasta, które wszak, gdy opuszczą studia, mają... zdobyć dla Chrystusa. Na ile seminaria stoją z dala od życia dowodzi choćby to, że gdyby na ich miejscu znajdowały się instytuty propagandy komunistycznej, też sześcioletnie, także o poziomie akademickim i równym nakładem pracy i pieniędzy prowadzone, rządy miałyby w takich środowiskach stałe ogniska komunizmu. Takiej obawy o czynny katolicyzm kleryków: rozsadzanie przez nich świata miłością — nikt jednak nie żywi. Albowiem każdy rozumie, że w miastach z akademiami kleru życie się toczy tylko tak jak wszędzie, to jest jak i tam, gdzie księży jest niewielu lub gdzie wcale ich na miej-

scu nie ma. Alumna bowiem nie kształci się poza ćwiczeniami w modlitwie, teologią, filozofią, i naukami pomocniczymi — w czynnym apostolstwie, w przemienianiu życia „świata", lecz bezwiednie, a mimo to ponad wszystko — w strachu przed „światem".

Jeszcze większą obawę żywi się w zakonach, gdzie specjalny strój, zwłaszcza kobiet, jest wyrazem lęku przed światem. Świętym można być, ale kandydat na świętego musi się ustawicznie bać i o niego trzeba się bać, czyli jakoby nie-tchórz nie może być świętym, a nie-tchórze jego wychowawcami.

Strach przed światem towarzyszył dotąd ludziom, którzy mieli zdobyć świat. Dlatego go nie zdobyli. Takie nastawienie odstręczało od kapłaństwa urodzonych reformatorów życia i wpływało ujemnie na jakość kandydatów do stanu kapłańskiego. Dlatego to w zbyt wielkiej liczbie znajdowali się pośród nich potulni, umiarkowani, wygodni, także karierowicze i specjalny typ egoisty, który że za wiele myślał o swej przyszłości, ale o własnej jeno, dlatego poszedł dla pewności zbawienia na służbę Bożą. Jednostki takie mogły dawać nawet znakomitych dyplomatów, lawirantów, „spryciarzy", poza umiarkowanymi mniej lub więcej starymi kawalerami. W dużej mniejszości trafiał się też poczciwy niedołęga, który umiał bać się dość manifestacyjnie grzechu, poza tym potrafił niewiele co więcej. Kto wie też, czy młody kapłan, gdy nim zostawał, nie dziwił się, że „tacy" są księża. Typy bardziej zdecydowane, wyraźne, radykalne szły do klasztorów. Z nich to papieże w chwilach przełomowych powoływali wodzów. Ale że praca zakonów nastawiona była

raczej na wąski odcinek życia „świata", przeto i jednostki te za mało dawały czynnych wśród świata świętych. Jeżeli znów, zgodnie z całym wychowaniem w cywilizacjach niekonsekwecji, młodzi księża byli czystsi moralnie od „starych", zjawisko to stanowiło prawdziwą klęskę, wpływało bowiem negatywnie na jakość powołań, gdyż deprawowało wizję kapłana, naśladowcy Chrystusa, w wyobraźni młodych olbrzymów i hamowało pełny rozwój idealizmu apostolskiego u ogółu kapłanów.

Nie realizując jeszcze świata — z życia chrześcijańskiego, nie mając odwagi urzeczywistniać życia świętego nawet wśród siebie, narażali się kapłani na smutne zjawsko: łamanie celibatu, czyli zabawkę w biologicznego ojca, gdy powinno się było być ojcem dusz, a nim się nie było. Poczuć się bowiem ojcem duchownym grupy społecznej, być nim w całej pełni może tylko święty, to jest ten, dla kogo Bóg jest najoczywiściej Ojcem, a każdy człowiek krewnym Chrystusa, jednego z Nim organizmu. Powołanie kapłańskie jest niczym innym, jak ojcostwem w stosunku do ludzi i synostwem w stosunku do Stwórcy — w skali najwyższej, zatem bez cienia egoizmu.

Gdy kapłan nie dąży z całą energią do osobistej świętości, ku całkowitemu, ustawicznemu stawaniu się synem Ojca; gdy nie urzeczywistnia w sobie jednocześnie pełnego ojcostwa duchowego w stosunku do ludzi; skoro, z drugiej strony, będąc pozbawiony rodziny małżeńskiej, nie jest małżonkiem: stać się może z czasem zwykłym typem starego kawalera. Albowiem nie mogą towarzyszyć takiemu życiu wysiłki, które są natu-

ralnymi warunkami do samowychowywania się w kapłaństwie na podobieństwo kapłana-Chrystusa. Teraz tylko krok, by wpaść w arcyniechrześcijańską kulturę wygody, mimo że jednocześnie spełnia się funkcje duszpasterskie dość umiarkowanie, po „ludzku", nieheroicznie. Zachowywanie celibatu jest dowodem praktykowanego heroizmu. Heroizm atoli w jednej dziedzinie jeno uprawiany pada, gdy nie wywołuje heroizmu we wszystkich kierunkach — ogólnej świętości. Nie można zachowywać samego celibatu, a poza tym nie być herosem.

Wyszedłszy z seminarium nie jako ojciec dusz, nie jako reformator życia: apostoł, lecz jako doktor Zakonu — neoprezbiter istotnie nie wie, co z sobą robić wśród świata, jest bowiem ślepy jako duszpasterz. Takim go w seminarium mimo woli uczyniono. Nie widzi dusz, choć posiada głęboką wiedzę, widzi natomiast dość dobrze parafie. Toteż snadnie zacząć może postrzegać siebie teraz jako ojca... biologicznie. Jakże łatwo mu zostać wtedy nawet nie księdzem-kawalerem, lecz księdzem-bigamistą.

Sprawa celibatu jest prosta w życiu bohatera. Będzie też prosta w państwach Gigantów. Ksiądz w nich nie będzie mógł nie dążyć do świętości, bo inaczej nie zdoła wychowywać siebie jako kapłan, ojciec dusz, najrealniej za nie odpowiedzialny.

Kapłaństwo jako samodoskonalenie się zaczyna ksiądz nie z dniem otrzymania ostatnich święceń, lecz odkąd rozpocznie zbawianie dusz heroicznie. To jest też naturalna atmosfera zachowywania celibatu.

Daleko zdecydowaniej wygląda problem samowychowywania się w zakonach, gdzie obowiązkiem każdego jest dążyć aż do śmierci do doskonałości. Atoli nie ma i tutaj normalnych warunków do samowychowywania się na czynnych wśród życia ojców dusz, o ile brak tu świata, czyli zwykłych ludzi. Bez pracy bowiem w konkretnym środowisku świeckim można uprawiać ćwiczenia, by zdobyć poczucie synostwa wobec Boga; natomiast mniej jest szans, by nauczyć się tam kochać umiejętnie bliźnich, czyli konkretnie reformować ich życie i, by dzięki temu apostolstwu kształcić własne poczucie czynnego zewnętrznie ojcostwa w stosunku do dusz w świecie. Jakże tedy ogromną mądrość apostolską wykazały i wykazują te zgromadzenia zakonne, które w obręb swych „domów" przyjmują cząstkę „świata": bądź młodzież na wychowanie, bądź chorych do leczenia, bezdomnych, ba, każdy rodzaj potrzeb i nędzy ludzkiej, by przez pracę nad nią — wzrastać w świętość. Nigdy nie będzie dość mówić, że największa nędza wymaga opieki najsamotniejszego samotnika.

Jeżeli dziś tylu ludzi przeżywa piekło opuszczenia, dowodzi to, że bardzo wielu gdzieś chrześcijan sprzeniewierzyło się zakonnemu powołaniu lub, że bardzo wielu swą świętość zbyt abstrakcyjnie pojęło. Przez heroiczną pomoc i miłosierdzie można najliczniej nawracać. Heroizm ów konkretny usuwa najabsolutniej — strach przed „światem". Kalectwo w systemie wychowywania kapłanów i zakonników — na apostołów pochodzi, jak widać, ze strachu przed „światem". Strach przed światem tłumaczyłby się tym, że w innych od

Kościoła kategoriach myśli, kocha i działa „świat", którego życia nikt dotąd nie śmiał zmienić do gruntu po katolicku, a którego ogrom i błyskotliwość wywiera niesłychanie sugestywny czar na wylęknionych samotniczych świętych. Złożyło się na to wiele przyczyn. Niemałą była ta, że przez wieki wyobrażano sobie kapłana świętego, jako unikającego świata. Nawet księża świeccy, gdy postanawiali usilnie dążyć do świętości, wstępowali do... zakonów. Dopiero hasło niedawne „wyjścia z zakrystii" i obecne „odnowienia wszystkiego w Chrystusie" uczyniły wyłom w kryciu się przed ludźmi ze świętością, najbardziej sugestywną formą apostołowania. Jednak, jak dotąd, strach i siła bezwładności są silniejsze od obydwu haseł i przemożnie wpływają na organizację wychowywania kleru, a tym samym na jakość powołań. Należy przypuszczać, iż zgłaszają się głównie dalej dwa typy: chcący błyszczeć wśród świata lub pragnący być nieznanymi światu, a za mało tych, którzy wstępowaliby do seminariów, by przetworzyć świat, wprowadzić doń Pana; że brak alumnów, urzeczonych duszą człowieka, chcącego się zbawić wśród świata. Płynie stąd wiele skutków ujemnych. Za mała liczba kapłanów świętych stawia nierzadko w trudnym położeniu katolików, dążących w życiu świeckim do świętości. W dużych miastach zawsze mogą mieć te dusze wybrane stałych kierowników duchownych, w tych jednak środowiskach, gdzie pracują kapłani niekonsekwentni, bojący się być świętymi, niewiele mogą znaleźć pomocy na drodze do doskonałości. Ile w ten sposób marnuje się... świętych

aktywnych, czyli takich, którzy mogliby działać w świecie?

Zagadnienie wikła się tym bardziej, że neoprezbiterzy opuszczają seminaria bardzo młodo. Pulsują w nich wtedy najżywiej siły fizyczne, które nie znajdują ujścia w sportach, ciężkiej pracy fizycznej, ani też w heroicznym apostolstwie wśród ludzi, bo tylko taka praca wręcz pożera, spala ciało. A już niepokój ogarnia, gdy idzie o uprawę życia wewnętrznego: świadomego obcowania z Bogiem. I tu pełne apostolstwo w „świecie" mogłoby dostarczyć bezmiaru dobrych podniet. Bez nich życie wewnętrzne, nie mogąc długo wegetować w sferze abstrakcji, w końcu stać się musi szeptem warg, najnudniejszą nudą. Tylko typy wyłącznie kontemplatywne, samotnicze, lub subtelne, iż same cienie wrażeń zewnętrznych mogą już je poruszać najdogłębniej, ci jedynie władni są bez zewnętrznego apostolstwa pielęgnować życie duchowne na wewnątrz siebie intensywnie, skutecznie. Jednostek tych atoli jest mało i nie one przeobrażą świat; mogą być wprawdzie tytanami modlitwy, cierpienia i nauki, ale już w świecie myśli będą niepraktyczni, w dziedzinie zaś czynu zewnętrznego katolickiego pozostaną nieporadnym niczem. Aliści jednostki te wywarły potężny wpływ na losy Kościoła. Lękliwe, uciekające od życia, nieufne względem bliźnich, bodaj nienawidzące ciała — pomykały tchórzliwie ku celom, zamykały się w ich skorupach, uprawiały ślimaczą świętość, kołyskową doskonałość, gdy szatan myszkował brawurowo już bez nich, a więc bez przeszkód, wśród „świata".

Wpływ tego typu świętości, zwłaszcza na literaturę życia wewnętrznego i najideowsze jednostki w Kościele, był jakiś czas przytłaczający. Wyrazem tego jest supremacja w świecie życia duchownego książki. „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa", propagującej z siłą niezwykłego przekonania świętość w odgrodzeniu się od świata. Gdy na ogół na taką świętość nastawieni byli najwybrańsi katolicy — acz jakże nieliczni — pozostali szli na kompromis z życiem wygody, gdyż przerażała ich „grobowość" samotnej świętości. Kto wskazywał słoneczną świętość? Radość się śmiała, lecz głównie radość biologiczna. Tam też świat ciągnął. I szedł w tę stronę także świat katolicki. Święci się dotąd nie śmiali, przynajmniej... oficjalnie. Widzieliśmy ich tylokrotnie z trupią głową, tak rzadko z radością. Jakże słoneczny wyjątek stanowią uśmiechnięci święci: Teresa i Jan Bosko, zdobywający na naszych oczach szańce „świata". Czyżby nie miało być nigdy książki o naśladowaniu Chrystusa, równym czarem sugestii owianej jak Tomasza à Kempis? propagującej życie święte wśród świata, wszędzie ? uważającej świat cały za celę i też nazywanej drugą Ewangelią? — Książka ta jest od dwóch... tysiącleci. To Ewangelia. Na ogół nie czytano jej atoli dotąd bez strachu i bez strachu nie wprowadzano w życie.

Zamknięcie się oraz kultywowanie życia wewnętrznego, oderwanego od przetwarzania jednocześnie czynnie życia świata, nie na wiele przydało się nawet klasztorom. Bo gdy święci nie wychodzili z cel zarażać świat świętością, świat wchodził do ich celi. Tak padali zakonnicy, życie zakonne, zakony. Nie działałby

jednak „świat" destrukcyjnie, gdyby inni święci, nie klasztorni, jednocześnie przetwarzali życie ludzi dorosłych, rodzinnych — na Chrystusowe. Święci tacy jeżeli jednak i byli, to działali dorywczo, efemerycznie; zjawiali się, by ratować to, co tonęło, po czym marli i znów wieki całe nie przychodzili. Zdumiewające, iż te zakony najlepiej się obecnie rozwijają, których członkowie największy biorą udział w życiu świata, którzy, pracując nad innymi, wychowują samych siebie. W pierwszych szeregach kroczą tu Salezjanie i wychowawca, niestety, tylko młodych i dzieci — św. Jan Bosko.

Tajemnica powodzenia życia wewnętrznego polega na tym, że tego dnia najgłębiej obcuje się z Bogiem jako Ojcem, najbardziej odczuwa potrzebę modlitwy, rozmyślania, gdy najintensywniej apostołowało się wśród „świata". Nic tak jak praktyka apostolstwa nie daje tylu żywych tematów do rozmyślań o sobie, bliźnich, Stwórcy, w tej mierze aktualnością każdodziennie nabrzmiałych. Nic tak nie uświadamia o nijactwie własnej mocy i wszechpotędze Łaski. Nic nie sprowadza takiej potrzeby — modlitwy o moc, jak również modlitwy dziękczynnej oraz wypowiedzenia się, wylania przed Stwórcą jako Ojcem najstrzeliściej, najgorręcej miłośnie. Żaden podręcznik, niczyje zdania nie potrafią uwikłać mózgu tak pozytywnie w myśl o świętości własnej i społecznej, jak refleksje, płynące z codziennego praktykowania wśród ludzi heroizmu apostolskiego. Właściwie takie kapłaństwo jest dopiero interesujące i rozmyślań pełne.

Ustawiczne kontemplowanie, zatopienie się w Bogu? — Tak, nawet najbardziej miłosne. Gdzie? w jaki sposób? — Także wśród świata. Gdzie indziej będzie to dla wielu mniej lub więcej sztuczna medytacja, naciąganie abstrakcji do poziomu rzeczywistości, wspaniała, ale... mgławicowa świętość. Czy nie jest pogrążony w Bogu duchowny, który zawsze ustosunkowuje się do bliźnich jak wcielony Chrystus? który czyniąc cokolwiek stara się zrobić to tak, jakby to uczynił na jego miejscu Mistrz, a to dlatego, bo w każdym z bliźnich też widzi Jezusa? Trudno orzec, czy taki stosunek do ludzi bardziej powoduje stałe kontemplowanie Boga, czy też takie „podejście" do człowieka wymaga doskonałej kontemplacji; jedno jest pewne, że w tej apostolskiej taktyce, strategii, polityce, dyplomacji... miłości — urzeczywistnia się zarazem pełna miłość Boga i człowieka, cały Zakon.

Któż to więc kapłan-wychowawca? — Człowiek, mogący wychowywać sam siebie w poczuciu synostwa w stosunku do Boga i ojcostwa w stosunku do ludzi w tempie... przyśpieszonym, poza drogą cielesną w małżeństwie przewidzianą. Nie potrzebuje więc widzieć szczęścia swego ciała w innym ciele płciowo różnym, by dopiero tą drogą nauczyć się naprawdę współżyć z bliźnimi miłośnie w cierpieniu, trudach, pracy twórczej, męce, szczęściu, śmierci. Rozmienić potrafi swe energie biologiczne bezpośrednio w duchowy i fizyczny heroizm apostolski. Rzecz dana z góry. Co mianowicie? — Geniusz wzmożonego bohaterstwa na rzecz bliźnich, pozbawiony egoizmu własnego ciała. Niekandydat na bohatera nie może być kandydatem na księ-

dza, jak żołnierz, któremu brak danych na herosa, nie powinien być nigdy dowódcą. Kto to ksiądz świecki? — Święty-heros, zdolny do apostołowania wśród świata, natura czynna miłością, śmiała do szaleństwa, impulsywna, aktywna. Postrzega nie tyle ciało, ile duszę. Wzrokowo zatem i upośledzona, i unadwrażliwiona niezwykle. Widzi dobrze ŻNIWO, w nim Łaskę i grzech. Lecz przede wszystkim widzi ludzi i motywy ich woli, a wśród tych motywów — wolę Chrystusa. Chce wejść w grono „świata'. Wie jak. Umie. Bo wkracza tam z bezmiarem Łaski jako drugi Chrystus, którego w sobie po kapłańsku przeżywa.

Inaczej zakonnik-kapłan. Apostołem świętym może być pod... warunkiem, że będzie miał atmosferę przyjazną: klasztor, w nim dłuższy lub krótszy czas na zamykanie się. Urodzony kapłan świecki kontemplować może Boga w każdym, spotkanym nawet na najrojniejszej ulicy, bliźnim; gdyż wszędzie skupić się może, „pośród min pękających chodzić najpowolniej" zdoła. Zakonnik jest psychicznie mniej zwarty, nerwowo zbyt wrażliwy. By wrócić do doskonalszej postawy życiowej, by przyjść do siebie, być sobą, mieć musi zamknięcie, pobyt sam z sobą dłuższy lub jeno z podobnymi do siebie — przegrody, ściany, mury, akcesoria. Wówczas władny jest widzieć w sobie, wokół, wszędzie, w każdym — Pana, nie uronić Go, z Nim być i w Nim. Jest urodzonym raczej samotnikiem, towarzysko — predystynowany do przebywania tylko wśród specjalnych grup ludzi ze „świata"; największy, gdy sam; najłatwiej mu być jako drugi Chrystus, gdy odosobniony. Kapłan świecki jest Nim tylekroć, ilekroć jest wśród —

bliźnich wszelkiego autoramentu. Jeden i drugi typ jest niesłychanie pożyteczny, wzajemnie się uzupełniają, atoli dziś naprasza się rzeczywistość naglące o przyjście kapłana-herosa do „świata" — w ogóle, a zakonnika — do „świata", lecz w pewnym węższym znaczeniu.

Seminaria duchowne Gigantów oraz akademie kleru, kształcąc, jak dotąd, w naukach i życiu wewnętrznym, ćwiczyć będą w równej mierze w działalności zewnętrznej. Przez cały czas studiów będzie alumn praktykował w samym seminarium i mieście biskupim ojcostwo duchowe, apostolstwo wśród świata. Prace te ujęte będą w system, wiążący ćwiczenia duchowne z apostołowaniem wśród świata w jedną całość. W ten sposób miasta biskupie poczną być skupieniami prawdziwego życia chrześcijańskiego. Dopiero w obliczu praktykowanego czynnie w mieście na zewnątrz, wśród „świata", apostolstwa nabierze w oczach alumnów silnych rumieńców konieczność zdobywania jednocześnie głębokiej nauki i uprawy żarliwego życia wewnętrznego. Jak dotąd, uczy się, by dostać święcenia, życia zaś wewnętrznego się nie docenia, nie jest ono bowiem konieczne do egzaminów, a rozwinąć się nie może, bo się nie praktykuje apostolstwa. Zostawszy kapłanem pozbywa się życia wewnętrznego jako naleciałości seminaryjnej. Z drugiej strony gdy kapłan, jak teraz, dopiero po święceniach praktykuje duszpasterstwo i wtedy się okazuje, że nie ma w sobie nic z ojca dusz, jest już grubo za późno, by czynić z niego... kapłana. Czy jednak można było stwierdzić jego zdolności duszpasterskie, gdy będąc alumnem zbierał głównie na... tackę? Gdzie bierze się pod uwagę, przyjmując do semi-

nariów, czy kandydat ma postawę reformatorską wobec życia? czy czasem nie jest — „wegetarianinem"? Wiedzę teologiczną może mieć każdy, ma ją nawet...szatan; duszpasterzem może być tylko urodzony reformator woli ludzkiej.

Życie zewnętrzne wywiera olbrzymi wpływ na życie wewnętrzne. Może je unicestwić i być jego motorem. Bojąc się wpływu ujemnego ze strony „świata", pozbawiano życie wewnętrzne wielkiego bodźca i potężnej pomocy, idącej z praktyki świętości w świecie; dlatego rozwój życia wewnętrznego był zahamowany, stał się specjalnością, a z drugiej strony skutkiem tego ingerencja świętości w życie „świata", czyli w życie na zewnątrz święte — kwiliła w powijakach.

Nie trudno się domyślić, jak nadzwyczajnie szeroki zasięg obejmie życie wewnętrzne w życiu świętych-Gigantów; jak im łatwo żyć będzie wewnętrznie dlatego tylko, iż będą mieli dwagę żyć święcie wśród świata. W świecie Gigantów wszyscy żyć będą wewnętrznie, przez nich bo dopiero w dziejach po raz pierwszy będzie zorganizowana konsekwentnie cała powszechność. Cywilizacje nieśmiałe ślizgały się po wierzchu człowieka. Różnie tę powierzchnię rzeźbiły, „organizowały". Nie miały atoli odwagi wejść do wnętrza człowieka i robić tam — cywilizacji. Gdyby weszły, spotkałyby się na tym odcinku z — Bogiem i własną niekonsekwencją. Przeto tu stawały, dalej nie śmiejąc uczynić kroku.

Mało kogo obchodził człowiek na wewnątrz, życie u źródła życia, jego jądro. Zazwyczaj ludzi interesowała maska, to, co człowiek ujawniał, udawał, raczej

aktorska strona człowieka. Dzieje były, bodaj, kreśleniem drogi masek. Wielu wmawiało w siebie z uporem, że każdy jest naprawdę jeno maską niczym więcej; że dalej poza maską już nie ma... nic. Kto miał odwagę zajrzeć do swego wnętrza? Nawet psychologia zaczęła badać wnętrze jedynie... powierzchnie maski zjawisk, wrzeszcząc w niebogłosy, by zakrzyczeć każdorazowe zwątpienie: nie ma żadnej duszy! „tam" nie ma nic! Właściwie też ludzki geniusz organizacyjny dotąd wiązał jedynie maski i w państwa, i dalej, nawet w wyznania. Zabawa w maski trwa, nie ustaje. Jest nawet taka nauka o zachowaniu się, o życiu masek: socjologia, podobno już największa z nauk. Nie ma socjologii wnętrza człowieka, ani naukowej organizacji pracy... tegoż wnętrza. Najczęściej też jest człowiek zadowolony z sympatycznie ułożonej dla siebie maski. Czegóż bo chcą „wodzowie?" — By maski szły z nimi. Co „wodzowie" organizują w atmosferze genialnie aranżowanych psychoz? — Maski. A czego się „wodzowie" najbardziej boją? — Wnętrza.

Człowiekowi też dotąd przemalowywano najrozmaiciej maskę — i koniec. To były kultury i cywilizacje. Dalej nigdy nie sięgały państwa nawet o najbardziej autorytatywnych rządach. Żaden despota, tyran tam nie dochodził, bo dojść nie mógł. Mógł być dyktatorem masek, niczym więcej. Wnętrze człowieka było wolne. Lokal nie do wynajęcia. I nie tabula rasa. Anarchia. Całe światy niecywilizowane, acz równie wielkie jak przestrzenie międzyplanetarne, tyle że barbarzyńskie, bez regulacji, praw, systemu, idei, planu. Najdzikszą częścią świata jest Wnętrze Człowieka, nasze wnę-

trze. Czy notuje je prasa i... reklama? Wewnątrz człowiek, nawet udoktoryzowany, może wszak pozostawać nadal barbarzyńcą. Nie organizowano bowiem, nie uspołeczniano człowieka wewnętrznie, a tylko zewnętrznie. Wystarczyły maski. Anarchia więc szaleje nadal we wnętrzu ludzi, człowieka, świata. Ujęto w karby same maski, pod spodem zostawiając skorupę, chaos, ...„brudne koszule". Może by się tak społecznicy, a zwłaszcza wybitni działacze, zajęli wreszcie uspołecznieniem wnętrz ludzkich. Tam się lęgnie, ma swój sztab, lożę to, czego opanować nie mogą od zewnątrz. Nic bowiem nie ma na zewnątrz, czego nie było na wewnątrz.

Kościół organizował wnętrze człowieka. Cywilizację wnętrza on montował Sam jeden tam działał społecznie, żadne państwo, dyktator, wódz, zbawca, żaden monter masek tam nie sięgał. Toteż zarażona tą działalnością społeczną Kościoła cywilizacja helleńska tak wzniosła rasę białą, tak ukształciła jedyny na ziemi prawdziwy poza Bogiem wieczny byt: człowieka-ducha, tak rozwinęła jego rys zasadniczy: indywidualność. W innych cywilizacjach pierwiastek Boski ujawniał się raczej w heroizmie społecznym, wywoływanym w szale, w psychozie masowej, nagminnej, w tłumów i tłumnym bohaterstwie, jak u Mongołów-Tatarów, Chińczyków, Japończyków. Wnętrza tych ludzi może podnieść do bohaterstwa tylko psychoza społeczna, poza tym wnętrza te są dzikie, indywidualnie skłonne do psychoz, jak każda nieopanowana, niecałkowicie mikrokosmiczna indywidualność.

Skłonność do psychoz społecznych szczególnie silnie ujawnia się czasu wojny. Tym się tłumaczy militaryzm średniowieczny mongolski, powołujący już wtedy całe narody pod broń, tym obecny japoński i niejedną z tego powodu jeszcze żółci białym sprawią niespodziankę.

W cywilizacjach masek nie ma też co mówić o pokoju, o braku wojen. Wojna bowiem nie da się pomyśleć bez zorganizowanej psychozy, a o tę najłatwiej w państwach masek. Psychoza jest pierwszym warunkiem wojny, nie pieniądze, amunicja, heroizm, bo to wszystko się znajdzie, gdy będzie psychoza. A o psychozę łatwo, gdy wnętrze człowieka trwa w anarchii, gdzie przeto uregulować stosunki może każdy silny... przypadek zewnętrzny. Od czego byli specjalistami Dżyngischan, Hannibal, Napoleon? — Od wywoływania psychozy na rzecz bohaterstwa. Co znikało z ich śmiercią? — Psychoza. Jaka? — Wojenna. Tym się też tłumaczy nietrwałość dorobku wielkich wojowników. Co porywało ludzi za nimi? — Heroizm: składowa część duszy w każdym człowieku, którego nikt z im spółczesnych do rydwanu swego nie wprzęgał, do życia nie powoływał, aż zbudził go wódz, geniusz-straszek-bohater, który bohaterstwo kładł jako warunek sine qua non służby u siebie.

Heroizm jest bowiem zjawiskiem wulkanicznie niebezpiecznym. Jeżeli nie wymaga go Kościół, państwo własne, a żąda wyznanie inne, państwo obce, może tam się przenieść i na obcym gruncie zamiast u siebie działać. Dlatego dobrze zorganizowane państwo (również wyznanie) stale rozwija heroizm, inaczej znaleźć się

może w sferze oddziaływań czynników obcych, aczkolwiek całą tak zwaną niepodległość zachowuje nietkniętą, pozornie dziewiczą.

Wnętrze psychiki człowieka — to horda pierwotna, niesforna, dzika, niepoczytalna, o wszelkich cechach, znamionujących psychikę tłumu, dlatego stale niepewna, płynna, do psychoz skłonna. Uregulowany bieg życia w tej czeluści bytu — to życie wewnętrzne. Regulację tę podjąć może tylko każdy sam w sobie i to jest wstępna część samowychowywania się. Bez tej pracy nie będzie cywilizacji na wewnątrz, upolerowana zostanie powłoka, maska. Oto czemu ludźmi poczęliśmy być, odkąd zaczęliśmy sami siebie wychowywać.

Regulację tę prowadzi od dwudziestu wieków Kościół katolicki głównie za pomocą spowiedzi i wprowadzania tam Chrystusa przez Łaskę. Ze stanu pracy nad opanowaniem anarchii własnego wnętrza i związanego z nim życia zewnętrznego musi każdy katolik składać relację przed ojcem swej duszy na spowiedzi co najmniej raz do roku oraz postanawiać tamże regulować dalej swe życie na wewnątrz i na zewnątrz według woli Ojca. W tej czynności Kościół jest szczytowo społeczny już w znaczeniu czysto świeckim. Nikt i nic go tu nie zastąpi, ni zastąpić zamyśla. Co to kogo obchodziło lub obchodzi, choćby... laureatów Nobla. Aczkolwiek dopiero tu dojść można naszego rodowodu, czegoś się o sobie pozytywnego dowiedzieć. Dopiero w życiu wnętrza okazuje się, jakim dostojnikiem, arystokratą, panem — jest człowiek jako człowiek-duch. Tu bije cała nasza wielkość, boskość, przeznaczenie. Tu się spostrzega długość życia, jego ciąg nieśmiertelny. Tu

się dowiadujemy prawdy o pochodzeniu — człowieka-ducha, jego pokrewieństwie, rasie, rodzinie, nazwisku, gnieździe tymczasowym i stałym. Człowiek nigdy nie spowiadałby się, gdyby nie był synem Boga. Nic dziwnego, że gdy kto wmawia w siebie z uporem bydlęcość, do spowiedzi nie chodzi. Nigdy by też nikt na spowiedzi nie mówił prawdy i pod innym warunkiem, gdyby synem Bożym nie był. Prawdę też w życiu usłyszeć nagą można wyłącznie w konfesjonale. Na tyle on przybytkiem pokuty, co prawdy, jej azylum i choćby ją zewsząd wypędzano, konfesjonał zostanie prawdy „świętym świętych".

Stosunki społeczne we wnętrzu człowieka mają wiele analogii ze stosunkami zewnętrznymi. Anarchia i tam trwa, pokąd nad nimi nie obejmie władzy — Bóg, ale bezpośrednio. I to jest wyższość cywilizacji wnętrza nad cywilizacją masek, choćby najdoskonalszą. We wnętrzu może rządzić — jeszcze tu — Bóg. Gdy kto inny administruje, jest tam stale anarchia. W życiu masek może rządzić kłamca i będzie spokój, porządek, cywilizacja. W życiu wnętrza oszustwa tego popełnić nie można. Trwa tam potąd niepokój i nieład, pokąd nie zacznie zarządzać sam Stwórca. Organizm wnętrza jest zdrowszy. Co więcej: Bóg może tam władać zaraz, natychmiast, o ile człowiek... chce. Punkt najtragiczniejszy i najwspanialszy w konstrukcji naszej psyche. Nigdzie Stwórca nie okazał tyle szacunku dla człowieka.

Sfałszowany porządek społeczny, co prawda, może się ułożyć i we wnętrzu ściśle według osobistej woli człowieka, a wbrew woli Boga. Lecz natychmiast czło-

wiek zacznie być antyspołeczny nie tylko w życiu wewnętrznym, ale i na zewnątrz. Ciesząc się namiastką porządku, czuć będzie wyraźnie rozdarcie, a gdy nieład stanie się zasadniczy: spowodowany grzechem śmierci — Chrystus ustąpi zostawiając nas samych wśrod nieładu. W życiu naszej społeczności wewnętrznej jest to zjawisko tak wielkie, niesamowite, katastrofalne, jakim by było nagłe usunięcie się Boga z konstelacji, w której kosmicznie bytujemy i my, i całe z nami światy. Oto czemu grzech śmierci jest samobójstwem ducha.

Oszołomieni psychozą życia zewnętrznego w cywilizacji masek, jesteśmy na ogół tak nieprzytomni, iż nie notujemy dość alarmująco ustawicznych katastrof-grzechów, które wprowadzają z powrotem anarchię w życie osobisto-społeczne wewnętrzne ludzi. I prasa, i statystyka, i plotka, i sensacja na ogół nie mają odwagi nawet mówić o tym: wstydzą się wszak Pana Boga. Aczkolwiek to dopiero byłyby dane o życiu społeczno-psychicznym człowieka. Milczy też o tym... socjologia, acz bada naukowo „wszelkie" stosunki społeczne. Żaden najgrubszy zeszyt przeglądu socjologicznego nic o tym nie wspomina. Komu przychodzi na myśl zaglądać do wnętrza... cywilizacji: do życia Łaski? Wystarczy skorupka nawet największym... uczonym... wodzom... specjalistom... ankietnikom czy ankieciarzom. Zajrzał tam typowy „stary": Freud — i ujrzał... genitalia.

Życie wewnętrzne, cywilizowanie także poza skorupką wszystkiego w samym sobie — uprawiały dotąd zakony, święci. Lecz przerażano się łatwością grzechu

wśród „świata", grzechu, który mimo furt, klauzur mogli zakonnicy, jako obdarzeni wolną wolą, popełniać wewnątrz siebie, niekoniecznie wśród „świata".

Nie zwracano uwagi na to, że każdy ma ów „świat" wewnątrz siebie, że chcąc lub nie chcąc znajduje się trwale w... klatce własnego ciała — „świata", że „świat" ten stale przy sobie... nosi, a mimo to ma odwagę dalej... żyć i mieć nadzieję, że będzie zbawiony. Ze strachu, by nie uronić na wewnątrz siebie Chrystusa, wchodzono tylko z dużymi zastrzeżeniami między ludzi o niecywilizowanym wnętrzu. Sami też zakonnicy, święci, uprawiali taką spowiedź, w której składali sprawozdania nie tylko z grzechów, ale z wszelkich nawet najmniejszych różnic, jakie zauważyli w swym wnętrzu: między swą wolą, sercem i myślą a — Stwórcą; oni jedni obowiązkowo, powszechnie, omal że nikt więcej. Dlatego była przepaść między świętymi a resztą świata. I to stanowiło największą, najniesprawiedliwszą krzywdę, nierówność społeczną, jaka się działa w ciągu dziewiętnastu wieków, z powodu której jednak nie zamierzał urządzić rewolucji żaden Lenin, żaden wódz cywilizacji skorupki. Między chrześcijanami zachodziły różnice mniej więcej jak między szatanem a Bogiem i nikt o to nie wyczyniał przewrotu, nawet najszaleńsi ekstremiści.

Katolicy nie doceniali należycie spowiedzi, składania relacji o stanie uspołecznienia swego wnętrza. Nie rozumieli wagi tych sprawozdań. Traktowali spowiedź sakramentalnie jako odpuszczanie grzechów, a nie pojmowali dostatecznie jej znaczenia pedagogicznego jako zasadniczego środka wychowania wszystkich, zatem

i — „starych". Jeszcze dziś spotykamy ludzi, lubiących się spowiadać u takich kapłanów, którzy umieją szybko, omal „hurtem "wyspowiadać setkę „starych", telegraficznie młodych i piorunująco dzieci.

Należy przyznać, że ostatnio zaczyna ząbkować ruch rekolekcyjny. Rekolekcje są kilkodniową jak gdyby spowiedzią, uświadomieniem sobie stanu społecznego swego wnętrza. Jednak organizacja rekolekcji zamkniętych zdradza, że nie wszyscy prowadzący je mają za sobą praktykę życia świętego wśród świata oraz znajomość życia wewnętrznego. Zdarza się i tam, że spowiada się metodą zbliżoną do „hurtu", z góry zaznaczając, że nie ma na to czasu. Przeznacza się natomiast sporo czasu na wspólne nauki, nie rozumiejąc, że spowiedź jest rzeczą główną w rekolekcjach. Nie konferencje wspólne, które są dla wszystkich, więc dla duszy zbiorowej, jaka indywidualnie nie istnieje, nie potrzebuje zatem być zbawiona, ale spowiedź winna tu dominować. Samą spowiedź urządza się dotąd na ogół przy końcu, zazwyczaj na dzień przed Komunią. Kto zna atmosferę rekolekcyjną, nie zewnętrzną lecz wewnętrzną: indywiduum oraz psychozę rekolektanta, im wrażliwszego, tym większą (i tu strach przed Bogiem... szaleje), ten rozumie, że podniecenie nie opuszcza uczestnika aż do chwili spowiedzi; że godziny, jakie go dzielą od Komunii, mogą być męką, że przeto dusza nie ma zapewnionego na takich ćwiczeniach spokoju i aż do ich końca przede wszystkim się boi. Czyni to z rekolekcji dotkliwe cierpienie, nie zachęcające na przyszłość. Spowiedź już na początku i Komunia, większa ilość konferencji prywatnych, przeprowadzanych

z każdym z rekolektantów z osobna, dadzą daleko większe rezultaty. System rekolekcji musi uwzględnić, iż nigdy człowiek nie jest tak sobą jak na spowiedzi, że więc przychodzi tu z całym swym egoizmem, ze swą duszą. Nikt i nic poza nim go teraz nie obchodzi, najmniej uczestnicy rekolekcji i „wspólne" dla wszystkich — gdy „wszyscy" mu nie istnieją — konferencje. Szuka tu siebie, swego szczęścia wyłącznie i nakreślenie mu przeznaczonej dla niego specjalnie drogi jest jedynym realnym sukcesem kilkudniowych ćwiczeń. Nie ma tu... ludzi: jest człowiek. Toteż dać wszystko na rekolekcjach — to uszczęśliwić jednostkę. Spowiadając już na początku, wprowadza się od razu do wnętrza Łaskę, która działając ułatwia wpływ pracy kapłana.

Cywilizowaniem życia wewnętrznego zajmie się w państwach Gigantów Kościół w niesłychanej skali. Na tym właśnie polegać będzie rola Kościoła w wychowywaniu... samowychowania „starych". Wzrośnie naonczas ogromnie znaczenie spowiedzi, metod spowiadania i rekolektowania, znajomość człowieka. Nie do pomyślenia, rzecz jasna, będzie wtedy kapłan, nie żyjący życiem wewnętrznym, nie drugi Chrystus. Życie wewnętrzne przeto i apostolstwo świętości wśród świata będą zasadniczą obok teologii częścią programu seminariów i wyższych szkół kleru. Komunia jako fundamentalny środek społeczny i cywilizacyjny wnętrza człowieka — to chleb powszedni ludzi jutra. By tak kierować wychowaniem, kapłani-Giganci będą działali wszędzie jako ojcowie, sternicy cywilizacji dusz: wnętrza. Bez heroizmu nie da się pomyśleć takie kapłaństwo, ni taka rola Kościoła.

Jak się rozpozna powołanie do kapłaństwa? — Kleryk będzie je ujawniał praktycznie podczas studiów w seminarium, tak otwartym, jak i zamkniętym. O ile w tej pracy wykaże przydatność do duszpasterstwa, umiejętnie się w niej posługiwać będzie Łaską, wiedzą i znajomością życia wewnętrznego, ukończywszy nauki będzie obowiązany praktykować pewien czas czynności duszpasterskie, nie wymagające charakteru kapłańskiego. Gdy wyjdzie z tej próby zwycięsko, dopiero otrzyma święcenia, atoli w dużo późniejszym wieku niż obecnie. Nie będzie mieszkał ksiądz świecki sam, lecz wspólnie z kapłanami w plebaniach-celach. Chwile samotności domowej nie wśród świętych utrudniają wychowywanie samego siebie jako apostoła. W każdej rodzinie muszą być równi sobie ludzie. Warunki materialne pobytu w seminariach zachowa się te same, co na plebaniach-klasztorach. Nie mogą bowiem kapłani świeccy mieć gorszych (czytaj: wygodniejszych) warunków naśladowania Chrystusa od zakonników i mniej od nich zdecydowanie do doskonałości dążyć. W ten sposób kapłaństwo bohaterskie, jako najbardziej bezpośrednie wcielanie w siebie Chrystusa-Kapłana, stanie się żywiołowo atrakcyjnym powołaniem młodzieńców-idealistów.

Podobnie będzie się odbywał proces samowychowywania się pozostałych samotników, z własnej ofiarnej woli samotnych, szczególnie: myślicieli, artystów, uczonych, naczelników państw, a także tej olbrzymiej rzeszy mężczyzn i kobiet, uzdolnionych normalnie, którzy z tych lub innych względów nie chcą lub nie nadają się do tego, by zakładać rodziny. Jedni z nich będą

rozwijać w sobie przez swe prace poczucie ojcostwa w stosunku do pewnych grup społecznych; drudzy zaś, jak twórcy i wodzowie — w stosunku do całego narodu. Im samotnicy duchowni i świeccy żywiej czuć się będą cząstką własnej grupy społecznej, bądź jako świeccy, „nadzwyczajni" współczłonkowie rodzin małżeńskich bądź jako duchowni członkowie zakonów i zgromadzeń kapłańskich, bądź jako przywódcy narodowi, im plastyczniej bić od nich będzie jednocześnie synostwo Boże oraz odpowiedzialność grupowa i narodowa: tym osiągną większe wyniki na drodze własnej doskonałości, a gdy to będą indywidualności utalentowane, tym potężniej wzbogacą twórczość narodową.

Małżeństwa bezdzietne mieć będą obowiązek prawny wychowywać dzieci z adoptacji, sieroty; małżeństw bowiem bez dzieci nie będzie, gdyż małżeństwa takie deprawują swych członków.

Nie będą też istniały sierocińce, bo nawet przy najlepszym kierownictwie nie nabierają tam dzieci tych walorów wychowawczych, co w domu. Ponieważ dzieci w sierocińcach wszystko dostają, nie wczuwają się więc tak w położenie wychowawców, jak dzieci u swych rodziców; poza tym praca opiekunów jest tu pośrednia i na zbyt wielką gromadę rozczłonkowane serca „rodziców". Za mało tu sierota łącznie z „rodzicami" się stara, współpracuje, przeżywa; zbyt mało się uczy pokonywać trudy, rozumieć troski „rodziców". Dlatego z sierocińców wychodzą jednostki, którym się zdaje, że powinny również wszystko dostawać od państwa, gdy staną się dorosłymi „starymi". Za wielka również w rodzinach-sierocińcach ilość dzieci i „rodziców", więc

z konieczności musi tu być standaryżacja posunięć wychowawczych, koszary, a wielkie gmachy szkolne i ogromne w nich ilości dzieci nie stanowią środowiska wychowawczego.

Tedy wiek szkolny samowychowawczy rozpoczynają samotnicy duchowni małżeństwem z Chrystusem przez śluby duchowne, wybitni samotnicy świeccy — małżeństwem z narodem przez śluby narodowe, zaś pozostali samotnicy — przez mniej zobowiązujący akces prawny do grup rodzinnych świeckich lub kościelnych.

Rola samotników w życiu świata była zawsze olbrzymia. Nie zawsze to rozumiano, klucz bowiem do pojmowania potęgi i wagi życia samotników ma — ofiara. Toteż umiano znakomicie spożytkować samotników w średniowieczu i można rzec, iż dokąd to umiano, rozwijało się średniowiecze. Nie wiedział natomiast, co z samotnikami zrobić, humanizm, a już kompletną ślepotę pod tym względem wykazał protestantyzm, w którym na skutek tego poczęło wyrodnieć całe życie społeczne, ergo: typowo społeczna instytucja — rodzina małżeńska, zaczęła się tam przekształcać na instytucję... samotniczą: bez dzieci... Co jest bardziej protestanckie, jak nie małżeństwo bez dzieci? a co z kolei bardziej katolickie nad małżeństwo dzietne? co znów bardziej społeczne nad samotniczość najogromniej świętą?

Samotników „gołych", dosłownie samotnych, nie będzie w państwie jutra, bo nie będzie w nim „gołej" miłości bliźniego. Rodzimy się dla ofiary. Gdy dla niej zorganizowane będzie życie małżeńskie oraz samotnicze, cywilizacja pędzić będzie całą parą — ku szczęściu.

Zdumiewające: Krzyż — to szczęście i arcydoskonałość — organizacyjna i wychowawcza.

Krzyż czeka dalej na swego... odkrywcę. Na razie wiadomo jeno tyle, że tylko w krzyżu są wszystkie paradoksy — w harmonii ze szczęściem... Że mieści się w nim także i przede wszystkim... paradoks świętego samotnika, jako jednostki — arcyspołecznej.

VII

USTRÓJ WYCHOWAWCZY

Państwo jutra nie cofnie się przed żadną konsekwencją, wynikającą z prawdy. Dzięki temu osiągnie przede wszystkim ten sukces, iż stanie się żywym dowodem na to, że istotnie gdy się szuka najpierw Królestwa Bożego i jego sprawiedliwości, wszystko inne bywa przydane.

Giganci zauważą zdumiewające zjawisko: nigdy nie powstaje sam czyn etyczny i nic więcej. Już zamierzając czyn etyczny, musimy przygotować jednocześnie szereg innych czynów etycznych oraz etycznie obojętnych, a obejmujących całe życie kulturalne tego środowiska, w którym zamierzony czyn ma być spełniony. Jeżeli tych czynności „dodatkowych" nie wykonamy, to i sam nasz czyn etyczny się nie uda. Realizacja każdego czynu, pochodzącego z nakazu Boga, to — „wprowadzenie chrześcijaństwa" na dany odcinek życia. Wiemy, iż do żadnego narodu nie dało się wprowadzić chrześcijaństwa bez wykonania uprzednio tysiącznych czynności przygotowawczych. Podobnie jest z każdym czynem chrześcijańskim, gdy idzie o jego przygotowanie, zewnętrzne skutki; dlatego każdy czyn

etyczny ewolucjonizuje całość kultury swego środowiska i jego twórców lub też — czyn etyczny nie może zaistnieć: nie można jeszcze „wprowadzić chrześcijaństwa". W dodatku im wyższy moralnie czyn zamierzymy, tym doskonalej przygotować musimy wykonanie wszystkich koniecznych do niego czynów-akcesoriów. Żyć etycznie — to nie tylko działać dodatnio w sferze moralnej, to jednocześnie pracować dodatnio na wszystkich polach życia lub coraz mniej... móc moralnie.

Nie ma „gołego" czynu etycznego, tak jak nie ma jeszcze chrześcijaństwa w narodzie, który tyle że został „pokropiony" wodą chrztu. Takie chrześcijaństwo, to byłyby „groby pobielane". Katolicyzm jest przede wszystkim — ustawiczną budową: w dziedzinie życia Łaski i życia kultury. Katolicyzm jest twórczy w tym specjalnym znaczeniu, że urzeczywistnianie jego etyki wymaga powstawania jednocześnie najwyższej klasy twórców kulturalnych. W towarzystwie każdego czynu etycznego rodzi się więc nowy świat materii, nowy świat ducha, nowy człowiek i nowy układ stosunków ludzkich. W ten sposób każdy czyn chrześcijański posuwa rozwój człowieka i świata naprzód, i to tym szybciej, im doskonalszy akt miłości chrześcijańskiej zaistniał.

Ale zjawisko nie jest tylko natury pozytywnej, bo każdemu poziomowi etycznemu odpowiada nie tylko pewien poziom powstających jednocześnie dóbr, ale i pewien jednoczesny zanik zjawisk ujemnych. Czyn etyczny im wyższy, tym więcej wyzwala wokół siebie wartości dodatnich we wszystkich dziedzinach kultury i tym większą ilość uśmierca tamże elementów niszczą-

cych lub mniej doskonałych: niesie życie dla dobra, śmierć dla zła; ma więc składniki: życia i walki.

Tym się tłumaczy przedziwny rozwój tylu dóbr kulturalnych w klasztorze średniowiecznym i tym też... zgrzyt między poziomem życia ówczesnych klasztorów a resztą świata. Niedorozwój kulturalny jednostek, warstw, narodów, nadnormalne przerosty kulturalne w jednych dziedzinach przy jednoczesnym zaniku pozostałych, wszelkie schorzenia, zwyrodnienia kulturalne — dowodzą braków etycznych w życiu twórców kultury i jej konsumentów. Męka tworzenia —to nie tylko walka z materią, ale z poziomem wszystkich dóbr, wszystkich ludzi i... własnym. Męka życia etycznego to nie jeno walka z szatanem i własną skażoną naturą, ale to także walka z niskim poziomem etyki otoczenia i w związku z tym — z poziomem dóbr otoczenia. Jaka walka? — Przemienianie wszystkiego i wszystkich — w zwyż. Katolik więc przekształca rzeczywistość, tworzy nową, doskonalszą lub wręcz nie może ruszyć naprzód.

Kultury harmonijnej dotąd nie znamy. To, co jest, to wynik prób, czy się nie uda czasem tworzyć dóbr kulturalnych, omijając jednocześnie przetwarzanie siebie i innych na drugiego Chrystusa lub omijając chociażby spełnianie zwykłych nakazów etyki katolickiej. Widać to wszędzie, a więc i w dziedzinie ustrojowej. Bano się żyć w stanie Łaski, nie śmiano tak organizować życia jednostki i zbiorowości, a mimo to chciano osiągnąć potęgę państw i szczęście narodów. Toteż nigdy nie osiągnięto w ustrojach nieśmiałych nawet sprawiedliwości społecznej. Dlatego znamy nienaturalną,

dysharmonijną fabrykację kultury i w niej grzęźniemy. Wyprowadzą nas stąd Giganci. Odnalazłszy tajemnicę postępu, prawo harmonii życia: że najdoskonalszy rozwój cywilizacji narodowej zachodzi wówczas, gdy społeczność najdoskonalej spełnia nakazy etyki katolickiej — przebudują oni państwa na organizmy polityczne — świata świętych, by wreszcie na tej drodze zdobyć dla swych narodów WSZYSTKO ZA — WSZYSTKO. Oto czemu państwa jutra będą zbudowane wychowawczo, ujęte w ustrój — zestroju.

Warunki do wychowania i samowychowania znajdzie tu każdy: „stary" i młody, nie jeno w Kościele, szkole, rodzinie, małżeństwie, lecz w każdej komórce państwa i całokształcie jego zjawisk kulturalnych, gdyż całe życie w państwie będzie wyrazem jednego światopoglądu, katolickiego. Tym tylko sposobem osiągną państwa maksima doskonałości organizacyjnej, jednostka zaś w nich — maksimum doskonałości indywidualnej. Realizując zaś przede wszystkim wolę Ojca, będą mogły tak wszystkie zbiorowości, jak wszystkie w nich jednostki urzeczywistniać maksima dobra, co w całokształcie zjawisk zewnętrznych i wewnętrznych spowoduje pełnię harmonii.

Odpowiednio do tego zorganizuje się życie jednostki i społeczności.

Państwo, oddziaływując na społeczeństwo, wytwarza w człowieku sumienie prawno-publiczne, Kościół organizując wnętrze, urabia w tym samym miejscu sumienie katolickie. Konstrukcja wychowawcza życia państwa pozwoli, że sumienia te będą z sobą harmonizowały, stanowiąc jednię życia wewnętrznego.

Natomiast gdy sumienia te, na skutek walki z Kościołem, rozróżniają dwa różne zła i dwa różne dobra w tych samych sytuacjach, obywatel-katolik wewnętrznie jest w każdej z nich rozdarty, co fatalnie działa na ekspansję jego woli i czyni z niego przymusowo członka społeczności tragicznej.

Potęga ludzi idei stąd właśnie się bierze, że mają jedno sumienie, nie dopuszczając drugiego. Gdy ponadto towarzyszy im przekonanie, że tego, czego chcą, pragnie Bóg, siła ich woli jest tytaniczna, oni wewnętrznie spokojni i sami dla siebie logiczni. Wszelcy inni tak zwani ludzie idei są zawsze wewnętrznie rozdzieleni, choćby na zewnątrz robili wrażenie przekonanych niezłomnie, albowiem sumienie mówi im mimo wszystko ciągle jedno, że prawda — to wola Boga. Siła woli, właściwa ich psychice, pozwala im nie dopuszczać duszy do głosu i skoncentrować się na jednym; niemniej defekt działa... wewnątrz i sumienie krzyczy: kłamstwo! — choćby jednocześnie cały świat wołał: hosanna!

Organizacja wnętrza też dopiero ujawni wszechobecność Boga, Jego działanie we wnętrzu. Bóg jest wszędzie, ale przede wszystkim jest wewnątrz nas. Kierownictwo wychowywaniem wewnętrznym obejmie Kościół katolicki. Dzięki temu wszyscy członkowie państwa będą mogli być każdej chwili w najściślejszym kontakcie z Ojcem. Podniesie to niesłychanie godność obywatela i autorytet państwa.

Członek dzisiejszej kultury rozstroju zna nawet właściwości działania promieni, profanem zostając w dziedzinie znajomości Łaski. Tak zwany światły

człowiek, nawet uczony, który się doskonale orientuje, jak działa to lub owo w... skorupce życia i pisze o tym dzieła mniej lub więcej fundamentalne, nie wie najczęściej, co i jak czyni w nim Bóg, co zdziałał dotąd i co w tej choćby chwili w nim sprawia, gdy on pracę pomnikową pisze. Czy udoktoryzowani barbarzyńcy wiele wiedzą o swym wnętrzu? o współpracy z nimi Boga? działaniu w nich Łaski? Czy często zaglądają... do siebie? Daleko dotarli? Czemu boją się tam zajrzeć? Dlaczego zatrzymali się w przedsionku własnej istoty i nie chcąc go za nic opuścić, jak tam stanęli, tak stoją? Czemu ograniczają się do tego, by tylko w przedsionku życia organizować sobie wygodę i cieszyć się, że w takim życiu nie ma „nic" prócz... skorupki? by w tej „sieni", nie gdzie indziej, umierać, kończyć? Czasem wyfrunie z ich gromadki jakiś bohater. Oklaski i pomniki, to i owo..., a w duchu wydziwić się nie mogą, czemu był taki... ekscentryczny i wyfrunął z ...wygody życia.

Musi powstać nauka głęboka, śmiała o stosunkach, zjawiskach i prawach życia naszego wnętrza. Będzie to szczytowy odłam nauk społecznych: socjologia — Łaski, nauka o roli Ducha w życiu społeczności psychofizycznej wnętrza. Kto jak kto, ale człowiek rozumny musi tej nauki żądać, by przecież wiedzieć, jak urządzić się wewnętrznie i jak tam współdziałać z Łaską. Co prawda, istnieje coś popularnego w tym rodzaju — katechizm i coś tylko dla wybranych — teologia ascetyczna i mistyczna. Aliści katechizm przeznaczany głównie bywa dla dzieci i młodzieży, „starzy" zapo-

minają go zazwyczaj z kretesem, odkąd skończyli swe w szkołach wychowanie.

Giganci dążąc do największej ekspansji dobra, a więc do doskonałej organizacji państwowej i maksimum mocy, starać się będą, by ilość Łaski, działania Boga we wnętrzu obywateli państwa — była największa i najumiejętniej spożytkowana. Gdy się rozwinie nauka o mocy (musi wpierw powstać), konieczność ta będzie uzasadniona naukowo. Wówczas okaże się, jak ograniczona jest siła obywatela, rozstrojonego wewnętrznie, jak niewielka jest siła państwa zorganizowanego w ustrój... rozstroju, choćby przy najlepszej jego organizacji, i jak nieograniczone możliwości i moce osiągnąć zdoła obywatel i państwo, współdziałający konsekwentnie z Łaską: mocą Ojca. Dlatego to, jeżeli wodzowie narodów nie stchórzą (aż dziw, iż tacy mogą być) i zdobędą się na odwagę zrozumieć moc, przyjrzeć się mocy; gdy nie zlękną się dać swym narodom maksimum potęgi: rozpoczną organizować z właściwą sobie energią państwa po katolicku; narody zaś, religijnie dotąd nielogiczne, zaczną być nawracane na katolicyzm czynny przez swe... rządy w imię konieczności państwowych.

Organizacja życia jednostki przekona polityków że przedziwne skojarzenie w nas ducha z ciałem wtedy tylko daje z człowieka istotę, w granicach możliwości ziemskich — społecznie i kulturalnie doskonałą, gdy trwamy w stanie Łaski. Stan taki, co prawda, zamierzył Stwórca od wieków. Atoli zwichnął go grzech pierworodny. Odtąd wyłącznie nadprzyrodzoność przywraca pierwotną w nas naturę. Ale przywraca tyl-

ko częściowo. Bo doskonałymi w znaczeniu ścisłym tu, na ziemi, nie będziemy nigdy. Lecz zbliżać się do tego stanu możemy przez twórcze współdziałanie dzisiejszej naszej natury skażonej z Łaską. To jedyna droga do pierwotnej natury — doskonałej. To przeto, co zwiemy dziś nadnaturą, jest właściwie — pierwotną naturą, natomiast stan upadku po grzechu pierworodnym, który tak wielu dotąd uważa za naturalny, jest wręcz nienaturalny. Toteż tylekroć raczej potworami jesteśmy, rozdzielonymi na dwa światy: materię i ducha, ilekroć brak nam Łaski. Uzupełniać siebie, swą budowę, montaż samych siebie, stawać się naturalnymi członkami kultury zestroju możemy tylko na jednej drodze: gdy współpracujemy z Łąską. Pierwotnym „sobą" możemy stać się wyłącznie jako dzieci Ojca. Tak zwany „tylko człowiek" to źle zmontowany duchowo-fizyczny stwór, stale rozdwojony. Tak źle, nietęgo, niezupełnie zbudowani, przychodzimy na świat. Nie jako naturalni, harmonijni, lecz nienaturalni, dysharmonijni: jako punkty wyjścia do ustawicznej uprawy woli. Musimy się więc dotwarzać aż do śmierci. Swój harmonijny stosunek do siebie i do świata odnajdujemy dopiero wtedy, gdy czynimy wolę Ojca. Wtedy zestrajamy własne ciało z własną duszą, siebie ze Stwórcą i — dla Niego — siebie z ludźmi. Jednocześnie z tym budujemy nowy, doskonalszy świat rzeczywistości kulturalnej.

Państwo Gigantów — to organizm społeczny takich ludzi harmonijnych i kultury harmonijnej. Im ono większe, im ludzi tych w nim więcej, tym montaż samowychowawczy jednostki i zbiorowości większe dać

może wyniki, bo Łaska w zbiorowości działa daleko silniej; tym też wcześniej stać się państwo może bliskim gniazda ludzi doskonale naturalnych; tym bogatszą i bardziej harmonijną tworzy kulturę; tym mocniej i sugestywniej władne jest oddziaływać na resztę świata; tym silniej też pokonuje straty energii, wynikające stąd, że inne państwa mogą się jednocześnie nie wychowywać równie zdecydowanie lub nie w tym stopniu.

Pracę unaturalniania siebie podejmować jest zdolny z całą energią i umiejętnością dopiero człowiek o pełnej samowiedzy, przeto dorosły. Toteż wychowanie jako dotwarzanie, osiąganie właściwego stosunku do życia, jako samowychowywanie się „starych", obejmie w państwie wszystkich dorosłych.

Jakże gmatwa się życie, gdy państwo nie wypełnia swych obowiązków względem ciał jako siedlisk ducha lub gdy Kościół zaniedbuje się i państwo musi sięgać do organizowania wnętrza. Wówczas zarówno państwo jak i Kościół wykazują czynności zasadniczo niezgodne ze swą naturą. Ile dziś Kościół traci sił, by wyręczać państwo w czynnościach społeczno-ekonomicznych. Jakże obciąża Kościół i zeświecczа tak zwana ogólnie katolicka praca społeczna kapłanów, jak paczy ona naturę hierarchicznego Kościoła i charakter pracy kapłańskiej. Czym może stać się Akcja Katolicka, jak nie wyręką głupca lub nieroba państwa? Dramatyczne te zjawiska specjalnie obserwować można u pewnych postaci. Tragedia Sawonaroli zaistniała, gdy kapłan odkrył w sobie polityka. Daleko szczęśliwiej było z Kordeckim. Niewłaściwości działań papieży z epoki średniowiecza i odrodzenia, ich wojny, mecenasostwa,

czymże były, jak nie łączeniem w sobie niepotrzebnych agend państwa? W współczesnej Akcji Katolickiej nic tak nie może razić, jak gdy świecki jest bardziej wewnętrzny od kapłana lub kapłan więcej od świeckiego— zewnętrzny. To nie tylko różnica „podejść", pożądana gorliwość, licytacja, rywalizacja, lecz nieporządek w naturze rzeczy, ruchome fundamenty.

Państwo, montując wnętrze obywateli przez organizowanie właściwego stosunku świata zewnętrznego do jednostki, wyzyska należycie rolę radości w — życiu politycznym narodu. Nic nie wywiera tak dobroczynnego wpływu na samopoczucie obywatela, jak jego czynność wewnętrzna i zewnętrzna, zgodna z sumieniem. Świadomość jedni swego narodu z Ojcem, zgodności własnej osoby — z samym sobą i narodem, dawać będzie radość życia ogromną, zatem nieskończoną ilość impulsów do pozytywnej ekspansji zewnętrznej. Z oczu Gigantów, z ich twarzy, ruchów, słów, ich woli czynu, nadziei i wiary promieniować będzie seraficka „radość doskonała". Co może być równe szczęściu Giganta? — To, co wykonywać będzie, czynić będzie tak, jak nikt przed nim. Skutkiem tego tylu wokół czynić pocznie jemu podobnie, więc pełnić dobrą wolę w większym stopniu, niż to kiedykolwiek działo się pod słońcem. Co więcej: tu, jeszcze na ziemi, biorąc żywy przykład z niego, tak wielu zostanie szczęśliwymi. Ogrom jego woli nie tylko czyny ludzkie ujędrni na stal, lecz rozszerzy granice radości, życie sercem wyzłoci, da życiu ludzi prawdziwy styl: wybrańców szczęścia.

Ustrój wychowawczy wyzwoli całą ofiarność; więcej: uczyni ją logiczną. Tu ofiarność natknie się na gló-

wnego wroga państwa — egoizm. Zaspokoi go w sposób skończenie społeczny — patriotyzm religijny. Wyrzec się wszystkiego „tu" możemy za wszystko „tam", za całkiem pewny pobyt u Ojca. Największa ofiara musi harmonizować z najwyższym szczęściem. Heroizm nie może nie być — skończoną mądrością.

Ten też patriotyzm nasyci nasz głód szczęścia społecznego. Dotychczasowy patriotyzm państw chrześcijańskich był tak cudaczny, okaleczony, jak ich sprawiedliwość. Uprzywilejowani nie mogli kochać ojczyzny całkiem bezinteresownie, bo przecież mieli się w niej lepiej od pozostałych; pokrzywdzeni nie chcieli nieść całej dla niej ofiary, bo żarła ich wolę krzywda. Aczkolwiek walki społeczne są stare jak świat, nigdy dotąd nie było tego, by wszyscy mogli korzystać z maksimum dóbr, i nigdy tak nie było, by wszyscy dać z siebie mogli maksimum dobrej woli. Zawsze ktoś krzywdził lub był krzywdzony. Nie pomagały ustawy, szubienice, rewolucje. Bo nie może być wpierw sprawiedliwość społeczna. Wpierw musi być wyższa moralność... rządzących. Wtedy równolegle do wzrostu poziomu ich etyki przychodzić będzie coraz doskonalsza organizacja państwa: bez gilotyn, czerezwyczajek itd. Kto próbował realizować sprawiedliwość bez moralności, brał się do rzeczy nie od tego... końca: namordował mniej lub więcej ludzi, by nieco później wszystko wróciło do mniej lub więcej starych norm. Stale wzrastająca moralność rządzących — rozkuje patriotyzm rządzących i rządzonych z pęt krzywdy i strachu przed ofiarą. Tym sposobem państwa osiągną maksymalną więź społeczną. Państwo jako jednia, ba — cała ludz-

kość, mieszczą się w Chrystusie. Poza Nim jest chaos woli, rozstrój, śmierć.

Giganci po prostu zastosują metodę naukowej organizacji pracy do — państwa. Ogromna ilość energii politycznej rządów i narodów spala się dotąd w państwach rozstroju na tarcia wewnętrzne, ulatnia się w próżnię. Wyznawanie przez całe życie państwa jednego światopoglądu, a więc uświadamianie sobie tego samego za zło i tego samego za dobro we wszystkich dziedzinach życia, zmniejszy niesłychanie ilość tarć społecznych. Gdy w dodatku wszyscy miast egoizmu manifestować będą miłość, a szczyty społeczne — miłość heroiczną, ilość dysharmonii spadnie do minimum. Wówczas wszystko, co jednostka ujawni, zazębiać się będzie harmonijnie o wolę otoczenia, a w konsekwencji w najdalszych kręgach oddziaływań — o wolę narodu, potęgując wydajność jednostkową i zbiorową do granic, o jakich się dziś nam nawet nie marzy.

Oczywiście, i wtedy zachodzić będzie między każdym posunięciem jednostki a aktami otoczenia pewna ilość tarcia, strata energii, jednak różnice te tym bardziej będą malały, im więcej czyny wszystkich ujawnią chrześcijańskiej miłości. Tą drogą osiągnie państwo granice doskonałego solidaryzmu: materii z duchem, jednostki z — sobą, narodu z jednostką, jednostki i narodu z Ojcem, harmonię — Dobra, Prawdy i Piękna.

Na konieczność wyznawania jednego światopoglądu przez całe życie państwa zwrócili uwagę tak genialni organizatorzy, jak Lenin i Hitler. „Führer" zmierza jedynie dlatego do unifikacji wyznań w swym państwie. Wyczuwa bowiem, iż one silniej niż wszystko inne rozdzie-

lają wolę narodu. Gdyby miał więcej odwagi, większy geniusz organizacyjny, scementowałby wolę Germanów z wolą Ojca i pierwszy by dał początek państwom Gigantów. Na razie kojarzy skorupkę narodu z własną wolą. A ponieważ żąda heroizmu więcej niż Kościół w Niemczech i z bohaterstwa tworzyć usiłuje nowe życie, rozdziera wolę Niemców bardziej, niż ktokolwiek dotąd. Toteż musi utrzymywać naród w stanie ciągłej psychozy-haszyszu. Bez tego rozlazłaby się mu... skorupka. Albowiem człowiek, zostający w spokoju na zewnątrz, lepiej widzi własne rozdarcie, mniej zatem zdolny jest do nielogicznej służby na rzecz światopoglądu podrobionego.

Nie może przeto być harmonii nawet w najsilniej scementowanych niekonsekwentnie, bo jeno zewnętrznie, państwach. Tego rodzaju twory polityczne, psychologicznie gorączkowe, trwać mogą jedynie tyle czasu, jak długo naród jest zdolny wytrzymać nerwowo, wywoływany sztucznie oficjalny zawrót społeczny. Potem skorupka pęka i zaczyna się dawne rozluźnione życie zewnętrzne, bliższe prawdy... rozdarcia człowieka na zewnątrz, by z kolei... i z powrotem... Bez atmosfery narkotyku-psychozy działał jeden jedyny bohater — Bóg-Człowiek. Bo jest tylko jedno zdrowe, ...higieniczne bohaterstwo: heroizm świętości. Jezus był cichy, geniusze-„wodzowie" muszą być aż psychopatycznie głośni.

Uwagi godne, iż ani Komintern, ni Hitler, czy Mussolini nie mieliby odwagi z równie szalonym rozmachem nawracać na katolicyzm czynny, co na komunizm, socjalizm narodowy, faszyzm. Łatwiej o tysiąc

zamurowanych świętych, niż o jednego polityka Giganta. Sugestywność ludzi-ciał, na oczach których „robi” polityk, bezwiednie tak go przeraża, że niesłychanie mu łatwo o lęk, wstydzenie się Pana Boga. Mimo to za życia i po śmierci „wódz” może uchodzić za bohatera. Świętych, organizatorów całego życia, polityków-świętych, dotąd nie było. Ich wielki zwiastun, Ludwik Święty, król francuski aż do dziś dnia się nie powtarza. Operować będą genialnie siłą na rzecz dobra, dadzą miłości ramiona ze stali, zestroją świat materii z światem ducha. Czekamy na archanielską ich czynność wśród świata.

Chrystus nie dlatego nie reagował siłą, że reagować tak nie trzeba, ale że czyny te byłyby w zasadzie natury politycznej, państwowej, gdy On był zainteresowany głównie wnętrzem. Była to reakcja kapłana, nie polityka. Podobna różnica ról zachodzi dziś na wojnie: inna jest tam rola żołnierza-katolika, a inna księdza-kapelana. Jednak Zbawiciel, jako Christus Militans, jest mało znany. Gdyby Jezus zareagował choć raz politycznie, musiałby trzymając się tej linii, zakładać państwo, zgodne w swych reakcjach zewnętrznych ze społecznością życia wnętrz, gdy tymczasem powołaniem Chrystusa było założyć Kościół. Tak — Chrystus i rozdzielił Kościół od państwa, i połączył go jednocześnie najściślej z państwem.

I obecnie do Kościoła należy budować Królestwo na wewnątrz, do państwa — na zewnątrz. Ponieważ buduje się w jednym i drugim wypadku człowieka naturalnego, gmach musi być jeden, choć dwu jest specjalistów budowniczych, zgodnie z dwoistą naturą czło-

wieka, dwojakim jego szczęściem: umierającym — ciała i nieśmiertelnym — ducha. Konkordat między Kościołem a państwem wypełnia przeto każdy... obywatel, gdy czyni wolę Ojca.

Giganci swój wpływ jako ludzie władzy czerpią stąd, że im który z nich pracuje na wyższym stanowisku, tym ofiarniej spełnia swe obowiązki. Nawet nakazy całkiem ogołocone z sankcji mają tu posłuch, bo prawodawca ujawnia tutaj stale więcej woli ofiarnej, niż ci, którym rozkazuje, razem wzięci. Naród zawsze tu wypełnia prawo, bo widzi, że je stale praktykują nakazodawcy. Siła władzy wzrasta tu tym bardziej, im bardziej się potęguje heroizm życia jej przedstawicieli, państwo zaś staje się wręcz wszechwładne, gdy ludzie widzą, że wolą jego coraz powszechniej jest to, co zgodne z Ojcem. W ten sposób począwszy od głowy państwa po ostatniego pariasa osiąga się tu harmonię oddziaływań wychowawczych. Stosować wtedy przymus fizyczny trzeba jeno do tego minimum ludzi, na których nie działa przykład elity rządzącej, doskonalącej ustawicznie swą osobowość przez służbę narodowi, doskonaloną w prostym stosunku do zajmowanych stanowisk.

Tą drogą państwo egzekwuje swe prawa bezapelacyjnie nawet w wypadkach, gdy czasowo lub lokalnie pozbawione jest siły fizycznej: czasu katastrof, wojen, na emigracji, gdzie nie sięga przemoc władzy macierzystej, przy częściowej, a nawet całkowitej utracie niepodległości. W ten sposób prawo pozbawia się tu werbalizmu, papierkowatości, a zbliża się potęgą swej natychmiastowej, powszechnej realizacji do praw natury,

władza zaś staje się dzięki temu wręcz wszechwładna, jakkolwiek jest skończenie wychowawcza tak w stosunku do całości jak do indywiduum. Oto czemu nikomu nie jest tak potrzebne wychowanie, jak tym, co rządząc, wszystkich wychowują, „starych" i „młodych": wszelkim stopniom hierarchii społecznej. Inne państwo byłoby bez egzekutywy moralnej bądź z jej minimum, zostałaby mu głównie przemoc, i własny rząd byłby w nim... zgrzytem, okupacją.

Jak natomiast jest w państwach wygody? — Ludzie tu lubią prawo głosić, pisać, nakazywać... słowami, bagnetem. Prawo bagnetu zawsze dowodzi, że nie słucha go „góra"; prawo słów — że nikt w nie nie wierzy. Kupa pstrych łaszków i zawiły ceremoniał zastępują wtedy coraz zupełniej tytuł moralny władzy. U „góry" powstaje wówczas bizantynizm moralny: władza „szatańska" „od Boga", na „dole" się zjawia niewolnictwo obywatelskie: powszechny strach, by się nie „narazić" tym, co rządzą; zaś „górę" i „dół" zaczyna łączyć tylko... nitka interesu. Kopnięcie brutalnej siły wystarcza, by państwo takie wraz z całym majestatem z szychu na poczekaniu się rozlazło.

Praw wydaje państwo tym mniej, im wyższa jest etyka życia całej hierarchii „starych". Dwa miliardy herosów-świętych potrzebuje tyle praw, co... dwoje ludzi. W państwach rozstroju natomiast uzgadniać trzeba wszystko wydawaniem coraz większej ilości ustaw, rozbudowywać trzeba ustawicznie administrację woli — papierową. Aliści papierek, nawet najgenialniej „wygotowany", nie sięga do wnętrza; więcej: inflacja praw zwyradnia prawo. Toteż im państwo powierzcho-

wne doszczętniej organizuje samą skorupkę życia, tym ilość papierów „urzędowych" staje się w nim ogromniejsza, jak również liczba praw i bezprawia. Mogłoby państwo zniszczyć „kawałki", ale rozsypałoby się momentalnie na bezpapierowe królestewka murzyńskie. Dalej bo nie sięga spoistość cywilizacji rozstroju, pozbawionej terroru dokumentu i terroru strachu-przemocy.

Prawo Gigantów reguluje życie zewnętrzne tak, by każdy w państwie mógł wychowywać samego siebie duchowo oraz by wszyscy społecznie sobie to umożliwiali. Odpowiednio do tego pilnuje, by przestępstwa nie wykolejały sumienia społecznego. Mimo woli bowiem, gdy człowiek widzi, jak inni czynią bezprawie, wnętrze jego się dezorganizuje: wola do dobra słabnie, a zło nabiera barwy dobra jako zewnętrznie dopuszczalne. Dlatego sądy wymierzają kary na miejscu przekroczenia prawa, by sumienie społeczne otoczenia, które zachwiało się na skutek dokonanego w jego oczach zła, doszło w osobach otoczenia, świadkach egzekucji — do dawnej równowagi. A więc — nie wizja przestępstw, lecz wizja lokalna — sprawiedliwości.

Państwo nie sięga tu do przekroczeń wewnętrznych. Wie, że jest wobec wnętrza człowieka bezsilne: nie może go karać, ni tam fizycznie ingerować. Nawet badając pobudki złego czynu, wola musi położyć kres dociekaniom. Toteż sprawiedliwość dotychczas gmatwała się, gdy chciała poznać wszystkie pobudki wewnętrzne złego czynu i odpowiednio do tego różniczkowała swe przepisy. Nie zdołała poznać ich nigdy całkowicie. Wszak inteligentny, sprytny złoczyńca mógł do woli

symulować pobudki. W dodatku analiza pobudek odwlekała termin sprawiedliwości, zwłaszcza gdy oskarżony miał dość pieniędzy. Nie wchodziło się natomiast jednocześnie w to, jak się ten sam przewód odbywał poza... sądem: w życiu wnętrz, w formowaniu się tam woli obywateli. Zaistnienie przestępstwa czyni wszak wyłom w sumieniach członków społeczeństwa, dezorganizuje ich wnętrza, osłabia tam dobrą wolę, skłania niejako do przestępstwa i to właśnie, a nie sama zbrodnia, stanowi społecznie największe zło. Opinia, sumienia wnętrza czekają tedy na najszybszy wymiar sprawiedliwości, ściślej: na odstraszenie samych siebie od ujawnienia na zewnątrz podobnej woli. Tymczasem przewód się wlecze — zło blaknie, maleje; szuka się bowiem pobudek, okoliczności, których oskarżony tym bogatszą kolekcję może podsuwać, im jest... bogatszy; aż wreszcie przestępca zostaje ukarany nie za samo zło, o którym wszyscy wiedzą, które wolę wszystkich osłabiło, a za okoliczności, które mógł... przygotować, tworzyć oraz za pobudki, których nikt na pewno nie znał, które zatem nikogo konkretnie nie obchodzą, bo każdy nosi w sobie własne pobudki zła.

Sprawiedliwość nie może się zjawiać wolniej niż zbrodnia, z mniejszą siłą, lichszym wymiarem; inaczej stale efekty zła miałyby w świadomości obywateli przewagę nad stwierdzaniem dobra. Dowodziłoby to współpracy sprawiedliwości z przestępstwem.

Usiłując za wszelką cenę dociec — słabości woli zbrodniarza, starano się mimo woli usprawiedliwić zbrodnię. Szczególnie silnie się to ujawniało w procesach o zabójstwo, gdy żaden sąd nic nie mógł pomóc zmar-

łemu, natomiast mógł i gotów był aż do uniewinnienia bronić zabójcy.

W prawie konsekwentnym zmarłego broni morderca, podpisując własnoręcznie na siebie wyrok śmierci. Gdy nie ma na to odwagi, ginie i tak, lecz w opinii nie-człowieczej: — tchórza! Również nie potrzebuje tu przestępca koniecznie adwokata i pieniędzy, lecz samooskarżenia. Prokuratorem jest oskarżony, ilekroć nie jest tchórzem. Tylko w ustroju nieśmiałym potrzebny był prokurator i adwokat: pierwszy — by oskarżać tchórza, który się bał sam to uczynić, drugi — by stosownie do zapłaty bronić słabiej lub silniej tchórza, który się bał cierpieć.

Prawo, nie śmiejąc zabić zbrodniarza, uważało snać, że zabić może tylko... morderca. Usuwając karę śmierci, stwierdzić pragnęło, że największym dobrem jest życie... zabójcy, dla którego natomiast życie ofiary nie było wcale tym dobrem, skoro mu je odebrał. Wyżej ceniono więc życie mordercy niż... zabitego. W tej logice humanitarnej zabity zostawał zawsze... ofiarą: tak w oczach humanitarnego prawa, jak niehumanitarnego złoczyńcy. Krótko: prawo bało się zabić słusznie, zbrodniarz nie bał się mordować. Zły posiadał więcej praw do zła, niż dobry do dobra.

Prawo rozstroju nie było, zresztą, pozbawione logiki: celowość zbiorowisk goniła za własnym ogonem, a normy wychowawcze idyllicznych kodeksów karnych usiłowały co jakiś czas zniszczyć zło, pozwalając na... zło: bo gdy sądy notowały pewne przestępstwa jako nagminne, wykreślano je z kodeksów, czyniąc tym samym zło — dobrem... To popieranie każdego zła, byle

uprawianego powszechnie, iść mogło w nieskończoność, bo zło nie ma... dna. Sielankowe zbiory praw bały się powstrzymać zło, swój strach nazywały postępem, a wystraszonych karzełków, kompozytorów „usiępliwych" paragrafów — „nowoczesnymi" prawnikami.

Prawo wychowawcze nie jest surowe, lecz konsekwentne. Jego twórcy są wpatrzeni — nie tylko we wnętrze przestępcy, nie szukają tam z podziwu godną sympatią, co by mogło go uwolnić, a — we wnętrza wszystkich obywateli, zwłaszcza w ich wolę, igłę magnetyczną sumień, w stopień jej odchyleń na skutek zaistniałego przestępstwa, w linię zamierzeń ich świadomości i podświadomości.

Prawo jutra jest tedy wyłącznie społeczne, broni i umożliwia harmonię zewnętrzną życia, ale jako prawo zestroju jednocześnie wewnętrzne jest o tyle, że wszystko w nim jest zgodne z prawem harmonijnego życia wnętrza jednostki. Jest prawdziwe, bo można je zawsze zredukować do Dwu Praw Miłości oraz z dwu tych praw wywiązać. Sędzia nie sądzi tu nigdy wbrew woli Ojca. Inny sędzia byłby zbrodniarzem. Jasne więc, że w wykonaniu praw biorą udział zasady Kościoła.

Dopiero też w zetknięciu z Kościołem, na spowiedzi, każdy ujawnić może w całej pełni pobudki swego przestępstwa, zarówno tchórz jak i bohater. Tutaj wyłącznie winowajca może się sam swobodnie oskarżyć. Istotną prawdę zła zna bez wizji, świadków i niemrawej procedury nie sąd, a spowiednik. Sąd, wymierzając karę, naprawia zbrodniarza z zewnątrz oraz wpływa na porządek zewnętrzny poza zbrodniarzem —

u zainteresowanych. Spowiedź reguluje porządek społeczny wewnętrzny winowajcy, gdyż usuwa winę i zło z wewnątrz, odpuszczając grzech, o ile, oczywiście, winowajca żałuje i stanowczo postanowił nigdy nie być przestępcą.

Kościół więc uzupełnia prawo, sięga do źródła zła, do wnętrza i tam zło niszczy. Więcej: Kościół uprzedza prawo, bo usuwa w ogóle wolę do złego, nie dopuszczając w ten sposób przestępstwa. Przeto im więcej sądów spowiedziowych, tym mniej zewnętrznych przekroczeń prawa. Prawo fizyczne korygować musi tylko wolę tych jednostek, w których wnętrzu zapanowała anarchia. Dlatego też, jeżeli gdzie, to nie będzie więzień u ludów o stale uporządkowanym wnętrzu. Oto czemu spowiedź jest tyle aktem państwowym, społecznym, co indywidualnym, religijnym. Wymaga od przestępcy samooskarżenia się i bezwzględnego zdecydowania się na realizowanie odtąd dobrej woli. Jest też spowiedź urzędem o jednym jeno... urzędniku, bez świadków, papieru, aktów, dokumentów. I to wystarcza. Tak heroizm w stosunku człowieka do samego siebie, jako do syna Boga, upraszcza do minimum procedurę prawną. Podobnie heroizm upraszcza i inne agendy życia. Dzięki temu państwo świętych o bezmiarze bogactw dóbr i form życia będzie konstrukcją zdumiewająco prostą, z minimum praw, administracji, kosztów.

Prawo nie jest równe: inne jest dla tych, których wychowuje zasadniczo rodzina — dla dzieci i młodzieży; inne dla wychowujących i samowychowujących się — małżonków, rodziców, wszelkiej władzy, ogółu „sta-

rych". Dalsze rozróżnienia pochodzą stąd, że im kto wyższe zajmuje stanowisko, tym doskonalsze obowiązuje go spełnianie czynności „prywatnych" i urzędowych, w tym większej więc mierze obowiązuje go i uprawa samowychowawcza, gdyż wywiera większy wpływ ujemny lub dodatni zależnie od tego, ile wysiłku kładzie w doskonalenie własnej osobowości.

Prawo nie kusi się o to, by przewidzieć wszystkie rodzaje zła, czy dobra, każdy ich stopień, ocenę, bo i zło i dobro różniczkować się może w życiu w nieskończoność, lecz dawane jest minimum prawne wszystkich obowiązujące.

Odpowiednio do tego stosuje się tu sankcje: tym większa kara, im wyższe stanowisko przestępcy. Przestępstwa nie kwalifikuje sam czyn, lecz i stanowisko. Egoistów-zbrodniarzy osadza się na specjalnych wyspach. Każda z nich przeznaczona zostanie dla tego samego rodzaju przestępców. Będą tam żyli wolno, a że wśród sobie podobnych, więc nieegoistycznie, bo poznawać będą na własnej skórze wartość zbrodni. Nie ma zbrodniarzy wśród zbrodniarzy, dlatego w Sowietach może być pod niejednym względem najwyższa zewnętrznie moralność. Czymże odstrasza kara śmierci, jak nie tym, że morderca jest pewny, iż się znajdzie ktoś, co go też zabije. Żeby nie było zabójcy-kata i sadysty-więzienia, zbrodniarz nie znałby hamulca. Przeto należy mu warunki wychowawcze ułatwić, a więc czym prędzej go wysłać do takich, jak on... wszystkich.

Podobnym więzieniem jest piekło. Odkrywa tam człowiek i szatan ustawicznie swą wartość — pozbawioną Łaski. Toteż szatan, acz wie od praczasów, że

źle czynił, czyni źle dalej jedynie z bezwoli-rozpaczy, która jest dlań piekielną z kolei nudą, rozdrapywaniem siebie... w nieskończoność.

Nudą w... tempie przyśpieszonym stanie się wśród przestępców dla przestępcy — zło. Ale ma on siły, może je mieć, by zacząć czynić dobrze: może wszak zabiegać o Łaskę, pokrewieństwo i pomoc Ojca; szatan zaś Łaski nie otrzyma, czynić zatem dobrze nie będzie, bo nie może dobra czynić — sam. Więzienia-wyspy będą przeto miały możliwości rozwojowe wychowawcze, ale mocno cofnięte. Dlaczego? — Bo wychowanie będzie tam stale musiało zaczynać od usuwania zdecydowanego egoizmu, coś jak obecnie w naszych ustrojach, gdzie ciągle zaczyna się od wychowywania tylko... dzieci, by podnieść moralnie... narody.

Zasadniczym podatkiem państwowym i religijnym jest — podatek krwi: dzieci. Żołnierstwem kobiety — macierzyństwo. Obywatelem zostaje się tu, gdy się złoży ślubowanie samowychowywania się, czyli założy rodzinę. Specjalnych praw nabywa obywatel, ojciec rodziny, z przyjściem na świat każdego nowonarodzonego dziecka. Samotnicy uzyskują obywatelstwo bądź jako kapłani lub zakonnicy, bądź jako współczłonkowie rodzin małżeńskich przez oficjalny do nich akces, bądź jako ofiarnicy narodowi przez zawarcie specjalnych ślubów z narodem, których rytuał ściśle świecki państwo ustanowi. Kto zostanie poza tymi kategoriami, nie będzie prawnie członkiem narodu, nie będzie bowiem miał naturalnych warunków, by jako dorosły, „stary", mógł wychowywać samego siebie.

Mało co jest tak jasne, że moc i wielkość państwa zależy od ilości ludzi samowychowujących się przez małżeństwo i Łaskę. Potęgę rodziny poznał naród polski będąc w niewoli. Pozbawiony własnego wychowania państwowego, wychowywał się narodowo w rodzinie. Tam skryła się Polska, tam rosła, krzepła. Rodzina ocaliła narodowość i niepodległość. Historia Polski niewolnej — to historia rodziny polskiej. Już to samo daje jej najwyższe świadectwo jako instytucji wychowawczej. Czy nie w daleko większych granicach powstałaby Rzeczpospolita, gdyby polskie rodziny szlacheckie chciały mieć zawsze naturalną ilość dzieci? Czy miliony naszych samurajów, mających we krwi tysiąc lat przeszłości rycerskiej i władczej, nie daliby tęższych zrębów zmartwychwstałej Polsce, większych w roku 1918 kadr amii? Jakby na skutek tego wyglądał choćby polski Wschód? Klęską było to, iż żony karmazynów nie bardzo chciały w ostatnich pokoleniach rodzić. Z drugiej znów strony — co bardziej ratowało nasz byt, jak nie to, że chłopki-Polki wydawały na świat stale, wbrew nędzy i krzykowi egoizmu, tyle dzieci, ile ich naturalnie na świat przyjść miało? Ilu liczyłaby Polska Polaków i czy możliwa byłaby wolność, gdyby żony chłopów, odkąd zaczęło to być modne, bawiły się też w jedno dziecko? Co prawda, wygodniejszy byt zapewniłyby jednostkom, niż rodzonym w nędzy gromadom, lecz zgubiłyby nasz byt wspólny, narodowy.

Państwo zaczyna się rozsypywać, odkąd w porównaniu z sąsiadami, żyjącymi na równej wielkości terytorium, mniej ludzi na świat wydaje. W państwie narodowościowym ten naród w istocie jest panem, który, acz

w mniejszości, stale wzrasta. Nauka, pieniądze, przemoc i tak zwana „wyższa" kultura narodu tymczasowo większościowego nie mają żadnego znaczenia, gdy naród zależny politycznie, naturalnie się rozmnaża i w rodzinach się ukształca. W dodatku gdy uciemiężeni zdołają swe doskonalenie się rodzinne wyżej postawić niż ich czasowi panowie, zdobywają niepodległość bez żadnej rewolucji.

Rywalizacja kultur narodowych trwa stale, lecz dojdzie do zenitu, gdy pierwsze państwo zwiąże się w ustrój Gigantów i stanie się na tej drodze siłą cywilizacyjnie atrakcyjną dla całego świata, najsugestywniej zaś dla państw sąsiedzkich, których niepodległość na skutek tego zachwieje bez oręża.

Atoli nigdzie uroda heroizmu nie ujawni się tak całym swym czarem, jak w sztuce rodzinnej. Twórcy Giganci wyzwolą piękno tak urzekliwe jek serce matki. Już wkrótce na czoło tematów wejdzie postać Chrystusa Pana. Nie tylko za Nim, ale i z Nim pójdą artyści, twórcy, piękno i — wszystkich SZTUKA ŻYCIA.

Wyłącznie budowa wychowawcza państwa poręcza, że im członek narodu będzie ofiarniejszy, tym może być w swej ojczyźnie szczęśliwszy; że naród, pozostając w jedni z Ojcem, urzeczywistnia swój program polityczny i kulturalny organizacyjnie najwyższy, bo program Opatrzności; że te jeno też narody dać mogą z Ziemi — RODZINĘ STWÓRCY.

Ustrój ten woła o ręce Gigantów.

VIII

ZIEMIA

W myśl prawa harmonii życia postęp gospodarczy jednostki i ogółu nie jest czymś samoistnym, lecz powstaje równolegle do postępu moralnego, stając się jednym z jego wyników i jednym z jego towarzyszów. Wszak już wiemy, że nie istnieje sama moralność; toteż gdy obywatel żyje moralnie coraz wyżej, jednocześnie musi się zmieniać na coraz lepsze jako gospodarz, by, tworząc nowe dobra i lepszą ich organizację, umożliwiał sobie trwanie na wyższym poziomie etycznym oraz dalszą rozbudowę życia etycznego, a wraz z nim — kulturalnego w ogóle. Tak samo im państwo wyżej podnosi moralność narodu, tym jednocześnie bardziej wzbogaca ilość i jakość dóbr oraz tym wydajniej ulepsza organizację swej gospodarki. Do jakiego stopnia rozwój moralny zmienia ekonomię, dowodzi choćby życie zakonne: kto tam wstępuje, by naśladować Chrystusa, musi zaprzysiąc na całe życie osobiste ubóstwo. Mieć własność może tam tylko rodzina zakonna, inaczej rozpadłby się zakon jako instytucja samotniczych świętych.

Ale zakon jako rodzina musi posiadać własność. Podobnie nie istnieje państwo bez własności. Gdy w tej własności posiada wszystko niezbędne do rozwoju swej kultury, może mieć wolę politycznie niepodległą, a to pozwala mu, z kolei, doskonalić ją swobodnie na wolę państwa Bożego. Analogicznie jest z rodziną. Ojciec, matka, ni dzieci — pojedyńczo — nie potrzebują mieć własności, ale jako rodzina mieć ją muszą, by dzięki niej mogli się swobodnie wychowywać małżonkowie-rodzice oraz by mogły wychowywać się dzieci. Własność jest tyle warunkiem, co towarzyszem doskonalenia się rodzin samotników, rodzin małżeńskich i państwa, tak jak bez ziemi nie byłoby ludzkości.

Znamienne, że człowiek, gdy coraz wyżej dąży do doskonałości etycznej, musi wytwarzać jednocześnie właśnie te dobra i formy gospodarcze, które prowadzą wprost do samowystarczalności państwa i wszystkich w nim rodzin. Każde zachwianie się woli, każdy jej upadek prowadzą, na odwrót, do niewolnictwa gospodarczego rodzin i państwa, a w międzyczasie do takiego stanu, gdzie bogactwa przeszkadzają bogatym żyć moralnie, a nędza utrudnia to biednym. Bezwzględna konieczność samowystarczalności rodziny szczególnie się ujawnia, gdy całe życie społeczne tonie w rozstroju, a któraś z rodzin chce za wszelką cenę żyć po chrześcijańsku. Uratuje swą dobrą wolę, gdy zdoła własnymi rękami, z własnych środków zapewnić sobie trwałe egzystencję: inaczej padnie. Co prawda, bez niezależności materialnej można zawsze żyć moralnie, ale żyje się nienormalnie krótko, niewiele można wtedy dobrego zrobić i trzeba wyłącznie po męczeńsku, bo wpa-

da się w konflikt z opinią publiczną lub ginie z wyczerpania gospodarczego. Dowodem tego koniec apostołów i wielu świętych, los chrześcijan jawnych w Bolszewii, ucieczka katolików zależnych gospodarczo — urzędników, od udziału w akcji katolickiej w państwach masońskich (ze strachu o... posadę). Jest to tylko jeden z potwornych zgrzytów w kakofonii życia ustroju-rozstroju.

Przez własność jest uwarunkowana ciągłość wszelkiej pracy wychowawczej. Stąd wynika obowiązek posiadania własności przez każdą trwałą instytucję wychowawczą. Gdy własność pozwala właścicielowi na większą niezależność gospodarczą, swoboda jego do czynienia dobrze wzrasta. Z drugiej strony stały rozwój dobrej woli pozwala na osiągnięcie całkowitej samowystarczalności każdej rodzinie: samotniczej zakonnej, małżeńskiej, państwowo-narodowej. Tak więc autarkia utrzymać się może tylko dzięki powszechnej w państwie uprawie wysokiej moralności, przy czym towarzyszy jej wtedy autarkia wszystkich z osobna rodzin, suma zaś bogactw każdej z rodzin i całego państwa-rodziny zmierza ku maksimum, a więź społeczna staje się wówczas najściślejsza i wyłącznie duchowa. Ten kierunek gospodarczy wytwarza, z kolei, takie warunki materialne życia, które — już technicznie — ograniczają coraz bardziej ujawnianie się zła. Ustrój niewychowawczy uniemożliwia samymi warunkami życia bardzo wiele zjawisk moralnych. Ów związek autarkii z moralnością wywoła w państwach jutra niesłychane zainteresowanie się ziemią. Dlatego najbar-

dziej charakterystyczną cechą ładu jutra będzie jego związek z ziemią.

Na razie pracownikiem i gospodarzem typowym jest człowiek, który nie umie i nie lubi pracować w ziemi. Człowiek ten nie rozumie ziemi, nie zna jej prawd.

Ziemia jest tym w życiu gospodarczym, czym rodzina w wychowawczym. Gdy państwo wpada w perwersję ekonomiczną, upadają wszystkie warsztaty pracy, oprócz warsztatu naturalnego: jednej rodziny na własnej zagrodzie. Tylko ziemia nie może zbankrutować, tylko rodzina na niej osiadła dojść może do stanu, w którym nie potrzebuje do nikogo wyciągać ręki, będąc władną wieść samodzielny byt gospodarczy. Rodzina jako instytucja społeczno-wychowawcza i ziemia jako warsztat pracy rodzinnej są niezniszczalne, najważniejsze. Narody, które rozumiały rodzinę i ziemię, istnieją do dziś. Rozwój miłości do pracy w ziemi i miłości rodzinnej szedł zawsze w parze i decydował o życiu narodów. „Nieczystość" w życiu ekonomicznym, tj. opieranie ekonomii państwa nie na ziemi, niszczyła narody i państwa lub czyniła je złodziejami międzynarodowymi. Jakże inna byłaby rola Żydów w życiu świata, gdyby dwa tysiące lat temu osiedli bezpowrotnie w ziemi. Co ich wynaturzyło, co kazało dążyć do takiej ekonomii, gdzie oni jedni mieliby prawo okradać świat cały, czyli panować nad światem, jak nie ekonomia pozaagrarna, a więc ekonomia z natury swej oszustwa? Czym się tłumaczy ich ustawiczna wędrówka, jeżeli nie tym, że nie można kraść zbyt długo w jednym miejscu? Co zdeprawowało arystokrację europejską, jak nie to, że coraz bardziej z daleka interesowała się

ziemią? Czy nie to zniszczyło naszą szlachtę, że zamiast sama pracować na roli kazała to czynić chłopom? Co z chłopów czyniło zawsze miazgę narodów, jak nie praca i siedziba w ziemi? Któremu zajęciu najmniej oddawali się Rzymianie w okresie upadku imperium, jak nie rolnictwu? Czy nie tym słabi są biali w koloniach, że nie siedzą na roli rodzinnie, każde małżeństwo białe na własnym gospodarstwie, a bytują głównie w urzędach, nawet najwyższych?

Można w kraju panować, ale nie jest się jego właścicielem, pokąd każdego kawałka ziemi rodzinnie, własnoręcznie rządzący nie uprawiają. Na naród, zewnętrznie, składa się ziemia i ludzie. Naród staje się panem materialnie w całej pełni, gdy wszystkie jego rodziny pracują na własnej ziemi, gdy każda z nich jest osobiście niepodległa gospodarczo.

Dlaczego typ człowieka cywilizacyjnie „wyższego" odchodził od ziemi, warsztatu naturalnego, a zostawali na nim „najmniej" cywilizowani? — Powodem była wygoda. Zamiast obmyślać coraz inteligentniej sposoby pracy na roli — wymyślano z niesłychaną inwencją inne sposoby bytowania, byle nie w roli. Jeszcze dziś chłopi polscy, gdy który z nich opuszcza ziemię, mówią o takim, że „idzie na lekki chleb". Masową ucieczkę z ziemi można było obserwować w Helladzie przed jej rozpadem politycznym; a później stała się tak powszechna, że nic w tym już nie upatrywano znamiennego. Czym było Wieczne Miasto od wieku I do V, jak nie zbiorowiskiem ludzi, którzy wszystkim gotowi się byli oddawać pracom, byle nie w ziemi? Dlaczego po-

tomkami Rzymian w ich dawnych prowincjach są... ruiny? — Siedzieli w miastach.

Inteligentna, autarchiczna praca na własnej roli wymaga nie tylko trudu fizycznego, lecz wybitnej pracy myśli, głębi jej perspektywy, wysokiej godności własnej, pędu do twórczości, poczucia pańskości, zmysłu odpowiedzialności, potężnej siły woli i wszechstronnej wiedzy. Obranie ziemi jako warsztatu pracy nie jest decyzją na dziś, lecz najczęściej na całe życie, tego bowiem wymaga natura ziemi. Inne warsztaty pracy są mniej lub więcej płynne, wegetatywne, newralgiczne, uzależniające byt gospodarczy człowieka od konwulsji koniunktury. Toteż tylko zawód rolnika ma znaczenie stabilizacyjne.

Rolnictwo jest też najbardziej wychowawcze. Ziemia jest sprawiedliwa: oddaje jedynie to, co się w nią włożyło. Najmniej z niej otrzymuje typ ekonomicznego oszusta. Nie pomogą tu: giełda, banki, inflacja, deflacja, dewalucja i wszystko to, czym świat obdarzany jest tak hojnie przez ekonomię wygody. Rzucanie roli było ucieczką od heroizmu do wygody, fajerwerkowego wysiłku, od produktu ziemi do — pieniądza, od człowieczeństwa do niewolnictwa, najemnictwa. Zagroda rolna, to mikrokosmos — wychowawczo, gospodarczo i politycznie. Inteligentna, ofiarna w niej praca jest tym dla ciała, czym Łaska dla ducha.

Jako wynik kultury podrobionej rosły miasta, kurczyły się wsie. Im więcej w państwie było ludzi bytujących bez... pokrycia, tym więcej posiadało ono wielkich miast. Miasta-molochy — to przede wszystkim olbrzymie skupiska egoizmu gospodarczego. Gdyby

ludność ich naraz zaczęła żyć uczciwie, już jutro wywędrowałaby... na wieś. Do jakiego stopnia fałszywa ekonomia jest zasadą życia miast, dowodzi kryzys obecny: miasta białych nie mają kogo masowo oszukiwać, więc przystanęły z produkcją.

W czym tkwi brak ekonomiczny miast? — W tym mianowicie, że nie mają pokrycia w ziemi, że żyją sztucznie. Miasto — to sklepik, urząd, fabryczka dla wsi chorobliwie rozdęte, potwornie luksusowe. Gdy wieś może naraz zostać odcięta od świata i dalej żyć, z czasem nawet pełnią cywilizacji, to miasto, oddzielone na dzień od wsi, nazajutrz pocznie konać.

Jest coś ekonomicznie przerażającego w tych setkach kilometrów kwatratowych ziemi, zaplombowanych szczelnie kamieniami, w których miliony ludzi oraz miliardy szczurów tworzą cywilizację życia... na kamieniach.

Że miasto jest oszustwem, dlatego w nim tyle reklamy. Wielkie miasto jest wręcz niebezpieczeństwem państwowym najgroźniejszym materialnie. Przyszła wojna, która obróci w proch ogniska dżumy ekonomicznej — wielkie miasta, spełni swą rolę cywilizacyjną, gospodarczą, usunie ostatecznie zewnętrzne przyczyny kryzysu.

Jest coś moralnie potwornego w tym sznurze tysięcy sklepów, gdzie jedyną czynnością handlarzy jest najtaniej kupić, najdrożej sprzedać... bliźniemu, współobywatelowi, synowi Stwórcy. Spryt, żonglowanie oszustwem, dyplomacja, polityka, rachunek życiowy są cechami czysto mieszczańskimi. Nikt tak nie umie oszukać, jak człowiek z miasta; nikt tak nie potrafi żyć z niczego i za nic; nikomu tu tak nie jest dobrze, jak

wielkim szachrajom. Nie od wartości umysłowych i moralnych, ale właśnie od skali sprytnego „podejścia" do człowieka i sytuacji zależy tu dobrobyt; bogactwa zaś mają skłonność skupiać się tutaj w rękach nielicznych, stając się przekleństwem nie tylko ich życia moralnego, ale i wzorującego się na nich — życia pozostałych rodzin, najemniczych, żebraczych, czyli inteligenckich i proletariackich.

Toteż prawdziwą gehennę znajdujemy w rodzinie miejskiej. Tu kultura rozstroju osiąga swe szczytowe dno. Tu się rozpoczął ubój dzieci, tu rzeź niemowląt szaleje epidemicznie i idzie w zawody z ubojem w olbrzymich miejskich szlachtuzach, zdobywając nienotowane na tej olimpiadzie „postępu" rekordy. Tu najczęściej spotykamy rodzinę typu „pan, pani pies". Tu wszystkie mieszkania, co najsłoneczniejsze, najbardziej higieniczne, obszerne — zajęli: pies, pan i pani; czasem — jedno z nimi, nieustalonego pochodzenia dziecko; jedynak, typ obywatela-egoisty, nie wiadomo, czy egoistycznego więcej, czy neurastenicznego. Rodziny nieegoistyczne, z dziećmi giną na strychach, w norach, barakach lub w pośledniejszego rodzaju lokalach. Tu także spotykamy koszmarne społecznie zjawisko, że rodziny nie posiadają domu, a mieszkają w czasowo odnajmowanych olbrzymich klatkach na ludzi — kamienicach, gdzie mają za stały grunt pod nogami... podłogę. Z nienaturalnego życia rodzin, które znajdują tu najtrudniejsze warunki rozwoju samowychowawczego i gospodarczego, płyną już dalsze konsekwencje: sztuka panseksualna, twórcy „Rozporkiewicze", ekonomia giełdy, kobieta-trumna, szkoły-koszary, domy rozpusty

na dwie, trzy i więcej osób, czyli postępowe małżeństwa, oraz neurasteniczny ruch naukowy, ekonomiczny, społeczny — tchórzowskiej woli... i aut, i... nóg... Gdyby wycisnąć, leciałby z tego strach i wygoda, i nędza, i mądrość przerażająca.

Odstępstwo od ziemi oddawało jednostki twórcze w niewolę ludzi pieniądza, tworzyło warstwę inteligentów-służących. Pierwsi dali ten typ Grecy jako służących-wodzów, służących-uczonych, służących-artystów, służących-polityków, służących-nauczycieli. Takim służącym u Filipa Macedońskiego był Arystoteles. Za pieniądze greccy inteligenci mogli być wszystkim: wynajmowali swą duszę, jak Greczynki — ciała. Bo twórca może być najwyżej służącym, gdy nie ma własnych podstaw ekonomicznych, gdy sam nie pracuje i nie żyje z własnej roli, gdy dochodu z niej nie uważa za wystarczający do twórczości. Gdy pragnie dochodu także z własnych dzieł, musi już wpaść w zależność, zatracić mniej lub więcej swą godność, stać się służącym. Bez heroizmu nie ma wówczas twórcy, zostaje twórczość liberyjna, najemna, niewolnicza. Musi więc tkwić twórca we własnej ziemi w interesie samej sztuki i nauki, skoro nie dość ceni samego siebie; musi przeto pracować na własnej zagrodzie, a dopiero poza tym oddawać się swemu specjalnemu powołaniu.

Gdy wejrzeć na skrybów egipskich, wyzwoleńców rzymskich — Greków, urzędników renesansu, oświecenia oraz na dzisiejszą inteligencję, czy nie uderzą nas w ich „charakterze" oblicze służących? Najgorzej, że utrzymankowie-służący... rządzą nami, kierując losami cywilizacji grecko-rzymskiej. Przeto trzeba im dziś

bardziej niż kiedykolwiek heroizmu, by nie uprawiali więcej prostytucji duchowej. Należy ponownie wyzwalać... Hellenów XX wieku. Muszą tedy inteligenci wrócić do ziemi, by heroizm ich miał... pokrycie; inaczej, gdy zechcą być ludźmi, a nie przebudują gospodarczo ustroju, mogą najwyżej męczyć się, ginąć bohatersko. Dalsze sługusostwo tej sfery sprowokuje rządy, by wprowadziły nowe niewolnictwo: pańszczyznę inteligencji.

Życie etyczne nie jest zatem jeno czynnością woli, jest w tym samym stopniu czynnością rąk. Tak też to rozumiał święty Paweł, gdy nie bacząc jak niesłychanie drogi dla zbawienia świata czas traci, zarabiał na siebie rękodziełem. Żaden książę Kościoła nie był tak niezależny jak apostoł narodów, o ile również całkowicie sam siebie nie utrzymywał. Ten osobisty prymitywizm ekonomiczny jest gospodarczą podstawą każdego drugiego Chrystusa, nawet gdy jest nim samotnik-Gigant.

Na gwałtowną potrzebę „porządku ziemi" natkną się Giganci, gdy usiłować będą za wszelką cenę do życia wszystkich ludzi wprowadzić Chrystusa. Wówczas zobaczą całą mękę dobrej woli, gdy jest spętana niemoralnym ustrojem gospodarczym. Wrócimy wtedy do ziemi. Już na początku przebudowy, w miarę wzrostu liczby rodzin samostarczalnych i wzrostu poziomu ich samostarczalności, wolność woli do dobrego coraz bardziej będzie wzrastała oraz tejże woli — heroiczność, aż wreszcie święci stworzą ekonomię doskonałą.

Podstawą niezależności materialnej rodzin i państw Gigantów jest ziemia. Każda rodzina ma nie tylko swój

dom, ale i ziemię, z której umie tyle wydobyć, ile jej trzeba na pełną egzystencję. Dzieje się tak po prostu dlatego, ponieważ ziemia jest jedynym tworzywem, z którego można otrzymać wszystko. Bo czy jest coś, co nie pochodziłoby z ziemi? Trzeba tylko umieć z niej wszystko dobywać na własnym, małym, choćby minimalnym terenie.

Odpowiednio do tego zorganizowane jest tutaj szkolnictwo, odrębne dla dzieci i młodzieży, odrębne dla dorosłych, „starych". W szkole Gigantów jest się przygotowanym materialnie do małżeństwa i obywatelstwa, bo uczy się tu wprost z minimum ziemi wydobywać własnymi siłami, najwyżej z pomocą osób najbliższych — maksimum wartości koniecznych, potrzebnych, a nawet luksusowych, dla własnej rodziny. Dzięki temu umie się być na nikłym obszarze ziemi najbogaciej samowystarczalnym.

Pozwala na to olbrzymia wiedza przyrodnicza i maszyna... rodzinna, maszyna-prymityw, obsługiwana przez jednego człowieka; im doskonalsza, tym mniejsza, prostsza, zatem do zrobienia przez każdego przy użyciu minimum środków możliwa, do zastosowania łatwa. Maszyna służy tu etyce, dlatego jej rozwój jest naturalny, harmonizuje z resztą życia; inaczej, jak wszystko, co użytkowne, a wzrostowi etyki nie służy — wyrodniałaby, stając się piaskiem... w maszynie życia.

Takim to piaskiem, niczym więcej, jest przygotowanie inteligenta do życia w dzisiejszej szkole.

Jakże przerażają te miliony młodzieży, śpieszące codziennie z książką do szkoły, by tam usiąść na ławce, potem wrócić znów do książki w domu i nie oglądać

naukowo lata całe ziemi, nie umieć zastosować inteligentnie do ziemi całej wiedzy i umiejętności szkolnych. Jak długo będziemy oszukiwali swe dzieci, że taka szkoła pozwoli im, gdy dorosną, żyć po ludzku? Wyrwani z ziemi, zawisną wszak w próżni, gotowi do wszelkiego rodzaju niewolnictwa. Szkoła rozbraja z warunków gospodarczych do człowieczeństwa, przygotowuje białych do komunizmu, zwłaszcza zaś inteligenta i zawodowca. Uczą się oni nie po to, by sami sobie stwarzać egzytencję, lecz by czekać na „danie" im pracy. Szkoła ubezwłasnowolnia inteligenta całkowicie, gdy mu daje wiedzę li tylko abstrakcyjną, z powodu czego inteligent-proletariusz jest większym niewolnikiem niż robotnik. A niewolnik to nie jeno obszarpaniec. Niektóre formy niewolnictwa wymagają nawet wytwornego stroju, wykształcenia, a nawet pałaców i zamków, jak kabaretowa prostytucja, bandytyzm wielkomiejski, dyplomacja komunistyczna lub nadęte, wycylindrowane, bezwolne robactwo lóż, czyli wybitni dygnitarze i kierownicy państw — członkowie masonerii.

Szkoła dzisiejsza nie wiąże się z samodzielnym życiem rodziny, nie wie nic o kryzysie, uczy mimo woli obowiązkowo siedem do dziesięciu lat żonglowania wyrazem, uczy nędzy-wygody na ławeczce, zaś przeciętnego inteligenta, z maturą, mistrza od... wyrazów, uczy jeszcze dłużej sztuki życia... wyrazami. Papierowy inteligent umie istotnie operować masą wyrazów, mędrkować najmisterniej na każdy temat papierowy, wszystko uśmierca — wyrazem, własną duszę, nawet Boga, wszystko umie też rodzić... na papierze, poza tym jest nieporadnym niczym. Zawodowy żongler

słów nie jest nowością. Wywijanie tak snadne wyrazem, jak u czerwonoskórych tomahawkiem, znamionowało już sofistów, pierwszych wielkich rozpustników słów. Toteż i życie, kierowane rękami smarkaczy woli, jest przywalone... słowami, jest... bez rzeczy, dlatego tak upiornie nikłą ma myśl, tak nędzną ilość dóbr, tak paralityczną, pokracznie niemoralną — wolę. Manipulacja samym wyrazem da co najwyżej logistykę, manipulacja samą myślą — filozofię, manipulacja dobrą dolą — heroizm doskonały, pełnię życia, wraz z tym bezmiar kultury harmonijnej, a w niej — człowieka.

W szkole naucza się żyć moralnie, a nie uczy się, że wraz z tym należy umieć budować i przebudowywać wszystko lub... przestać żyć moralnie. Toteż aby nie uczyć przebudowy gospodarczo-społecznej, systemy pedagogiczne tworzono tylko dla panów. Świat antyczny miał niewolników, późniejszy — pańszczyznę, dzisiejszy świat biały ma poddanych kolorowych, proletariat, inteligencję. Zawsze kształcony miał kogoś, kto na niego pracował i za to był bydlęciem. Dopiero teraz, gdy każdy ma być uczłowieczony, musi być i uniezależniony gospodarczo. Dlatego jutro trzeba będzie każdego ćwiczyć w sztuce zapewniania sobie samostarczalności. Kształcenie to nie da się pomyśleć bez... heroizmu uczących, uczniów i narodu. Wygodny może być tylko niewolnikiem, chyba że założy spółkę do ujarzmiania narodów i potem ...ukucnie na jakimś Kremlu, czy Kremliku, przykaże reklamie namaścić siebie na genialnego bandytę-państwowca, a przed śmiercią, jak cezar August, zapyta klikę bądź kliczkę, czy dobrze... grał rolę.

Kryzys gospodarczy panuje w każdej rodzinie, pokąd nie może być uczciwie samostarczalna. Ponieważ własnością, która zdoła egzystencję wszystkich rodzin utrzymać, może być tylko ziemia, uczone na niej rolnictwo, przeto wychowanie gospodarcze osobowości musi uwzględnić „porządek ziemi".

Oto czemu przyszła praca na roli nie będzie „wsiowa", „ludowa", „chłopska", lecz naukowa, laboratoryjna; jej narzędziami — to, co dziś spotykamy w pracowniach uczonych przyrodników, chemików, fizyków. Nie rozumieliśmy, co oznacza czarodziejski rozwój nauk przyrodniczych, który ogromem swych horyzontów nas przerażał, tak jak i... maszyna. Tymczasem technika i nauka są dotąd niesłychanie nędzne w stosunku do wymogów... rozwoju moralnego osobowości ludzkich: nie umie dotąd żadna rodzina zrobić sobie sama wszystkiego z własnego minimum ziemi. Gdzie taka wiedza? takie narzędzia? taka szkoła? Jakże przeraża ten prymitywizm dzisiejszej nauki i ta ordynarność, i niemoc spółczesnej maszyny, i naiwna wiara dzisiejszej szkoły — w papierowość życia inteligenta.

W państwach porządku ziemi poziom wiedzy przyrodniczej będzie bez porównania większy, powszechny. Każdy młody człowiek będzie posiadał nieprawdopodobnie wysoką teoretycznie i praktycznie znajomość nauk przyrodniczych i technicznych, by, kiedy założy własną rodzinę, umiał z minimum własnej ziemi mieć możliwie wszystko. Musi umieć czerpać środki do życia z całej energii kosmosu wzwyż i z— całej ziemi w głąb. Tak pojęta nauka... rolnictwa stanowić będzie podstawowy przedmiot nauczania w szkołach. Nauki

humanistyczne zejdą na plan drugi w szkołach dla dzieci i młodzieży. Natomiast humanistyka, jak również twórczość społeczna, religijna, wychowawcza, artystyczna, wynalazczość znajdą się na planie pierwszym w życiu, zabezpieczonych gospodarczo dorosłych „starych". Skutkiem tego oddawać się będą mogli wówczas swobodnie zajęciom „wyższych stu tysięcy" — wszyscy, z natury do tego powołani.

Dotychczas narody nie bardzo wiedzą, co robić z ziemią. Nauka wspomagała życie sztuczne, na kamieniach, w miastach, rolnictwa nauka prawie nie tknęła. A ziemia jest tworzywem generalnym, wymagającym najwięcej wiedzy. Tymczasem wieś jak utknęła umysłowo i technicznie, odkąd uciekać z niej zaczęto do miast, tak niewiele ruszyła dotąd z miejsca. Ciągle wiedza rozwija się w miastach, a na wieś idzie najwyżej... oświata. Zastanawiające, iż skroś mieszczański naród świata, Żydzi, stworzyli koncepcję takiego państwa, w którym byłby tylko przemysł wielki, ogromny pan-przemysł i tylko jeden w nim człowiek jako najparszywszy burżuj: państwo. Urzeczywistnić to marzą w komuniźmie. Atoli Z. S. R. R., mając przeciw sobie rodzinną Japonię i rodzinne Niemcy, musi nawracać na gwałt do małżeństw i płac akordowych, tych przemożnych pokus zdobycia własności dla... dzieci w swej rodzinie.

Czy w państwie ziemi nie będzie wielkiego przemysłu, robotników- — Tak, ale przede wszystkim przemysłowcem i robotnikiem jednocześnie będzie każdy sobie. Roboty gromadne będą i możliwe, i konieczne, zwłaszcza dla obrony państwa. Jednak ustrój gospo-

darczy pozwoli każdej chwili powrócić robotnikom do własnych rodzinnych zagród-laboratoriów. Wielki przemysł łatwiej organizować niż rozwiązać. Wspólne wielkie roboty i wielkość wielkiego przemysłu coraz bardziej redukowane będą przez doskonalone ustawicznie narzędzia: — maszynę społeczną oraz — maszynę rodzinną. Wspólne wielkie prace uważać się będzie jako nieszczęście wychowawcze i ekonomiczne, gdyż odrywają one od warsztatów rodzinnych (podobnie jak wojna) oraz dlatego, iż żadna praca pozadomowa, pozarodzinna nie jest w tym stopniu wychowująca, co domowo-rodzinna.

Ekonomia ziemi podniesie poczucie godności własnej, bo usunie straszliwy niepokój, którym dziś szarpany bywa, z powodu trwałego trzęsawiska ekonomicznego, inteligent i robotnik, da materialne warunki pod cywilizację chrześcijańską.

Kto wie, czy już na najbliższych wystawach światowych nie będziemy mieli poza jakimś „Wesołym Miasteczkiem" także „Wsi Wesołej". Cóż w niej pokażą? — Prócz przeróżnych kuglarstw i wykresów, kawałek ziemi, kawałątko, z którego czarodzieje-rolnicy-inżynierowie wydobywać będą na oczach zdumionej publiczności łany pszenicy i zbóż wszelakich, grządki owoców i jarzyn, kwiatów i traw — w ciągu dwudziestu czterech godzin dwadzieścia cztery i to za każdym razem świeże zbiory; ówdzie dwadzieścia kilka rodzajów tkanin, ówdzie tyleż różnych maszyn... wprost z ziemi. Na razie podobno nasz Dunikowski próbuje preparować równie sensacyjnie z kawałka ziemi... złoto, zgodnie z żądaniem kultury wygody, kapitalisty-

czno-komunistyczno-złotej. Ludzie wygody bowiem mimo woli mają coś ze złodzieja, który przede wszystkim chce mieć złoto.

Jasne, iż w nowym ustroju ziemia pójdzie dosłownie na wagę złota. Złoto, za którym teraz poszukiwacze wszelkiego autoramentu gonią i giną, jest wszędzie: to ziemia. Czyżby gdzie indziej osadził nas — Ojciec już tu? Na razie jednak uciekamy z boskiego dziedzictwa na kamienie miast i tam szukamy złota. Podobnie tylu omija zagrodę Ojca, tym samym własną — niebo, szukając go... na ziemi.

Porządek ziemi, włączony w ustrój wychowawczy, ograniczy do minimum handel, owo demoralizujące zjawisko gospodarcze. Dziś nie da się pomyśleć inna forma wymiany dóbr, jak co najwyżej jako tako „uczciwy" handel lub w najlepszym wypadku handel rodzinny. Toteż dopiero wychowawcze formy gospodarcze życia wpłyną na Żydów, że się nawrócą. Nie będzie już bowiem warunków na dążenie do opanowania świata, ssącego kulturę wygody, gdyż jej nie będzie. Niezwykły bezsprzecznie geniusz tego narodu skupi się wtedy na tytanicznej pracy ekspiacyjnej, na drodze powrotnej do Ojca, jeżeli przedtem naród ten nie zostanie doszczętnie wyrżnięty przez zemstę narodów, ciemiężonych dotąd przez żydostwo.

Dopiero też w „porządku ziemi" może być rozwiązywana regulacja urodzin, gdy zachodzić będzie godziwa jej konieczność. Obywatel-Gigant umie wydobyć z własnej roli wszystko, nie ma więc obawy, że nie wyżywi swych dzieci, nie ubierze ich, nie da im wykształcenia i podstaw gospodarczych. Jednocześnie w cza-

sie katastrof społecznych, w okolicznościach zmuszających jedno z małżonków do abstynencji, czy to z powodów zdrowotnych, czy rodzinnych, gospodarczych, zawsze ilekroć zajdzie konieczność ograniczenia w sposób moralny potomstwa; nikomu nie przyjdzie to tak łatwo, jak osobom, których część trwała: duch — jest w ciągłej harmonii z częścią człowieka czasową: ciałem.

Miłość pracy w ziemi sprawdza prężność narodów. Czym jest gniecenie się Aglików w metropolii, jak nie — tłumacząc na język rodzinny — tym, że rodzicom siedzą na karkach dzieci, którym się nie chce pracować samodzielnie na siebie w koloniach, gdzie jest dosyć ziemi? Ile te miliony leniuchów nie nazatruwają rodzicom — rządowi imperium, życia? Czy istotnie są wychowani? Czy czują się jak dorośli, skoro inaczej nie chcą żyć, jak z zapomogi lub z pracy, ale tylko z najmu, z pracy więc wygodnej, w ręce im wprost dawanej? Czy szkoła nie uczyniła z nich wiecznych dzieci, sybarytów przysięgłych? Toż nie wstydzą się organizować głośnych na cały świat wrzasków o płace za roboty na polu cudzym i nazywają swój ryk niewolniczy, bo ludzi nie chcących własnego warsztatu pracy, głosem ludzi... pracy? Przygotowano ich w szkołach do wygodnego niewolnictwa, więc choć Common Welth ma czwartą część globu omal pustą, oni stłoczyli się macierzy na głowie i za żadne skarby świata nie chcą iść pracować na własnej roli, zdecydowani raczej w kraju nic nie robić. Czy typ rozpuszczonego jedynaka nie staje się generalnym w narodzie gentlemanów?

Różnymi drogami kroczy polityka Wielkiej Brytanii. Jest dość czelna, by wywoływać wojny, zamawiać

przewroty, kupować i sprzedawać narody. Czy będzie miała odwagę zażądać od swych wychowawców, by dawali jej ludzi rodziny i ziemi, jedynych panów świata, czy też ograniczy się do tego, by czekać przybycia nowych Wikingów?

Nigdzie się w tych rozmiarach nie mierzy uzdolnień i poziomu inteligencji jako ogólnej dyspozycji psychicznej — u dzieci, młodzieży i dorosłych, jak w Stanach Ameryki Pónocnej; nigdzie tak nie przystosowuje się wychowania w szkole do życia i nigdzie heroizm nie musiał się w tej mierze skanalizować w bandytyzmie. Albowiem nigdzie bohaterstwo etyczne nie miało gorszych warunków, by się rozwinąć, gdyż nigdzie go mniej nie żądano... bez pieniędzy. Gdzie było tyle, co tam... wygody, kapitałów, pustej, bez rodziny i dzieci ziemi, tylu ludzi żyjących na kamieniach miast z ekonomicznego oszustwa? Skutkiem tego Stany trzeszczą tak zatrważająco. Uzdrowi je taki Roosevelt, który będzie miał odwagę wysadzić w powietrze molochy-miasta, rozpędzić sto milionów ich mieszkańców w ziemię i uczynić z nich ludzi na małych, rodzinnych farmach. Dalsze ogryzanie kamieni miast sprowadzi żółtych z Zachodu i czarnych z Południa, rozsadzając tym dynamitem biologicznym, rolniczym dumne do niedawna z siebie U. S. A. Nie tyle więc zniszczenie Nipponu, co własnych miast-molochów; nie tyle sterowce, pancerniki, łodzie podwodne, nieba gazów i piekła inflacji, co farma i rodzina; zaś na Kapitolu — zamiast gangów-byznesmenów — herosy, Giganci.

Francuzi lubią pracę w ziemi, lecz po to, by stąd mieć kapitał i zużyć go zazwyczaj na niszczenie war-

tości rodzinnych. Germanami ich kolonialnego imperium są czarni. Bezwzględnie seksualnie czystsi od swych białych panów, fizycznie stanowią trzon armii francuskiej w Europie. Na razie wyłącznie fizycznie, na razie też gnieżdżą się w Afryce. Potem zrobią w Lutecji porządek, czerniąc Gallów, dlatego jeno, że ci nie chcieli wybielać Czarnego Lądu. Tymczasem przygotowuje się ich do niezadługiej już roli cywilizacyjnej wśród białych. Wygodni biali mogą dawać co najwyżej Lyautey'ów, genialnych... policjantów Afryki. Brak im atoli marszałków, którzy ucywilizowaliby Francję, dając jej rodziców nie w parszywej, burżujskiej, egoistycznej oprawie: bez dzieci, lecz z dziećmi oraz — kartezjańsko niewątpliwą jednostkę ekonomiczną: w całym imperium kolorowym oraz u siebie — rodzinne zagrody białych.

Idziemy ku państwu- wsi. My, Polacy, ze swą miłocią ziemi i heroizmem w duchu i żyłach możemy tu iść pierwsi z najpierwszych. Ziemię posiadać będzie mogła tylko rodzina, nigdy jednostka. Zmierzamy ku ekonomiom rodzinnym, narodowym. Każde państwo odpowiednio do klimatu, powierzchni i jakości posiadanych gleb, wód, lądu zorganizuje gospodarkę o właściwym sobie obliczu. Inna będzie u narodów arktycznych, tropikalnych, pustynnych, morskich, nizinnych, górskich. Szczególnie uwydatni się owa odrębność w typie zagrody-laboratorium. Będzie ona tak wspólna narodom jutra, jak zamki rodowe rycerstwu średniowiecza. Zagroda jako odskocznia i macierz szeregu pokoleń o wspólnym nazwisku stanie się jednym więcej motywem w sztuce ziemi, jednym więcej źródłem

miłości narodowej. Tylko zagroda rodzinna może iść na kilkadziesiąt pięter w głąb... ziemi, zarazem kilkudziesięcioma drapać... chmury i jednocześnie nie wysadzać życia w powietrze.

Jeden zawód podstawowy ogólnoludzki zbliży psychiki narodów w sposób mechaniczny, najmniej szkodliwy wychowawczo. Tenże zawód jako wspólny, rodzinny mocno zniweluje zarówno te różnice społeczne, które powstawały między członkami tej samej rodziny, o ile w różnych warsztatach pracy zarabiali na życie, jak i te, które stale wzrastały, odkąd zaczęto masowo uciekać z ziemi do miast. W narodzie ziemi obywatel będzie więc przede wszystkim uczonym rolnikiem, a dopiero potem wszystkim innym. Dzięki temu ta „wszystka inna" działalność: sztuka, nauka, technika — będą wolne i dla każdego możliwe. Wspólne wszystkim zajęcie zwiąże tak samo rodzinę. Trudno sobie wyobrazić bardziej bezpośrednią i równie wychowawczą współpracę dzieci z rodzicami, jak na własnej roli, gdzie przydatnym być można w każdym wieku. Przy tym inteligentna, uczona, laboratoryjna praca w ziemi kształci całego człowieka niezależnie od poziomu umysłowego, zróżniczkowania psychicznego, fizycznego.

Ślepa wygoda nie pozwoliła narodom usamodzielnić się ekonomicznie. Tak wygodnie, gdy się czegoś nie posiada, udać się do... sklepiku, w którym wszystkiego pod dostatkiem: do międzynarodowego handlu. Podobnie daleko łatwiej iść do apteki po pigułkę, niż sięgnąć do źródła choroby i usunąć jej przyczynę przez... stałe życie higieniczne. Wygoda długo jeszcze szukać będzie najrozmaitszych form ucieczki od pełnej samo-

starczalności państw i od samostarczalnych w nich zagród rodzinnych. A nawet, gdy się wreszcie zdecyduje, zechce wyrodnieć w organizmy, acz zagrodowe, rodzinne, lecz mimo to gospodarczo jednostronne, niewolne, zależne, bo wyspecjalizowane. Dążenia te nie będą szkodliwe, gdy jednocześnie poza specjalnością zagroda produkować będzie dla siebie wszystko, stając się bez pośrednictwa handlu ekonomicznie niepodległą. Atoli nie będzie wolno jej żyć ze specjalności lub nią spekulować. Można tu będzie mieć nadmiar, lecz nie po to, by go sprzedawać. Minimum handlu — to maksimum pewności ekonomicznej. Natomiast wzrośnie niepomiernie ilość tak rodzinnej wymiany dóbr pośród narodów i ludzi, jak podarunki.

Święci zbyt długo nie uczyli ekonomii. Wprowadzali ją swego czasu bezwzględnie tylko do gospodarstwa klasztornego, gdzie też od razu łączono samostarczalność ekonomiczną oraz najwyższą onych czasów naukę i technikę z najwyższą moralnością. Jednak gdy klasztory zaniedbywały swe zadanie naczelne: uprawę najwyższej moralności, gospodarka ich wyrodniała. Atoli bywało, że konfiskowano majątki zakonne nawet wtedy, gdy klasztory były pełne rozmachu moralnego. Działo się to wówczas, gdy życie świata za mało było chrześcijańskie. Albowiem ekonomia wychowawcza nie znosi oaz, wysp, wyskoków, odosobnień, lecz tak jak wychowanie, idzie wszędzie lub ginie.

Skąd pochodzi kalectwo myśli u ekonomistów nieśmiałych? — Bali się tknąć etyki i próbowali nauczyć ludzi bogacić się w oderwaniu od moralności. Dlatego dzięki wskazywanym przez nich sposobem dorobku —

mogły się bogacić tylko pewne jednostki, niektóre warstwy, ten i ów naród, pozostali zaś, cała nieogarniona rzesza żebracza wyła na próżno o bogactwa. Jasne, że nienaturalnemu bogaceniu się musiało towarzyszyć moc zjawisk ujemnych. Były nimi: wyzysk przez bogaczy — jednostek, warstw, narodów pozostałych, niewolnictwo wszelkich rodzajów i stopni, upadek rodziny wśród bogaczy i biednych, fatalne warunki życia moralnego tak u bogaczy, jak nędzarzy, zwyrodnienia, piekło.

Bogacono się chyłkiem, uprawiano przemyt bogactw. Toteż bogaci byli zawsze podejrzani. Niepodejrzane, legalne, otwarte, słuszne może być tylko bogacenie się powszechne. Będzie ono niczym innym, tylko jednym z dóbr, jakie towarzyszą podnoszeniu się etyki w jednostce i gromadzie.

IX

WOJNA

Zorganizowany dysharmonijnie heroizm — to armia, najtragiczniejszy twór w cywilizacjach nieśmiałych, skroś bohaterski zarazem: synteza państw niekonsekwencji.

Ludzie jutra uwolnią armie z tragedii, bo usuną z nich niekonsekwencję zasadniczą: fakt, że bohater walczy w obronie egoistów i że sam najczęściej jako bohater... egoistyczny ginie. Ludzie jutra bowiem zrozumieją, czym jest stosunek śmierci żołnierza do jego szczęścia wiecznego i dlatego wprowadzą do tej dziedziny życia armii — harmonię.

W doskonale skonstruowanej armii umierać można tylko najzupełniej szczęśliwym. Wszelka bo śmierć tragiczna jest organizacyjnie fuszerką, która pochodzi z bojaźni przed logicznym rozwiązywaniem zagadnienia śmierci fizycznej żołnierza.

Bez rozwiązania stosunku do śmierci nie może być mowy o wychowaniu i spożytkowaniu bohatera, który musi przede wszystkim wiedzieć, co za grobem i mieć zapewnione tam szczęście zupełne. Na razie wstydzą

się Pana Boga organizatorowie armii tak dalece, że milczą o śmierci, która jest pierwszym skutkiem bohaterstwa. Tchórze, lękający się powiedzieć prawdę o śmierci. ograniczeńcy, plombujący fanatycznie swój mózg w tym miejscu, gdzie usiłuje sobie uświadomić byt po spełnionym tragicznie rozkazie — mogą stać na czele armii. Przemilczanie tego, co stanowi jądro myśli i uczuć żołnierza — kompleksu śmierci, czegóż jaskrawiej dowodzi, jak nie tchórzostwa myśli rycerskiej?

Armie, tak jak i wszystko, budowano powierzchownie. Nie brano pod uwagę walki, jaką żołnierz w obliczu śmierci toczy sam z sobą, nie organizowano wojskowo — wnętrza żołnierza. Wystarczyły i tu... maski. Stąd fuszerka. Omijano śmierć. Toteż w każdej armii... szalał strach. Powodował on biegunkę woli i pochodzącą z niej newralgiczną rozwiązłość. Dlatego ilością rozpusty można było wcale dokładnie zmierzyć wielkość strachu każdej wielkiej amii. Wszak gdyby się nie bała, życie jej byłoby jak w czasie pokoju — normalne. Podobnie ilością osobistej, „prywatnej" kultury wygody określić było snadnie lęk przed śmiercią pojedyńczego umundurowanego „herosa". Rozpusta, z kolei, bluźniła życiu rodzinnemu, którego świętości ognisk broniła... armia; zamieniała żołnierstwo w żołdactwo, walczące coraz bardziej o sam grosz i same zmysły. Ilekroć armia odrywała się od rodziny i ziemi, stawała się zgrają kondotiera; ilekroć nawet od pozorów synostwa w stosunku do Ojca — bandytyzmem mniej lub więcej chińskim, korsarskim, amerykańskim, gangsterskim, białym lub kolorowym.

Armia Gigantów rekrutuje się z herosów doskonałych. Albowiem wyłącznie święty każdym swym czynem rozwiązuje logicznie swój stosunek do śmierci. Dzięki temu gotów jest każdocześnie walcząc umrzeć, by iść wprost do Ojca. Nie ginie taki żołnierz, a ożywa, gdy umiera; umierając zaczyna żyć na zawsze. Nie ma więc w chwili śmierci nic ze straceńca, natomiast posiada wszystko z życia i wszystko ze szczęścia. Jego śmierć jest konkretnym wyznaniem wiary w życie wieczne. Widok takiej śmierci wywiera nieobliczalnie dodatni wpływ na bohaterstwo pozostałych. Wszelka inna śmierć załamuje otoczenie, co najwyżej zniewala do pomsty. Dlatego w czasie wojny fakty zwykłej tchórzowskiej, masowej i indywidualnej śmierci tuszuje się, przemilcza, a o bohaterskich mówi się ciągle. Jedynie armie, idące na śmierć po ŻYCIE, dać z siebie mogą maksimum entuzjazmu. Giganci poza rodziną i ziemią znajdą w armii trzeci swój żywioł, gdzie ujawniać będą, jak bardzo miłują nie tylko ziemię i naród, ale i Ojca, jak bliscy są tym trzem czynnikom, jak jedno z nimi stanowią. W śmierci Gigantów materializować się będzie człowiek nieśmiertelny.

Organizatorowie armii, gdy odważą się wyjść z myślenia kategoriami — rozstroju, gdy ośmielą sią nie bać tego, co powiedzą o nich cywile z wygody życia, gdy nie będą czuli więcej strachu przed zanalizowaniem duszy człowieka w chwili, gdy patrzy ona w oczy śmierci; gdy wysnują z siebie cały heroizm myśli i przestaną się lękać gorzej zdrady... etykietki „klerykały": rozwiążą zagadnienie śmierci biologicznej żołnierza konsekwentnie. Więcej: narzucą swym narodom i rządom

życie Gigantów, choćby te dalej kładły głowy w piasek i ślimaczeć pragnęły w wygodzie. Albowiem armia nie może być sama, i w pełni heroiczna, o ile cały naród nie jest bohaterski. Inaczej mogą herosowie najwyżej mieć zaszczyt ginąć za rodzimą zgraję niedojdów-samolubów, co żołnierza i osłabia, i ośmiesza.

Dopiero armia świętych odpowie wszystkim wymaganiom, jakie stawia organizacja heroizmu wojennego. Przede wszystkim, żądając najwyższego poświęcenia, poręcza swym ginącym szczęście u Ojca, gdyż wszystko w jej konstrukcji nastawia na działalność pozbawioną grzechu śmierci. Żądać życia od żołnierza, skoro duchowo umarł: ciężko zgrzeszył, i grzeszyć tak ma dalej, gdy zatem jest pewny, że stracił Ojca, jest nieporozumieniem, moralnie zbrodnią. Żołnierz taki nie może wykonać z całym spokojem i całą inteligencją rozkazu, gdyż nim zacznie atakować lub bronić się, jest wewnętrznie rozdarty, z dywersją się zmaga w samym sobie, boi się umrzeć: na wieki stracić Ojca. Toteż atmosferą żołnierską jest najwyższy stan etyczny armii. Komunia jest tu podstawowym Boskim Prowiantem. Ile strat, ciężej, lżej rannych, ile rezerw, kto na linii, jakie epidemie — ważne to dane, ale niekompletne; bo równie ważne zdrowie wnętrz, przez statystyki skorupkowe nie notowane, urazy śmierci pozabiologicznej: grzechy śmierci, anarchia na wewnątrz wodzów i wszystkich.

W kim tedy nie ma Chrystusa, ten nieprzygotowany do wojny od wewnątrz, psychicznie, nie jest żołnierzem w pełnym rynsztunku; nie daje bowiem gwarancji, że pokona cały swój egoizm, nerwy; iż da z siebie i poza

siebie wszystko, a nawet więcej, bo także to, że wprowadzi do walki ramię Ojca.

Obecność Łaski w żołnierzu decyduje o stopniu jego rycerskości, tj. o zdolności do walki etycznej najwyższej klasy. Przez rycerskość wiedzie droga do minimum wojen, w miarę bowiem jak zanika rycerskość, wzrasta groźba oraz liczba wojen i skala ich barbarzyństwa. Tym sposobem dojść możemy na drodze militarnej do częściowego zaniku... wojen. Rycerzem nie zostanie nigdy żołnierz niemoralny, tak jak nie był nim nigdy szatan, acz stale walczył i walczy. Krew rycerską dziedziczą Giganci: treścią życia ich pokoleń jest walka o całkowite zwycięstwo chrześcijańskiej miłości.

Analiza honoru stwierdza, że niczym on innym, jak trwałym objawianiem godności własnej. Czy podobna atoli mieć wyższą godność osobistą ponad tę: jestem synem Boga? Honoru tego wówczas nie strzeże już mundur, żaden towar, regulamin; honor jest wtedy cały wewnątrz i na zewnątrz żołnierza. Odcięty natomiast zostaje honor od swej podstawy operacyjnej, gdy nie kształci go ustawiczna świadomość synostwa Boga. Honor „tylko ludzki" może się stać snadnie pychą, zatem dynamitem dla karności. Tyle karności, co ofiary, dać może z siebie jeno honor, ćwiczony na poczuciu synostwa wobec Stwórcy i narodu. Wówczas żołnierz będzie się mógł cały oddawać walce, nic w niej nie tracić, prócz ciała; będzie się mógł szkolić dalej heroicznie i urastać tym podobniejszy żołnierzom z Legii Ojca: Archaniołom-Gigantom.

Jasne, iż harmonijnie zmontowana armia nie będzie mogła bronić egoizmu, ni w jego imię zdobywać: nie

byłoby z nią Boga, zostałaby sama, ograniczyłaby więc nieskończenie ogromnie swe możliwości.

Armie, doskonaląc coraz więcej wojenną moc państw, stać się tedy muszą z czasem armiami — świętych, by wtedy, z kolei, móc jeno walczyć w obronie prawa do miłości. Chyba najbardziej fascynującym zjawiskiem w dziejach świata będzie sformowanie pierwszej armii Gigantów. Czy naonczas pozostałe armie, kontynuując jeszcze rozdarty heroizm wśród swoich żołnierzy, nie będą tak wobec niej wyglądały, jak dzisiejsze bandy gangów z U. S. A. wobec armii regularnej o najświetniejszych tradycjach? Czekamy nowego Dżyngischana, którego zasięg zdobywczy nie samą Eurazję, lecz glob obejmie, bo taki czar rzuci pierwszy wódz Gigantów, tak straszliwa będzie moc jego armii genialnie logicznie związanej.

Prawdopodobnie już niezadługo powstaną nauki ściśle strategiczne o heroizmie i śmierci. Wówczas psychologia czynu w atmosferze śmierci — stosunek śmierci do Łaski — nabierze decydującego dla sztabów znaczenia, stanie się w pełni ceniona i zrozumialsza. Albowiem trudno przypuścić, by siać śmierć, żądać coraz większych jej hekatomb i zamykać w dalszym ciągu na nią oczy, nie chcieć o śmierci nic wiedzieć, a to ze strachu, by się o niej nie dowiedzeć czasem prawdy. Obrońcy państw na razie tak się wstydzą Pana Boga, jak pierwszy lepszy tchórzliwy katolik, rycerze niekonsekwencji uczą komedii bohaterskiej i na tragifarsę tę każą płacić miliardy. Logiczniejszych metod obrony nie wynalazły dotąd państwa nieśmiałe, ni miały odwagę wynaleźć. Co prawda, niektóre armie angażują ka-

pelanów, którzy są oficerami do specjalnych poruczeń: spowiedź, Komunia, Msza, co nie przeszkadza, aliści, zgodnie... z logiką reszty życia, by i te armie były, niestety, siedliskami dżumy seksualnej i tragicznego bohaterstwa. Kapelani u „dołu" — tak, lecz stokroć bardziej — kapelani u „góry"!

Coraz ważniejszym problemem wojskowym jest, a jeszcze bardziej będzie, bohaterstwo indywidualne, żołnierza, nie zespołu. Szczególnie się to wyjaskrawia już dziś w lotnictwie. Ileż tam zależy od jednego człowieka, od jego przyzwyczajeń heroicznych tak trwałych, że stanowiących, nim pierwszy raz dosiadł latawca, już drugą jego naturę. Przed lotnictwem stoją dwa zadania: techniczno-naukowe i pozamaterialne — montowanie w lotniku herosa. Na razie oddziaływuje się ściśle zewnętrznie: aparat, powietrze, kontrola, widz, rajdy wpływają na lotnika, by zewnętrznie aż do złudzenia robił wrażenie bohatera. „Szkolenie" nie wchodzi do wnętrza, zmusza jeno warunkami zewnętrznymi do heroizmu. Któremu z systemów „szkolenia" przyszło na myśl, by lotników usynowić w stosunku do Ojca? by zapewnić im pomoc Łaski, zatem siły nadludzkie? by usunąć z ich psychiki rozdarcie i zarówno wewnętrznie jak zewnętrznie herosami uczynić? Czyjej armii myśl ośmieliłaby się na taki lot w stratosferę — wnętrz swych lotników? Gotowi wzbijać się na Marsa i drżą z lęku przed tym, by na milimetr zstąpić na głębie własnej myśli.

Komedianci, zresztą, mogą iść dalej. Zaimprowizują całe wojny napowietrzne, potem jednego z uczestników ułożą uroczyście do Grobu Żołnierza, znicze przed

nim zapalą, na baczność po minucie w skupieniu stawać będą (taki wprowadzą zwyczaj) i nikt się z nich — katolików, nie odważy uklęknąć u grobu, przeżegnać się tam, zmówić modlitwę za szczęście bohatera u Ojca. Bo wstydzić się będą i Boga, i tego, iż żołnierz ma... duszę. Acz uczczą go w postawie „na baczność" bardzo sprężyście. Kto z rycerzy rozstroju ma odwagę, kto nie zląkłby się choćby... gapiów i uklęknął, pomodlił się u płyt świętości armii: Grobu Żołnierza Nieznanego? Ilu takich widzieliśmy, widzimy? Przychodzą wystać się w przepisanej pozycji i basta. Czyżby ich myśl nie sięgała poza płytę, poza strach — aż do duszy Nieznanego Bohatera? Sięga, lecz... boją się.

Nigdzie myśl o śmierci tak nie przeraża egoizmu, tak nie wytrąca z równowagi woli zwycięstwa, jak w bohaterstwie indywidualnym. Żołnierz tu zostaje sam z— Bogiem i rozkazem. Bezwzględnie dokładniej czuje wonczas Boga niż wszystko inne. Wszak jest zdecydowany walczyć. Przeto i zginąć. Więc ujrzeć się za chwilę oko w oko z Ojcem. I musi Go z myśli usuwać, bo się Go boi, bojąc się jednocześnie swej przyszłości po śmierci. W krytycznym momencie życia ogarnia go lęk. Zadaniem taktyki bojowej jest uczynić i wówczas jego wolę stalową, więc spowodować w nim wewnętrzny pokój, tak konieczny, by żołnierz mógł w każdych warunkach rozwijać czynność bojową z całą zimną krwią i całą energią. Nic tak nie ułatwia wykonania wszelkich rozkazów, jak bezwzględny ład w psychice walczących: stan Łaski ich wnętrz, gwarantujący im jednię z Ojcem.

Niemało znaczyć będzie dla walki indywidualnej znakomite przygotowanie techniczne i przyrodnicze, właściwe każdemu członkowi zagrody - laboratorium, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę niesłychanie bogate i precyzyjne wyposażenie techniczne przyszłego żołnierza.

To samo znaczenie mieć będzie powszechne przygotowanie techniczne i przyrodniczo-naukowe całej ludności do wojny. Samostarczalność rodzin i państwa da armii warunki materialne, konieczne do prowadzenia wszelkich operacji wojennych, państwu zaś szerokie możliwości gospodarcze w każdym położeniu.

Ta sama niezwykle wysoka znajomość techniki i nauk przyrodniczych, właściwa narodowi ziemi, a więc i jego kobietom, dzieciom, starcom, pozwoli, by z chwilą wybuchu wojny armia zajęła pozycje liniowe, a cała reszta narodu stała się automatycznie armią techniczną. AT (armia techniczna) będzie dostarczała żywności, broni, maszyn do walki. AT będzie broniła od zniszczenia terenów wewnętrznych państwa. AT będzie odbudowywała z nieznaną dziś szybkością, natychmiastowo, nie po latach, objekty i tereny niszczone przez wroga; toteż, jak cały naród, tak i cały obszar państwa stale będzie gotów do walki. Dzięki zaś temu, że każda zagroda ma tu budowę mikrokosmiczną — wszelki zespół zagród, niezależnie od liczby odciętych chwilowo, stanowić może zawsze zwartą całość, która będzie miała wszystkie środki, by wieść wojnę zwycięsko. W żadnym innym ustroju takie pogotowie wojenne nie jest wykonalne.

Nowe pojęcia o obronie państwa wyjaśnią, że naród nie ma armii, obrony, niepodległości, dokąd sam z własnej ziemi i to z terytoriów, które bezsprzecznie obronione podczas pożogi być mogą, nie umie tworzyć wszystkiego, co mu do pełni rozwoju potrzebne. Właściwie narody zależne, niewolne za wcześnie starają się o niepodległość. Niejednej prawdy o budowie państwa dowiemy się od sztabów generalnych, a to z tej racji, że przygotowują one warunki dla wysiłku bohaterów. Im sztaby konsekwentniej organizować będą heroizm, tym więcej prawd takich „cywilom”, cywilizowanym niekonsekwentnie, odkryją, do wierzenia podadzą.

Powszechne przygotowanie techniczne będzie jednak niczym wobec pogotowia moralnego. Ukształci je stałe nastawianie woli narodu do wypełniania z radością rozkazów sumienia, będących koordynacją woli Ojca, praw państwa, obowiązków małżeńskich, rodzinnych. Całe życie cywilne przeniknie w ten sposób moment rozkazu. Zwarta, prosta, jednolita konstrukcja ustroju wychowawczego wydawać będzie pokolenia takich organizatorów arcytrudu, entuzjastów niebezpieczeństw, którzy mimo przeolbrzymie bogactwa form życia, nadzwyczaj łatwo, szybko cementować się będą zdolni na czas wojny w zespoły liczebnie najogromniejsze, do szaleństwa karne. Dzięki stale ćwiczonej harmonii woli narodowej, mobilizacje w tych państwach heroizmu wojennego — w każdej postaci — będą się odbywały w tempie zawrotnym.

W ustrojach strachu poczucie rozkazu wszczepia się w czasie służby wojskowej metodą psychozy. W ten sposób czyni się z żołnierza medium dowództwa. Tą

drogą można usypiać... egoizm żołnierza i osiągać wtedy sukcesy podczas panicznych, zespołowych, gromadnych ruchów wojsk. Lecz z tych samych powodów równie masowo i szybko armia może zniszczeć. Nie jest to bowiem ta karność, gdzie wola dowódcy jest wolą wszystkich żołnierzy, wzbogaconą o wszystkie ich zalety indywidualne, świadome, na jawie działające, wprzągnięte harmonijnie do walki, lecz — zaczadzenie chwilowe.

Zestandaryzowany zapał działa, gdy zespół zwycięża. W razie niepowodzenia zespół się... budzi i teraz decyduje osobisty heroizm jednostek. Aliści muszą być one w najwyższym stopniu i najpozytywniej niezależne, bo tylko takie typy jako doraźni dowódcy wyeliminować mogą w razie katastrofy swą wolę odrębną z tłumu żołnierzy, by na nowo ich zelektryzować. Żeby jednak wówczas posiadać niezależność i własną wolę zwycięstwa, trzeba wartościami tymi żyć stale, by w krytycznej chwili móc je rozwinąć. Inaczej zostanie żołnierz co najwyżej medium rozkazu lub medium tłumu żołnierskiego, zwycięskiego lub panicznie tchórzliwego. A gdy się z zaczadzenia... rozkazem przebudzi, może się co najwyżej... zbuntować. Wylezie z niego nie organizator, a dezorganizator. Jeżeli tylko sam jeden, to sam rozpadnie się wewnętrznie; jeżeli ich więcej, wszyscy —wtedy na poczekaniu rozlezie się najkarniejsza ...fabrycznie armia. Armia może być z jednej bryły tylko przez heroizm — na jawie.

Wola sztabu tym bardziej jest wolą żołnierzy, im więcej ci liczą takich dowódców — własnej woli. U Gigantów będą nimi wszyscy, tak żołnierze, ludność cy-

wilna, jak sztab, albowiem cały naród urzeczywistniać będzie jedną wolę, maksymalnie zróżniczkowaną i maksymalnie zespalającą: wolę państwa zgodną z wolą Ojca. Żadnej innej woli nie reguluje tak celowo, przewidująco, inteligentnie, precyzyjnie, generalnie sztab naczelny — Opatrzność. Dzięki temu wykonania rozkazu przez osamotnionego żołnierza nawet w warunkach beznadziejnych pilnować będzie rozkaz — Boga. Podobnie zniewalająco ścigać będzie wola państwa cały naród walczący: w walce napowietrznej eskadr, w żelbetach cel podziemnych, na głębiach wód, w furiach ataków, w pracy cywilnej, w życiu, śmierci.

Heroizm żołnierski zadzierzga ustawicznie o rodzinę. Cywilizacje nieśmiałe gotowe w końcu byłyby na wszelki wypadek kastrować wojskowych zawodowych, by ci zbyt nie tchórzyli. Na razie utrudniają zawieranie małżeństw: rodzinny może się bardziej... bać. Logika strachu gotowa ratować heroizm armii... sterylizacją wojsk. Gdyby ją wprowadził ktoś niewymownie tchórzliwie logiczny, oderwałby tym sposobem heroizm żołnierzy i dowódców od bazy operacyjnej wszelkiego heroizmu: rodziny. Życie wojenne zostałoby wtedy domeną narowistych starych kawalerów, pozarodzinnych „mężów"... stanu, przysięgłych egoistów zawodowych.

Rodzina nie może być w armii jeno przez synów; musi się z nią wiązać przez ojców-mężów. Wtedy zasadnicza instytucja społeczna: rodzina — wrasta w instytucję obrony rodziny i narodu-rodziny: armię. Nie ten żołnierz najlepiej walczy, który nie ma o co walczyć poza abstrakcją — państwem, lecz kto ma najwięcej dóbr w państwie, kto włożył w nie całe swe serce, a ty-

mi są przede wszystkim: własna rodzina i własna ziemia. Obowiązek walki wonczas nie maleje, lecz urasta do granic konieczności obrony dóbr najbezpośredniejszych, bo najbardziej istotnych i do walki wciągnięty jest wtedy cały człowiek. Gdyby było inaczej, to najlepsze wojska składałyby się z bezdomnych bastardów wolnego stanu, do czysta wypranych z obowiązków małżeńskich, rodzinnych. Czyżby, myślący kategoriami sterylizacji, organizatorowie takie chcieli tworzyć korpusy oficerske?

Pierwiastek rodzinny grał zawsze decydującą rolę w najlepszych armiach. Rodzinni byli żołnierze helleńscy, bohaterowie wojen perskich; rodzinni ci legioniści Rzymu, którzy wyrąbali światowładne imperium i go strzegli; rodzinne jeszcze bardziej wojska Germanów. I obecnie najstraszliwszy byłby zabór, połączony z masowym najściem terenów podbitych przez rodziny zwycięskich żołnierzy. Jeżeli zdołają Japończycy rodzinnie najść Koreę, Mandżurię, Syberię — kraje te stać się mogą trwale japońskie.

Rodzinna też była psychika wodzów-zdobywców i wodzów-obrońców. Inaczej, byli to tragiczni pomyleńcy, bezwolne, acz przerażająco imperatywne i demonicznie despotyczne — media Nemezis. Czyż zdrowi z nich... umysłowo, nie dlatego byli tak bohaterscy, żeby móc oddawać największe dziedzictwa świata swym dzieciom? Azaż nie na to wysilali swój geniusz? Czyż nie potomstwu już w kołyskach korony zapewniali, sławę swą w nie kładli? Wojny mogłyby ustać, gdyby zniszczono rodzinę. Ale wtedy każdy by walczył z każdym o... rodzinę własną na nowo, od początku.

Wysoki poziom życia rodzinnego leży w interesie sztabów, bo od tego zależy nakład woli, łożonej w wojnę przez naród. Tym ofiarniej walczymy, im droższych nam bronimy dóbr, im za większe wartości kładziemy życie. Żona, którą ubóstwiamy, synowie, córki, znane nam rodziny — gniazda Gigantów; maleństwa, o których wiemy, że palić się będą, jak i my, do rzeczy największych; starcy, którzy jako ofiarnicy idei wiedli nas na szlaki olbrzymów; nasze domy, warsztaty, gdzie kładliśmy wszystką swą myśl, pracę, serce: naród nasz cały jako pierwsza społeczność świata: czy to razem nie czyni z armii lawiny zwycięskiej?

Tereny państw właściwie ustawicznym podlegają zmianom, niezależnie od granic, lecz od rodzin. Gdy jeden naród wymiera, a drugi, sąsiadujący z nim, wzrasta, tym samym ten drugi nabiera praw do ziemi schnącego narodu, nim wojna to rozstrzygnie formalnie.

Ustrój rodzinny, wychowawczy pomaga walnie armii bronić się w walce... wewnętrznej. Czymże są chwyty wrażego szpiegostwa, jak nie stawką na to, że są członkowie armii, co uprawiają rozpustę, lubią wygodę, kochają karierę? Czy jest możliwy jakikolwiek wywiad bez tych pewników? Czy jest coś, co bardziej poniża armie? Czy, z kolei, coś gruntowniej eliminuje z armii te pierwiarstki gnilne, jak to, że każdy jej członek nie ma nic wspólnego z wygodą, czyni wolę Ojca?

Łączność najczęstsza rodzin z glebą, zatem z powietrzem, słońcem da narodowi hart fizyczny, przygotuje go do trudów wojennych. Heroizmowi woli towarzyszyć będzie nieznana dotąd hartowność ciał, odporność na zmiany klimatyczne, pogody, strefy kuli ziem-

skiej. Nie ma bo hartu zewnętrznego bez równoległego z nim hartu wewnętrznego, którego nie zna omal zupełnie spółczesne wychowanie fizyczne i do czego nigdy nie dojdzie w państwach wygody. Wychowany fizycznie — istotnie, czuje się znakomicie w każdym klimacie, znosi głód, zmiany powietrza, jak i wszelki wysiłek fizyczny, jest herosem, gdy chodzi o ciało.

W najwyższym stopniu wykazują wszystkie te właściwości korpusy oficerskie. Cała służba wojskowa trwa w terenie. Do służby tej ćwiczy hartownie matka swe dzieci od kołyski. W takiej zaprawie fizycznej kształcone są narody przez sztaby Gigantów. Strażują one, by każdy członek narodu hart swego ciała aż do grobu ćwiczył, by go stosował w organizacji warsztatów pracy i całokształcie życia. Tylko ustrój heroiczny, wprowadzający harmonię do organizmu ludzkiego, upowszechni kulturę ciała, uczyni je doskonałym narzędziem duszy. To będzie asceza Gigantów.

Ułatwione metody walki nie dały wojen na duchy. Starczyło, że obijano się gromadnie kijami, mieczami, teraz masowo bombami, maszynami. Wpadano, co prawda, na pomysł walki zewnętrznej, ale i tu wygoda dyktowała cuchnące metody. Rozkładano się wzajemnie niemoralnością: wywiady, kontrwywiady, polityka, kobiety, dyplomacja, pieniądze, wygrywanie nędzy człowieka na korzyść... wielkości swego narodu: smród.

Czy państwo jutra jest wojownicze? czy jest nim stale? czy walczy na zewnątrz? — Tak, nawet w czasie pokoju najstraszliwszą bronią. Nie tylko bowiem zdobywa prawa zaboru, gdy rośnie liczebnie, lecz anektuje wolę innych narodów, gdy realizuje życie Gigantów.

Jego urok, czar staje się wonczas słupem ognistym świata, za którym wszystkie narody iść muszą... najchętniej w życiu osobistym, zbiorowym, pokąd odrębności swej nie zatracą równie... radośnie, pokąd w narodzie zwycięskim się nie rozpłyną, nie powiększą go, nie wzmocnią, pokąd nie dadzą z nim razem wszystkie — państwa świata.

Imperializm patriotyzmów tu się skanalizować musi. Naród, który nie chce rządzić światem, nie będzie nigdy sobą rządził doskonale. Ten, który zechce rządzić światem, sobą wpierw rządzić musi — harmonijnie: „Cisi posiądą ziemię".

Czy chcemy, czy nie, zmierzamy tam całą mocą przeznaczenia. Niezależnie od tego, czy nauki społeczne czas ten przybliżą, czy sprowokują jego „stań się" politycy-Giganci — przyjdzie, będzie. Który naród posiada charyzmat pana świata? które państwo? która rasa? kolorowi czy biali? Świat Stary czy Nowy?... Wracamy do człowieka sprzed grzechu, człowieka, którego ciało było w zgodzie z duchem: człowieka naturalnego; wracamy do snów Hellady, by jej bajkę o ludziach-tytanach wykrystalizować w — Królestwo Boże i jawą je uczynić w ogromnym jutrze.

Da je odwaga i Łaska.

X

POKÓJ

Pokoju nie ma w wygodzie. Nie szukać go też na cmentarzu. Pokój — to nie bezruch. Bezruch — to śmierć. Na cmentarzach jest tylko śmierć, śmierć ciał. A pokój — to życie, to pełnia życia w pełni jego harmonii.

Wszyscy pragniemy pokoju. Czy bezruchu? — Nie, bo to śmierć. Czy wygody? — Nie, bo to nie pełnia życia. O co nam chodzi, gdy mimo wszystko tak gorąco pragniemy pokoju? — Chcemy zgodnego wzrostu wszystkich zjawisk życia poza nami i w nas. A że wzrost ten może towarzyszyć wyłącznie podnoszeniu się etyki w nas i poza nami, tęskniąc za pokojem, czekamy — świata świętych.

Pokój jest w nim tylko jednym z dóbr. Ale pokój nie jest jądrem dóbr, tak jak wola etyczna, która rodzi wszelkie inne dobra. I pokój nie jest jednym z całego mnóstwa dóbr, jak choćby bogactwo, wiedza, zdrowie, których wzrost stale towarzyszy wzrastającemu poziomowi moralności. Pokój — to raczej dobro... międzyorganizacyjne. Im bardziej dogłębna świadomość po-

koju, tym widocznie wzrost wszystkich dóbr wyższy i wzajemny ich do siebie stosunek gładszy, zazębienia ogółu zjawisk całkowitsze, lżejsze, bardziej harmonijne, ogólna melodia życia bardziej czysta, piękna. Nic dziwnego, że u Ojca, gdzie ład zjawisk jest skończenie doskonały, trwa nieustanna — pieśń „Święty, Święty, Święty"... Harmonijny rozwój zjawisk daje harmonijny ich do siebie stosunek, czyli — pokój, tym piękniejszą pieśń życia, im jakość czynów ludzkich bardziej doskonała. Gdyby wszystkie zjawiska ludzkie udoskonalić i zarazem je udźwiękowić, można by siąść gdzieś na gwiazdach i słuchać przez jakieś kosmos-radio — najpiękniejszej pieśni Ziemi: Pieśni-Pokoju.

Pokój dla organizatora — to wyraz doskonałości organizacyjnej. I dlatego tak daleko od wszelkiej organizacyjności jest... szatan, natura całkowicie rozdarta tak w swych pierwiastkach, jak i we wzajemnym ich do siebie stosunku. Natomiast nieskończona doskonałość wszystkich dóbr i zjawisk daje nieskończoną doskonałość ich wzajemnego do siebie stosunku — doskonałą nieskończenie harmonię i zachodzi w Bogu.

Pokój w człowieku dowodzi, że stosunek człowieka do siebie, do Ojca i do świata jest właściwy. Pokój notowany jest w nim przez sumienie. Pokój w świecie — to dowód, że właściwy zachodzi stosunek świata do Ojca i wszystkich ludzi do siebie. Im przeto większa w świecie we wszystkich zjawiskach kulturalnych dynamika miłości, im wyższa wartość tych zjawisk, im harmonia ich wzajemnych stosunków większa: tym całkowitszy pokój.

Więc, pacyfiści, pokój to nie czas bez wojen, który może obfitować w chaos — większy niż wojna. Źródło niepokoju — w chaosie woli. Zamiast dążyć do doskonałej organizacji całego życia chcieliście przemycić tylko jedno z jego dóbr — pokój i uczynić go faktem wbrew prawu harmonii społecznej. Oczywista, najwygodniej byłoby kochać sam pokój i tylko do niego dążyć. Osiągnęłoby się wynik... bez środków. Nieporozumienie. Sam pokój nie przyjdzie. Zjawi się z bezmiarem harmonijnego wzrostu wszystkich innych dóbr. Jeżeli macie... dobry słuch, nastawcie na właściwy ton wszystkie zjawiska woli człowieczej, a gdy dzięki temu ludzkość zakipi życiem — świata świętych, nie wypuśćcie już batuty z rąk aż do spełnienia czasów Ziemi. Nie było dotąd organizatorów życia o... dobrym słuchu: nie było pokoju.

A więc nie standaryzacja woli świata, ale taka jej jednia, która spowoduje żywiołowe przebogactwo form kulturalnych i wzajemnie je o siebie najharmonijniej zazębi. Wola ta może być jedna, o ile każdy członek powszechności nade wszystko kocha jedno dobro, tyle osobiste, co wspólne, i w każdej osobie miłowanej je widzi. Dobrem tym Stwórca. Tylko, widząc Boga w bliźnich, kochać ich możemy. Tą drogą jeno dojść się zdoła do powszechnej miłości wzajemnej. Ucieczka od Boga, wstydzenie się Go jest bardziej ucieczką od... człowieka niż od Boga; to ucieczka od oglądania w bliźnim samego siebie. Komu się zdaje, że nie wierzy w Boga, nie zobaczy nigdy w drugim siebie, nie uwierzy nigdy, by drugi człowiek był takim, jak i on — człowiekiem, nie znajdzie drogi pokoju. Toteż gdy ludzkość

urzeczywistni bezwzględną miłość, powstanie wtedy jednocześnie w sposób harmonijny bezmiar dóbr, a wraz z tym panowanie swe rozprzestrzeniać będzie jednocześnie zdecydowany pokój. Miłość we wszystkich zjawiskach uharmonijni wszystko.

Uwidoczni się to specjalnie w historii wojen jutra, gdy bronić będzie państwa najskuteczniej od zgrzytu-wojny, tak jak zresztą od wszystkich innych zgrzytów — cywilizacja harmonijna. Zwycięży takie państwo już pozaorężnie, bo przygwoździ wpływem swego życia; gdzie zaś zmuszone będzie wojnę prowadzić, zwycięży tym, czym żyć będzie jego ustrój podczas pokoju.

Jak więc wygląda życie w tym ustroju?

Nie ma tu wcale miast, tym bardziej takich, których zdobycie jako centrów administracyjnych, przemysłowych, handlowych, opiniodawczych — byłoby pokusą dla napastnika. Nadzwyczajne bagactwa nie są stłoczone, zbierane gromadnie, lecz dobywane, tworzone, skupiane indywidualnie w każdej z rodzinnych zagród. Czy wartościowszą zdobycz może stanowić teren państwa? Jest to niezmierzona ilość zagród-laboratoriów i... nic więcej. Co gorsza: by te zagrody puścić w ruch, a wraz z tym — całe życie zdobytego państwa, trzeba byłoby uruchomić... najwyższą moralność i na tymże poziomie wszystkie inne zjawiska kulturalne, jak: organizację, naukę, technikę, szkołę, rodzinę itd. Nawet przemysł wojenny, najstraszliwsza broń narodu genialnych przyrodników i techników, jest tu zdekoncentrowany aż do rozproszkowania. Jasne, że w ten sposób zabezpiecza się go najpewniej od zniszczenia i zdoby-

cia. Bez absolutnej dekoncentracji ekonomicznej, rodzinnej, koncentrującej absolutnie gospodarkę narodu-rodziny, nie rozumieją Giganci ani obrony, ni ekonomii państwa.

Cenną przeto zdobycz wojenną może stanowić tu co najwyżej obywatel-heros. Aliści wzięty do niewoli tytan, może zamknąć dla wroga swą wiedzę, umiejętności. Tym zaś gorzej gdy swą wiedzę ujawni, bo wprowadzi przez to niesłychany zamęt w życie barbarzyńców; albowiem nic nie działa tak zabójczo, jak gdy zjawia się któreś z dóbr o niezwykle wysokim poziomie, a nie towarzyszy mu równie niezwykły poziom etyczny narodu. Wówczas wiedza przede wszystkim szaleje na rzecz zniszczenia.

Gdyby dziś istniał naród ogromny o nerwach i woli ze stali, w którym każda rodzina umiałaby tworzyć dla siebie z własnej ziemi wszystko — od pożywienia do radiostacji; którego każdy członek byłby zdecydowany tak w swej obronie walczyć, ginąć, jak pragnie żyć; gdzie wzajemnie widziano by w sobie dzieci Stwórcy: nawet koalicja świata nie zdołałaby nadwerężyć jego niepodległości. Już niesamowity urok jego kultury, pod jakim żyłaby reszta globu, utrudniałby powstanie takiej zmowy, a w razie napadu paraliżowałby wolę barbarzyńców. Zresztą na wybuch wojny nikt też nie byłby lepiej od tego państwa przygotowany technicznie, gospodarczo, psychicznie, moralnie. Samej wojny nikt by również umiejętniej nie poprowadził do druzgocącego zwycięstwa. Na wypadek zaś częściowego zaboru — pobici z nieznaną szybkością przetworzyliby zwycięzców na swój... naród heroizmem rodzinnego i społeczne-

go bytowania, który by automatycznie wnieśli do zwycięskich chwilowo zaborców.

Tylko państwo niekulturalne będzie mogło odczuwać głód ziemi i z tego powodu pragnąć zaborów. Nigdy Niemcy nie dążyłyby do wojny o tereny na Wschodzie, jeśliby miały dziś tyle kultury, że umiałyby z ziem Rzeszy tworzyć dla siebie wszystko. Prawdziwa kultura nie wymaga wojny, by naród mógł żyć. Wojna dowodzi, iż naród idzie po linii najmniejszego oporu, że bandytyzmem chce zdobywać, czyli że nie chce mu się zapewniać sobie bytu w sposób naturalny, wychowawczy. I wojna jest produktem... wygody.

Zdumiewające, jak mało miejsca do wytwarzania wszelkich dóbr materialnych potrzebuje człowiek całkowicie harmonijny — drugi Chrystus. Aż dziw, jak wpływ ducha skraca terytoria, na których można się czuć i wyżyć jak na światach całych. To ciało potrzebuje tyle miejsca, jest tak ordynarnie rozwlekłe. Duch powiększa człowieka, rozszerza zasięg jego oddziaływań, kurcząc konieczne dlań terytorium coraz niezależniej od — terytorium. Duchowi Hellady starczyło kawałek półwyspu z przyległościami, zaś imperium Kościoła mieści się w miniaturowym Citta. Gdy Kościół lub świat bywał bardziej cielesny, Citta pęczniało. Orzeł potrzebuje skały, duch — punktu wyjścia.

Im życie bardziej duchowe, im prawdziwsze, tym kompletniej rozwija się ono bez jednego... wystrzału, ale jest wtedy najtrudniejsze, wymaga bowiem nieprzerwanej męki woli dla uprawy samowychowawczej. Wygodny chce raczej od czasu do czasu męczyć zabijając i męczyć się w rękach mordercy-wroga, niż w trwa-

łej uprawie swej woli krystalizować się w syna Stwórcy. A pod tym jeno warunkiem może zbraknąć krwawego, jazgotliwego jak samo piekło zgrzytu zgrzytów: wojen. Męka samowychowawcza narodów zastąpi wojny, bo sprowadzi życie prawdziwe.

W prawdzie dotąd się człowiek strasznie gmatwał. Zanadto reprezentowała prawdę myśl goła, a nawet... gołe ciało: materializm. Ludzkość harmonijna skończy z wszelką jednostronnością, więc i z tym, jakoby wyłącznie przez same słowa i same myśli dojść można było do prawdy. Prawdziwej pracy myśli musi towarzyszyć całe życie prawdziwie etyczne. Sam rozum też jest... głupi. Toteż przestanie sobie wtedy świat przeszkadzać... rozumem, zaś rozum uspołeczni się, urozumni i będzie zdolny nareszcie widzieć tylko jedną — prawdę. Może to mieć kolosalne znaczenie dla pokoju. Na miejsce zapalnego, panicznego uspołeczniania, wprowadzanego przez tak zwanych wodzów za pomocą wcielania w życie próbek... prawdy, pomoże zogniskować państwa entuzjastycznie, lecz naturalnie — prawdziwa prawda myśli. Uniesieniu na zewnątrz towarzyszyć wówczas może entuzjazm wewnętrzny, tyle namiętny, co rozumny.

Zbyt anemicznie naświetlano pojęcie pokoju. A przecież społeczeństwo, nie prowadząc wojny za pomocą armii lub walki klas, tym samym nie cieszy się jeszcze pokojem.

Czyż w czasach tak zwanych pokojowych nikt nas do walki nie prowokuje? Jeśli nawet na zewnątrz cisza, jakże nęka człowieka własne ciało. Gdy wreszcie tu pokój, czy nie może rzucać się na nas sumienie, że

brak nam Łaski, bo zagniewaliśmy Ojca ciężko? Lecz oczyściliśmy sumienie i spowiedź dała nam upragniony ład, szczęście. Choć teraz spokój w nas jaki taki, posiadamy jeszcze newrozy w odwodzie. Zawsze mogą nas fałszywie zaalarmować, że coś grozi, że chorzyśmy cieleśnie lub rzekomo umarli duchowo, acz jesteśmy i zdrowi, i żywi wszak jako dzieci Ojca, bo bez grzechu śmierci. A skoro i tu cisza czasowo, czyż nie może — na wszelki wypadek — przyjść szatan, jedyny przysięgły nieprzyjaciel człowieka i pokoju, by zaczadzać nam wnętrze swym geniuszem rozpaczy, zamęczać jaskrawą nudą najpomysłowszych sugestii grzechu, jakże podobnych harmidrem, błyskotliwością do spółczesnych metod reklamy, a prawdą — do miłości... politycznej i dyplomatycznej?

Tak więc gdy napawać się będziemy pokojem na zewnątrz, wrzeć może dalej w nas walka wewnętrzna. Wprawdzie udoskonalona medycyna i udoskonalone ciało ograniczą szkodliwość newroz, niemniej zostanie wnętrze, a w nim: Łaska, wola i szatan. Wtedy poznamy przerażającą prawdę, że wyłącznie grzech i szatan sieją niepokój. Naonczas nauka dokona zdumiewającego odkrycia, że grzech i szatan udawali przed nami wesołych, że się właściwie nazywali Rozpacz-Rozdarcie, że nas swą pseudoradością usypiali, a my, zaczadzeni hipnozą dysharmonii wygody, budowaliśmy pod maską życia pseudoszczęśliwego — pseudowesołe rozpacz-rozdarcie...

Zmierzając do pokoju na wewnątrz, natkniemy się i tutaj na nieukończoną swą naturę. Nie jesteśmy harmonijną syntezą Nieba i Ziemi. Dopiero współdziała-

jąc z Duchem we wnętrzu, osiągamy harmonię życia „tu" z nieskończonością ŻYCIA „tam", wtedy jeno w nas... spokój o własne szczęście całe: i „tu", i „tam". Unaturalnianie człowieka jest etapem wstępnym cywilizacji chrześcijańskiej, pacyfikacją świata. Cywilizacja ludzi naturalnych, ludzi pokoju, rozwinie się dopiero w atmosferze dążenia do kompletnego pokoju sumień. Wyobrazić sobie dziś bezmiaru szczęścia w niej niepodobna, jako że ciągle jeszcze dysharmonizuje się człowieka i tenże chaos wypełnia życie powszechności.

Człowieka naturalnego: drugiego Chrystusa, cechuje bezwzględna pewność, jak niepewność jest zasadniczą właściwością cywilizowanego nieśmiało. Komu człowiek naturalny ufa? — Nawiązuje bezpośrednio do Ojca, jest Mu najbliższy, ufa Mu bezgranicznie: jest prawdziwym synem. Tak każdy, wszyscy. I to jest pokój świata. Ciągła pewność jedni z Ojcem. Synostwo, prościej: dziecięctwo gigantyczne. „Jeżeli nie będziecie jako dzieci..., „pokój czyniący będą nazwani synami Bożymi"...

Dwa tysiąclecia blisko, jak Syn Człowieczy przyszedł z pokojem do dobrej woli. I dwa tysiąclecia zmaga się z naszą wolą, by dać nam pokój za gigantyczne — dziecięctwo. Azaż stać ma Pan dalej pod drzwiami naszej tchórzliwej woli? Czy nie czas wyjść Mu radośnie naprzeciw? Praca miłośników pokoju musi być trwale wysiłkiem większym,. niż najkrwawsze kośby Dżyngischanów, ciągłym krzyżem radosnym, ostatnią i największą walką Gigantów.

ZAKOŃCZENIE

NAJBLIŻSZE JUTRO

ROK 1966

Na razie znajdujemy się w okresie przejściowym, my biali. Bo to nas przeznacza wszystko na Gigantów, nawet wygoda, która naszą rasę dobija wcześniej niż inne, czego dowodem szybka katastrofa Hellady, dość szybka Rzymu i przerażający trzask wiązadeł cywilizacji grecko-rzymskiej, odkąd biali na dobre zaczęli się babrać w wygodzie.

Co daje białym nominację na „drugich Chrystusów", rasę ludzi naturalnych? — Dwadzieścia wieków prac nad przetwarzaniem woli człowieczej na obraz woli Ojca i ślady w ich krwi niezmierzonych ilości Łask. Ani jednego, ni drugiego źródła narody białe nie wykorzystały, bo wznieść do maksimum osobowość jednostki i społeczności można tylko, zużywając maksymalnie Łaskę — w każdym z przychodzących na świat — na nowo, od początku oraz we wszystkich aktualnie żyjących — zarazem, trwale, bezustannie.

Niech wybitni, najwybitniejsi „mężowie stanu" i „mężowie nauki", co nie mają odwagi urzeczywistniać w sobie drugiego Chrystusa, kraczą o śmiertelnym naszej rasy kryzysie: nie-Giganci nie mogą wierzyć dalej w białych, ni tworzyć z nimi cywilizacji konsekwentnej. Niech przeto patrzą jak ślepcy na to, że jeżeliśmy zdobyli hegemonię nad światem i jeżeli osiągnęli

takie szczyty, to dzięki transfuzji Łaski, jaką w nas wlało chrześcijaństwo. Niech nie widzą, iż dlatego że nie śmieliśmy iść zawsze w parze z Łaską, tak nas to poniżyło, iż kroczymy obecnie jeno prawem bezwładności, czekając lękliwie — kolorowych tym razem — barbarzyńców. Niech nie pojmują, że gdy żółci, czarni tu przyjdą, będą moralnie pod wpływem białych, więc w niczym już od nas nie wyżsi; tyle że będą chcieli tu przyjść, gdy my do nich iść już nie zechcemy, mając tu w metropoliach dość na dziś wygody.

Czy biali zawiedli? Tak, ci bez Łaski. Współtworzącym z Łaską i zjednanym z nią winien świat niemal wszystko. Z przędziwa starej myśli helleńskiej tkała dalej, konsekwentna już całkiem, bo Objawieniem wsparta — myśl chrześcijańska. Zhellenizowani biali — nie rasy inne — byli glebą wybraną, w którą dwa tysiąclecia wsiewał swe ziarna Chrystus. Świata Łaski stolicą, mózgiem, wnętrzem, uprzywilejowanym naczyniem Ducha jest Rzym Papieski, tyle chrześcijański, co helleński, rzymski, biały. Zostanie też nim do ostatniego drgnienia woli u ostatniego człowieka ziemi na cześć Ojca.

Samobójstwem byłoby ziarna-talenta dla pewności... zakopać, siać z Mistrzem przestać, tym samym Prymat Ziemi na zawsze pogrześć, złoty róg ludzkości zagubić. Pójdziemy przeto za Chrystusem, my, biali, teraz i nadal — bardziej zdecydowanie, entuzjastycznie, szalenie niż kiedykolwiek. Toteż renesans białych rozpocznie się od tego, iż, organizując swe państwa coraz sprawniej, nawrócą politycy-Giganci katolików na świętych, święci nawrócą na katolicyzm Europę, Euro-

pejczycy zaś jako... pierwsi chrześcijanie XX wieku — resztę świata. Tego po prostu żąda historia. Jeżeli żądania tego Europa nie spełni, da gardło. Losy Europy są w ręku Kościoła. I na odwrót: niemoc Kościoła spowodowała i powoduje upadek Europy. Ale wierzymy w nadprzyrodzoną moc Kościoła. Dlatego wierzymy w Europę. Dlatego wierzymy w nieprawdopodobnie olbrzymią pracę uchrześcijanienia do gruntu — życia ludzi białych w latach najbliższych, poprzedzających nadchodzące dwutysiąclecie chrześcijaństwa. Jak bardzo ów najbliższy okres katolicyzmu odbiegać będzie od „starego" chrześcijaństwa, specjalnie to uwidoczni rok 2000. Nie będą go czekali jedni chrześcijanie — ze strachu w szale rozpusty, a drudzy — ze strachu w szale pokuty. Rok 2000 witać będzie świat chrześcijański najradośniej, jako dwutysiąclecie narodzin Dzieciątka: „prostując" w ciągu poprzedzających rocznicę tę kilkudziesięciu lat — wszystkie ścieżki życia chrześcijan z oszałamiającym entuzjazmem i żelazną konsekwencją. Typ katolika tych czasów, to raczej ten święty, który, gdy grał, a zapytano go, co by czynił, gdyby za chwilę miał umrzeć, odpowiedział: grałbym dalej... Świętość jutra — to świętość twórcza, radosna i pełna. Nawet na krzyżu — życia. Ale i krzyż redukuje się do minimum, gdy życie naprawdę chrześcijańskie do maximum wzrasta. Ów ruch „dziecięcy", przygotowujący chrześcijaństwo do obchodu rocznicy swego dwutysiąclecia — na miarę gigantyczną, poprzedzi ukazanie się świętych na ulicach Europy. Europa bowiem będzie i Cluny, i Assyżem — całego świata jutra..

Można bo w różny sposób ludzkość unaturalniać, także z surowa. Ale czy logicznie byłoby lekceważyć tereny, gdzie „świątynie od wieków czernieją od modlitw", gdzie systematyczny chrzest dziesiątków pokoleń mógł już dać omal drugą naturę i gdzie bynajmniej nie ukończono apostolstwa, nie odważywszy się wszak dotąd nigdzie wprowadzić go na stałe konsekwentnie: by już prawo tych ziem do prymatu „zwijać" w trąbkę" na rzecz narodów, u których „może" lepiej się przyjmie chrześcijaństwo?

Widać jaskółki, że biali zajmą się wkrótce rodziną, ziemią i Łaską — heroicznie. Będzie to wstęp do ponownego „wprowadzenia chrześcijaństwa" do świata ludzi białych — już „na dobre".

Od tego, jak w tym wyścigu europejskiego drobnoustroju rozwiąże te trzy problemy Polska, wielkość jej zawisła. Czy nasz ruch ideowy, młody, zdobywczy rozumie rodzinę? — Mniej. Naród? Kościół? — Więcej. Do tyla, że nie wiadomo, czy ruch ten jest bardziej religijny, czy narodowy. Atoli od narodu do rodziny jeno krok. Ruch narodowy ma przyszłość o tyle, że uważa naród za rodzinę, że mimowiednie wyczuwa rodzinny ustrój świata, rodzinny ludzkości: wszystkich, co „tu" byli, są i będą — w stanie Łaski, i rodzinę w nim widzi jako podstawę cywilizacji.

Czego chcą młodzi katolicy polscy? — Polski Wielkiej, Katolickiej. Czyżby stanowili awangardę Gigantów w tej części ziemi? Mniej się wstydzą Ojca, niż młodzi nacjonaliści włoscy, niemieccy, francuscy i to ich cecha polska. Są bliscy Niepokalanej i powszechny aktualnie fetor panseksualny „starych" nie może ich

od Niej oderwać. To sygnalizuje, iż wyczuwają potęgę czystości, że są rodzinni. Jej, Pani Jasnogórskiej, zaprzysięgli w uniesieniu heroicznym Państwo Katolickie Polskiego Narodu zbudować. Czyżby zatem zapoczątkować mieli dawanie pokoleń młodych, rasowo doskonałych: dziewiczych, heroicznych? Zdradzają niezwykłą odwagę: usiłują od razu stanąć wyżej moralnie ponad wychowujących ich „starych". Już w nich się ucieleśni największy dotąd w dziejach Polski cud: wyzwolenie heroizmu narodowego, tak powszechnego jak nigdy dotąd.

Deklarują, że wejdą w rodzinę. Przede wszystkim podniosą ją przez prawo, z którego usuną niekonsekwencje, kłamstwo, prawny bandytyzm, a wprowadzą jako pierwszy obowiązek obywatela — odwagę ofiarną. Trzy czynniki prawnie zrównają i wysuną na czoło: Kościół, naród, rodzinę. Wykroczenia przeciw rodzinie karać będą jako zbrodnię. Groteskową ochronę mieszkańca domu zamienią na ochronę mieszkania dla rodziny. Dlatego usuną z obszernych, zajętych, lecz niezamieszkałych, bo bezludnych pięter — rodziny typu „pan, pani i pies" na rzecz małżeństw naturalnych, nieegoistycznych, płacących podatek krwi: dzietnych.

Pozbawią obywatelstwa samotnych egoistów i egoistyczne małżeństwa, o ile te nie zobowiążą się adoptować i wychowywać sierot.

Wstrzymają rzeź dzieci, potworny „ubój rytualny", który się solidarnie przemilcza, gdyż od „tego" nie drożeje... mięso bydlęce.

Wypalą Polacy Wielcy pornografię papierową, uliczną, tak samo i dystyngowaną, jako rozkładającą fun-

damentalną instytucję państwa — rodzinę. Będą mieli dość odwagi, by usunąć niezwłocznie pornografię z wychowania fizycznego, z plaż, ze sportu, z obyczaju publicznego, z reklamy, prasy, radia, teatru, filmu. Przepędzą całą czeredę „Rozporkiewiczów", czyli specjalistów od „twórczości" i „sztuki" demagogicznej, mizdrząco-cuchnącej, podkasanej — panseksualnej.

Wprowadzać będą systematycznie kobietę do ogniska domowego, sprzedażną praw pozbawią. Dadzą modę narodową — wielka rola sztuki polskiej — nie kolidującą z najwyższym dostojeństwem kobiety: macierzyństwem oraz z godnością i wstydem dziewczęcia jako chrześcijanki. Polki nie mogą być — i nie będą — mniej wielkie od Polaków Wielkich.

Ustanowią daninę od rodziców-egoistów, właścicieli wysegregowanych jedynaków, i od rodziców jałowych — na rzecz „funduszu rodziny".

Zorganizują wychowanie „starych", a więc małżeństw, rodzinne, wprowadzając na stałe ustrój wychowawczy do wszystkich dziedzin życia.

Czy podołają? — Nie opinia, obyczaj, zwyczaje przeszkadzają czynić dobrze bez ograniczeń: opinię zdobywa odwaga, a porywa ją heroizm. Gdy zgodny z interesem sumienia narodowego, skoro ma pokrycie w Dekalogu, jest niepokonalny jako wyraz duszy polskiej, na imię mu: Zwycięstwo.

Zagadnienie narodowościowe, to problem — rodziny. Uderza to szczególnie tam, gdzie Polacy są w mniejszości: na Wschodzie. Istnieją w tych stronach całe parafie katolickie, w których okrągły rok nierzadko nie chrzci się literalnie jednego polskiego dziecka.

Z wygody zarzyna się każdego, przychodzącego tam na świat, Polaka. Rzeźnie te znakomicie prosperują w miastach kresowych. Rekordy biją w nich Polki, inteligentki, pionierki polskości na rubieżach Państwa. Utarło się wśród prostej ludności kresowej przekonanie, że gdy „pani" jedzie do miasta, to po to, by wypruć, zmasakrować swe dziecko.

Nie wolno nam się rodzić na kresach. Bronią tego lodowate, mordercze ręce matki-Polki. Jeszcze „głupi" osadnicy, jako chłopi, „tym" się trudnią, że wydają potomstwo, także szlachta zagonowa; inteligencja atoli państwowa, kierownicza, elitarna — wyrzyna omal w pień, nie dopuszcza, zabija każdy kiełkujący żywot polski.

Najwięcej jeszcze dzieci przychodzi tam na świat „z niedopatrzenia", „przez pomyłkę". Przez pomyłkę cofa się też coraz bardziej na linię Sanu i Bugu nasza żywa siła narodowa, gdy kresowa ruska i kresowa żydowska lawiną się rodzą. Do reszty dobiło tę „kulturę zachodnią" odjęcie dodatków pensyjnych na dzieci, dokonane urzędowo, oficjalnie.

Poza kulturą werbalną, kulturą wygody: słowa, książki polskiej — wnieść tam musi katolik-Polak kulturę konsekwentną do wszystkich dziedzin życia. Zamiast inteligenta o sparszałej wygodą woli — słać tam będziemy ofiarników, noszących w sobie majestat narodu. Problem narodowy kresów leży w heroizmie woli każdego Polaka, w tym, jak wysoką stworzymy tam kulturę rodziny katolickiej.

Naszym Słowianom kresowym nie imponują pięknie zbudowane koszary pięknych miast zachodnich. Pod-

bić i zniwelować ich odrębność wschodnią może tylko osobisty prywatny heroizm życia i heroiczna budowa życia publicznego w naszym narodzie rządzącym. Nie może być jednego tam stanowiska, nie objętego przez ojca licznej rodziny. Nie może być obojętne Państwu żadne z jego dzieci kresowych. Marsz na Kijów, który marzy się tym i tamtym, odbyć się może jeno przez — matkę-Polkę.

Nie na innej drodze wzmocnimy się za granicą. Naród jest tym odporniejszy na emigracji, w koloniach, im wyższy w macierzy w porównaniu z najpierwszymi narodami świata. Im większy przeto heroizm rodziny-narodu w metropolii, im ofiarniejszy w „starym kraju" heroizm rodzinny, tym emigracja jest bardziej — narodowa.

Ciekawe: Żydzi wmawiają sobie, iż są największym narodem ziemi, i podtrzymują w ten sposób żydowską odrębność narodową w rozproszeniu. Jest to jednak tylko autosugestia megalomanii. Atoli świadomość istotnej wielkości narodu jest cywilizacyjnie życiodajna. Ona jedna utrzymuje odrębność i istnienie duszy narodowej. Naród w macierzy musi stale zdobywać coraz bardziej harmonijną wielkość, inaczej emigracja ulega czarowi środowisk obcych, odbarwia się, jałowieje, by stać się wreszcie pognojem biologicznym dla cudzoziemców. Nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych wtedy spełnia swe zadanie, gdy jest nade wszystko ministerstwem rodziny polskiej za granicą.

Wraz z prawnym podniesieniem rodziny da się jej podstawy ekonomiczne: porządek ziemi. Usuwając obcych, którzy przez wieki karmili nas prostytucją i oszustwem:

Żydów, rozbiórki miast dokonamy szybko i przejdziemy wszyscy na ziemię. Urząd Ziemi łącznie z Urzędem Wychowania przebudują gospodarczo naród, jego mentalność, przystosują życie wszystkich rodzin do własnych warsztatów pracy.

Wtedy dopiero okaże się, jak fatalnie zaciążył na nas kapitalizm i werbalizm, jak nie lubimy już pracować w ziemi, jak wolimy siedzieć przy biurkach nad „kawałkami" lub narzekać na brak pracy „dawanej"; jak nie chcemy być samodzielni, pańscy, imperatywni, własnowolni; jak bardzo wielu gotowych służyć choćby „na łapkach", byle za „pensyjkę"; jak wszyscy pragniemy „pisać", „pisać", „pisać" — siedzieć i pisać, i „brać" pensję; jak kochamy nawet najnędzniejszą wygodę, byleby to była „pensyjkowata" wygoda.

Wypalanie idei wygody białym żelazem genialnej propagandy, łączenie wraz z tym przebudowy gospodarczej — będzie aktem najdonioślejszym państwowo. Działalność ta wypruje z pewnego typu inteligenta i robotnika pragnienie gospodarczego niewolnictwa, przedziwną skłonność do kładzenia głowy we wszelkie jarzmo, byle jarzmo... dawało obrok-pensyjkę, a nawet byle płaciło... kartką, jak w Z. S. R. R., na wegetację obywatela-parobka. Wtedy nareszcie nieszczęsne lizusy... kapitału prywatnego czy państwowego odzyskają — oblicze człowieka, godność ludzką.

Zabójczej dywersji wygody przeciwdziałać będzie potężna, bezwzględnie realizowana idea arcytrudu, samostarczalności, pracy fizycznej w ziemi, powszechnego przygotowania technicznego, gospodarczego, wojskowego, zaparcia się siebie wszystkich: u „góry" i na

„dole". Tu będzie punkt wyjścia rządów Polaków Wielkich.

Propaganda i organizowanie gospodarcze zmierzać będą do tego, by przetworzyć psychikę potwornej, rozlazłej, inteligenckiej bierności i wydobywać z nas maksima twórczości kulturalnej przy minimach wygody. Sprowadzi to dłuższe powszechne zubożenie zewnętrzne z jednoczesnym wzrostem trwałych bogactw, a nade wszystko niesłychany wzrost techniki i produkcji. Od dygnitarza do najprostszego robotnika będziemy mniej więcej bardzo podobnie się ubierali, jedli, bo dochody nie będą mogły umożliwiać nikomu jaskrawej wygody, nikomu absolutnie. Inaczej wykluczałoby to skuteczność szkolenia-propagandy i właściwy dopływ sił istotnie wyższych hierarchicznie na stanowiska naczelne — nie dudków błyszczących podatkową nędzą. Heroizm zacznie się od góry, by rozlać się lawiną na wszystkich, usuwając bezpowrotnie niszczącą ideę najemnictwa-nędzy, wywołując powszechny entuzjazm pracy dla narodu w jego budowie nowego gospodarstwa ziemi, w rewolucji ziemi, w montowaniu pełnej niepodległości gospodarczej, a łącznie z nią politycznej i moralnej.

Ujrzymy wówczas przedziwne zjawisko. Mózgi, kapitały, inteligencje, inicjatywa, energia, praca, polityka, wychowanie, oświata, nauka, szkolnictwo, organizacja, wynalazki, odkrycia, uczeni, uczelnie, wszechnice, ręce — wszystko pójdzie na ziemię. Nie chłop sam, nie wieś jeno, nie tylko lud, który dotąd nie wie, po co ma ziemię i co ma z tym „fantem" zrobić — podobnie jak jego uczeni, łyczkowi rządcy z miast, „wychowani" na

bruku, książkach i marzeniach o „posadzie", lecz — naród cały. Nie wszyscy chłopami, ale wszyscy w ziemię, w „porządek ziemi", by z prapokładów wszelkiego tworzywa: ziemi — dobyć zarówno konieczną straszliwą potęgę militarną, jak bezwzględnie konieczne bogactwa materialne.

Na kanwie powszechnego arcytrudu, jaki opęta naród: ascezy i twórczości ziemi — możliwy będzie taki lekarz, który z centrum Warszawy wyemigruje nad Styr, Prypeć, Niemen, w miasteczka-ostępy, by tam praktykować jak anachoreta, a mimo to dla narodu, nauki szczytowo; realny będzie wszelkiego typu inteligent, który inwencję, talent, zdrowie, wiedzę poniesie w ziemię, w miazgę: chłopa; naturalną się stanie wędrówka intelektów, idealizmu, ofiarnictwa z kamieni miast w ziemię, w całość Polski: budowa Polski-wsi, tyle narodowego obozu warownego, co bramy wypadowej dla pełnej ekspansji cywilizacyjnej Polski wśród narodów nas otaczających.

Przewrót sięgnie więc do przygotowania gospodarczego i technicznego wszystkich: młodych i „starych". Będziemy pierwsi, co w syntezie nauki i ziemi ujrzymy bezmiar możliwości gospodarczych, co z tego wyciągniemy wszystkie wnioski. Na tym tle rozwinie się powszechne przygotowanie młodych i „starych": gospodarcze, rolnicze, hodowlane, ogrodnicze, mleczarskie, przetwórcze, rękodzielnicze, chemiczne, techniczne, przyrodnicze, kooperacyjne, przemysłowe, zawodowe.

Na gwałt okaże się konieczność powstania tylu politechnik, ile jest uniwersytetów; tylu uniwersytetów... ludowych, uczących pracy w ziemi, rodzinie, groma-

dzie, ile szkół powszechnych. Łącznie z tym przeprowadzi się powszechne specjalne przygotowanie narodu techniczno-przemysłowe do wojny, które przetworzy cały naród od maleństw — do starców w jedną armię techniczną. Przyjść na wieś — wszędzie — musi nauczyciel konieczny dla państwa wychowawczo, zawodowo: nauczyciel pracy dla „starych". Szkoły dla samych dzieci zejdą na plan drugi wobec „szkoły najżywotniejszej", szkoły-pogotowia dla ogółu dorosłych.

Dzięki temu cały naród i każdy jego „młody" będzie umiał dać sobie podstawy gospodarcze, potrafi pokonywać trudności realne, nie jeno fikcyjne — książkowe; będzie zdolny opanować siebie, naturę, drugich: będzie wiedział, czego ma się spodziewać w całym życiu, jak ma je przetwarzać wraz z wszystkimi. Szkoła odsłoni dziecku z brutalną prawdą, co czeka jego dobrą wolę, gdy dorośnie, a będzie bezbronne gospodarczo; co czeka jego naród, złożony z najemnych obywateli; wpoi w nie ideę arcytrudu, ofiary nadludzkiej; zazębi wysiłek dziecka o powszechny, spółczesny mu — wysiłek „starych"; o wspólną budowę państwa naprawdę wolnego moralnie, a więc i gospodarczo.

Na razie życie-szkoła mówi to jeno studentom-akademikom, albowiem nędza materialna zaprawia ich do heroizmu, którym muszą niebawem narodowi świecić, jako sfera przodująca, i odtąd już na zawsze. Przez nędzę są oni tak bliscy masom, rozumieją realne życie i kształcą się na wodzów jutra, o ile wbrew nędzy ćwiczą bohatersko dobrą wolę.

Nie trudno dostrzec, jak gruntownej zmiany z powodów wojskowych, gospodarczych i moralnych ulegnie

wkrótce pojęcie szkoły, nauczyciela, programów. Nasz naród, w którym pierwsze powstało ministerstwo oświaty, którego cała kultura jest rolna, którego olbrzymia większość siedzi dotąd w ziemi — acz okropnie niezdarnie i tyle że... siedzi; któremu ziemia relikwią jest narodową — odnajdzie w „porządku ziemi" swą duszę i wielkość.

Szkoły dawne, powszechna i średnia, dawać będą przede wszystkim podstawy materialne — osobowości: nauczą, jak rodzina z minimum ziemi ma otrzymywać maksima konieczności kulturalnych: żywności, stroju, narzędzi. Szkoły wyższe przygotują młodych, by mogli tworzyć, jako już samodzielni, własnowolni, „starzy" dorośli — nowe wartości kulturalne. Z czasem inżynierem-„chłopem" zostawać będzie każdy gospodarz... wiejski, tj. każdy Polak. Oświatę ogólną i wiedzę ścisłą nabywać się będzie na tle przygotowania materialnego do własnej woli. Nauka będzie w tych pokoleniach kwitła, bo nieodłączna jest od pracy laboratoryjnej w ziemi.

W ten sposób uzbroi się — gospodarczo każdą osobowość, uwłasnowolni cały naród-państwo, podniesie szczytowo jego przygotowanie techniczne, naukowe, moralne. Dopiero życie tego narodu może stanowić trwałe, potężne pogotowie techniczno-militarne, może być całe — armią techniczną. Dopiero w tej atmosferze gospodarczej, moralnej możemy stworzyć armię pancerną, pierwszą technicznie, nie tylko rycersko, armię świata. Ten też poziom kultury ziemi i kultury woli włączy automatycznie nasze — rolne — Południe i Wschód do drogi Polski, by z czasem na jej szlak po-

ciągnąć całą słowiańszczyznę. Jest to dogmat już ogólnonarodowy, że między dwustu pięćdziesięciu milionami ludów Rosji i Niemiec mamy miejsce na własną wolę i rasowo polski system unijny jedynie jako Giganci.

Równolegle do przebudowy ekonomicznej, szkolnej, wychowawczej zdążać będzie praca katolików. Skończą bezwzględnie z wygodną dyplomacją, a wezmą się wyłącznie do heroicznego apostolstwa. Życie ułatwione, wygoda, tytułomania, pogoń za karierą, chęć błyszczenia szatami i czczym przewodzeniem honorowym ustąpi przed duchem albo katolicyzm runie i pogrzebie naród.

Polaków Wielkich nie będzie bez Kościoła, który oddał narodowi bezcenne usługi, a który ma u nas ogromną misję. Oby dał nam kapłanów-świętych, rzucił roztropny strach o to, że naród go nie poprze, gdy rozpocznie radykalną przebudowę życia moralnego Polski u „góry" i na „dole"; oby skonsolidował się trwale i przeprowadził planowy, potężny atak o usynowienie dla Ojca narodu, który jest Królestwem Maryi i był niezachwianie semper fidelis.

Tylko zdecydowane, bezkompromisowe, a skroś chrześcijańskie stanowisko może związać na śmierć i życie masy katolickie z hierarchią kościelną. To droga do istotnie — najdostojniejszego autorytetu, no i do Polski — z życia — katolickiej.

Niedaleka jest rocznica tysiąclecia wprowadzenia do nas chrześcijaństwa. Rok 1966! Największa rocznica w naszych dziejach. Ci, co będą mieli szczęście rok ten „widzieć w naszym kraju", muszą go przeżyć w Polsce, jako już w arcychrześcijańskim — z życia — państwie.

Zaledwie dwadzieścia osiem lat nas dzieli od owej... „wystawy" polskiego chrześcijaństwa wobec — Opatrzności i świata. Przez ten czas muszą być przygotowane „tereny wystawowe", muszą być wyrównane wszystkie „zaległości moralne" dziesięciu wieków naszego chrześcijaństwa, wszelkie zaniedbania, braki; muszą powstać całkiem nowe pawilony produkcji i twórczości chrześcijańskiej, stosunków społecznych: życie prawdziwie chrześcijańskie każdego z Polaków oraz Państwo Katolickie Polskiego Narodu w całej społeczności polskiej, jego kulturze.

Gdy w r. 966 tyle że „pokropiono" nas święconą wodą, to rok 1966 będzie dowodem, że przez następne tysiąc lat zdążono i zdołano „wprowadzić chrześcijaństwo" do wszystkiego, co polskie, że byliśmy godni Łaski. W nikłym tedy ułamku czasu dane nam jest zapełnić braki — tysiąclecia, to, co było niemożliwe przez wieki, uczynić naraz realnym: zatknąć Krzyż na „ziemi"-woli każdego członka narodu i na całej „ziemi"-kulturze narodowej.

Praca na miarę tytanów! Ale czy może być wysiłek bardziej błogosławiony? Czy możemy godniej, a inaczej, przejść do historii, my wszyscy, twórcy owych, upalnych gigantycznym wysiłkiem — dwudziestu ośmiu lat? Wpatrzeni w rok 1966, odnajdziemy i swą wielkość, i przeznaczenie spółczesnych pokoleń, i drogę Wielkiej Polski, i jej największą chwałę.

Jak nierozerwalna jest łączność polskości z katolicyzmem widać to nawet tam, gdzie Kościół w Polsce jest oazą: na naszym Wschodzie.

Znaleźć się tam winien co prędzej zakon kapłanów świętych, bo tacy jeno zdołają pociągnąć wschód innowierczy, jak i uczynić tam kulturę polską wyłącznie zdobywczą. Wschodu nie przekona metoda skorupkowa, krój szat, ni kolor stroju. Nie tymi walorami nęcił Chrystus. Natomiast przekonany powierzchownie nowy wyznawca zostaje nadal chrześcijaninem arcypogańskim, chodzącym jaskrawym dowodem, jak mało może szata... religijna. Prawdziwie święci księża katoliccy i prawdziwie żyjący tam po katolicku katolicy nawrócą Wschód w nieprawdopodobnie szybkim czasie.

Łącznie z porzuceniem metod wygody pójdzie reforma seminariów duchownych, skąd bezwzględnie usuwać się będzie jednostki, nie wykazujące w praktykowanym apostolstwie poczucia ojcostwa w stosunku do świata. Powstanie, rozwój i praca Niepokalanowa, który oparty jest nie na chytrej przemyślności ludzkiej, a na kalkulacji — wiary w Opatrzność, dowodzi, ile zdziałać w Polsce może heroizm kapłański. Kościół nigdzie jak w Polsce nie będzie tak narodowy, gdy działalność jego stanie się wyłącznie bohaterska.

Co prawda, pewne ożywienie — na razie raczej werbalne — wprowadza akcja katolicka. Atoli mieści ona w sobie niebezpieczeństwo tam, gdzie świeccy mają więcej odwagi być świętymi wśród świata od ojców swych dusz, albowiem w żniwach ducha „nie może być uczeń nad Mistrza".

Zmieniając metodę wygody na heroiczną, duchowieństwo przestanie się bać opinii katolickiej, która niezadługo podniesie swój głos, przeto i krytyki, lecz nie dogmatów, a metod. Już dziś Kościół brak tej krytyki og-

romnie odczuwa, skutkiem czego katolicy tak często prawdę kryją pod korcem, a choćby tak ważny głos, jak rzucenie myśli o korporacjonizmie katolickim przez Radę Społeczną przy Prymasie Polski, nie wychodzi dotąd poza ramy przemyśliwań mniej lub więcej platonicznych.

Mamy natomiast krytykę kapłanów i dogmatów, uprawianą przez ludzi, którzy udają, że własne oszustwo uważają za prawdę, a prawdę Kościoła za oszustwo, ludzi wygody, którzy krytykują świętość, lecz którym tchórzostwo nie pozwoliłoby nigdy, ni na dzień, odważyć się być świętymi.

Poza tym katolicy milczą. Pozornie wszystko, co czyni kler, w oczach tyh milczków jest dobre, wszystko się podoba. Na wewnątrz zaś wre od krytyki i uprzedzeń do kapłanów, czego znieść nie mogą i pojąć ci z nich, którzy mają odwagę być kapłanami świętymi, stanowiąc chlubę narodu i Kościoła.

Nikomu u nas tak mało nie mówi się bezpośrednio, co się o nim myśli, jak księżom. Otacza ich cześć w cztery oczy i omal antypatia, gdy są nieobecni. Czyżby kochali się w maskach? Czemu nie rozbijają tego pierścienia obłudy? Przyznać należy, że nie spotyka to nigdy kapłana-Giganta.

Stosując metody heroiczne, ksiądz katolicki znajdzie się najbliżej narodu, w narodzie, duszą narodowej duszy się stając. Czyniąc wolę Ojca, będąc z Nim jedno, zwiąże i zespoli naród z Ojcem, Kościołem i z sobą. Ksiądz ma daleko potężniejsze znaczenie narodowe, niż się to nawet Polakom Wielkim wydaje: im świętszy, tym większe.

W świątyniach też tylko spotkać będzie można żywy symbol jedności narodu w sobie i z Ojcem. Czy może być większe ćwiczenie w zaprawie społecznej, niż zjawisko omal codzienne w kościołach Polski Wielkiej, gdy na Mszy, w porze Komunii, klękną razem, z sobą, obok siebie : generał służby czynnej i robotnik, służący i minister, chłop i profesor wszechnicy, starzec i maturzysta, i inni, i wszyscy: naród, a spajać ich, dając im Boga, będą ręce kapłana katolickiego? Czy jest coś, co mogłoby łączyć naród w większej glorii i bardziej spoiście na każdy dzień szary, na święto, na największy trud, czas klęsk, chwały?

Taka odprawa woli łącznie z organizowaniem heroizmu narodowego konsekwentnie w życiu całym — przybliży nasz czas Gigantów.

SPIS RZECZY